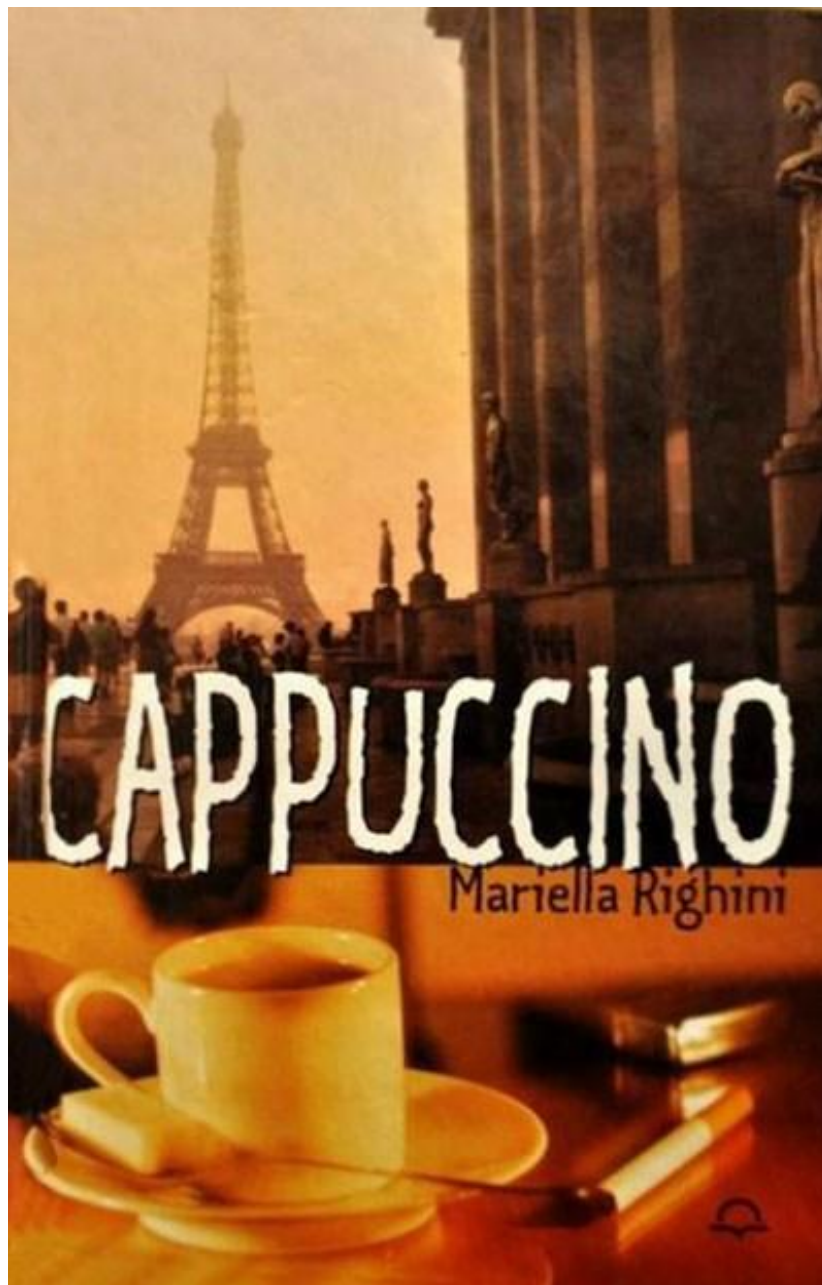




MARIELLA RIGHINI

CAPPUCCINO

Z francuskiego przełożyła Ewa Ciepłińska



1

— Pani czy panna?

Za późno, by cofnąć to kretyńskie pytanie. Ledwie przeszło mi przez gardło, gdy poczułem w nim mdły i obrzydliwy smak osłodzonej kawy. Co mnie podkusiło, żeby odstąpić od zasady *omerta*, tego twardego prawa milczenia, którym od samego początku życia, od pierwszego gaworzenia, jesteśmy skrepowani przez zabobon i strach przed zemstą — my, neapolitańczycy? Nasza długowieczność mierzona jest umiejętnością przetrwania z zamkniętymi ustami wszystkich, najtrudniejszych nawet chwil. Czyżby paryskie lato spowodowało, że zapomniałem otej regule zapisanej w genach?

Jednak pytanie padło. I padła na nie odpowiedź ślicznotki, parząca jak filiżanka gorącej kawy wypitej jednym haustem. Bogini przygwoździła mnie swymi zielonymi oczami, posyłając w moją stronę zabójczy uśmiech. Odczekała chwilę, jakby delektując się z góry zamierzonym efektem, i spytała władczo:

— Żonaty czy kawaler?

Zdarzyło się to w ostatni piątek sierpnia. Kawiarnię, którą przez trzy pierwsze tygodnie tego miesiąca zapelniali głównie turyści, objuczeni torbami i zaopatrzeni w przewodniki, zmierzający na Place des Vosges — od kilku dni zaludniali klienci gdzieś się wciąż śpieszący, bardziej zdecydowani i wymagający, jednym słowem: paryżanie. Przychodzili mieszkańcy dzielnicy, stali bywalcy, którzy nie patrząc w kartę, zamawiali swoje *macchiato* lub *marocchino*. Wpadali też goście hołdujący modzie, którzy usłyszawszy o nowym lokalu, chcieli zobaczyć to miejsce w Paryżu, gdzie podawano *frappuccino*. Nazwa kawiarni często przewijała się w rozmowach, a jej adres można było znaleźć w wielu notesach. Przychodzili też całorocznymi bywalcy dzielnicy Marais, odwiedzający prywatne rezydencje i sklepy; oni oglądali

menu jak wystawą i gorącą lub mrożoną kawę traktowali niczym muzealne eksponaty.

Zaraz po otwarciu kawiarni na tarasie zasiadło kilku samotników i w cieniu czytanych gazet delectowało się porankiem letniego dnia. Wewnątrz lokalu ukośny promień słońca kładł się na całej długości baru z orzechowego drewna, oświetlał zieloną ścianę i kawowy aksamit ławeczki — od drzwi aż do stopni wiodących na antresolę — rozjaśniał metalową balustradę, polewował żyłkowaty, czekoladowy marmur podłogi i owalne stoliki, na których ostentacyjnie opierali łokcie opaleni goście.

Przygotowywałem trzecie *frappuccino*, łagodną mieszankę śmietanki i mrożonej kawy, kiedy pod nieobecność właściciela zadzwonił telefon.

— Czy może pan uprzedzić Sylvanę, że się spóźnię dwadzieścia minut?
— Lekko drżącym, podekscytowanym tonem ktoś zasypał mnie gradem słów.

— Sylvana? Kto to jest Sylvana?

Ale spóźnialska już się rozłączyła. Na dźwięk tego imienia siedząca na antresoli młoda kobieta odrzuciła do tyłu ciemną grzywę włosów, falami spływających na piękne, gołe ramiona, i wychyliła się przez balustradę.

— Sylyana? To ja! — przedstawiła się melodyjnym głosem.

Wyglądała, jakby wyszła z urzekającej reklamy. Czy uwiódł mnie jej śpiewny akcent? Czy zabójcze spojrzenie jej oczu? Całą moją rezerwę diabli wzięli. Chciałem chyba zwrócić na siebie uwagę i zachowałem się jak krety, którym — przysięgam — wcale nie byłem. Zamiast przekazać jej wiadomość, usłyszałem swoje idiotyczne słowa:

— Pani czy panna?

Poczułem się dotknięty odpowiedzią ślicznotki. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko zająć się kawami i jako anonimowy barman zniknąć za kontuarem. I już nigdy tego nie zmieniać. Schroniłem się za ladą, pod antresolą, z dala od tych niezwykle zielonych oczu i zbyt ciętych odpowiedzi.

Wtargnięcie spóźnialskiej wyrwało mnie ze stanu bolesnego upokorzenia. To mogła być tylko ona: elektryzująca dziewczyna z motocyklowym kaskiem przewieszonym przez ramię i grubym notesem w ręce — wiotka blondynka z niebotycznymi nogami w sandałkach. Zaraz po przekroczeniu

progu kawiarni wypuściła z rąk pękate vademecum i wszystkie notatki, zaproszenia, wizytówki, rachunki i zdjęcia rozsypały się po marmurowej powierzchni wąskiego korytarza, między stolikami, krzesłami i stołkami baru. Natychmiast poderwała się cała klientela — równie uprzejma co podekscytowana jej zadartą spódniczką — do zbierania tych „sekretów”. Tym razem pozostałem nieporuszony.

— A nasza Lily ciągle taka sama! — zawołała z antresoli dziewczyna o zabójczym uśmiechu.

Lily, chłodna jak stal, dotarła do podniecającej Sylvany, rozsiadła się i wyciągnęła swe nieskończenie długie, gołe nogi.

— Kto zaczyna: ty czy ja? No dobrze, zacznę od końca. Dwa razy *cappuccino!* — polecała kelnerce. — Właśnie wróciłam z Nairobi, dokąd zawiozłam tuzin dziennikarek zajmujących się urodą na promocję nowych perfum firmy. To zawsze te same baby, już ci o nich opowiadałam. Rozpieszczone diwy, kapryśne, jadownicze, niedouczone, ale przekonane, że zasługują na Nobla, od kiedy zaczęły się w branży...

Na szczęście przedstawiciele prasy muzycznej, o wiele bardziej błyskotliwi, zjawili się na koncercie panaafrykańskim w kenijskim hotelu zarezerwowanym dla dziennikarzy. Był wśród nich włoski żurnalista, zupełnie odlatowy, który zwrócił na siebie uwagę Lily już w samolocie. Flavio wsiadł w Rzymie. Zajął miejsce w tym samym środkowym rzędzie co ona i zaraz po starcie usnął z głową odchyłoną do tyłu i otwartymi ustami — u innych wyglądałoby to nieciekawie, ale u tego pięknego reprezentanta swego zawodu, mężczyzny o profilu Juliusza Medyceusza, przedstawionego przez Michała Anioła, okazało się czymś zniewalającym. Wysoki, szczupły, ciemnowłosy; kocie, muskularne ciało tym bardziej było pociągające, że jeszcze nie zniszczone balangami. Jednak Lily, poważna rzeczniczka prasowa, nie dała się tak szybko zauroczyć. Przynajmniej nie podczas tego pobytu. Ale los sprawił, że zawarli bliższą znajomość.

— Kiedy następnego dnia weszłam do samolotu — opowiadała młoda dama — noc była ciepła, lepka i podniecająca. I tylko o jednym myślałam: o spaniu. Byłam wykończona. Zaraz po starcie zauważyłam cztery wolne siedzenia w głębi pierwszej klasy. Dlaczego nie miałabym położyć się

podczas podróży? No więc szybko się tam przenoszę, szczęśliwa, że mogę na parę godzin zamknąć oczy. Biorę koce, kilka jaśków, maseczkę na oczy, zatyczki do uszu i białą pigułkę. Posiłek czy środek nasenny? Waham się, co zrobić: zaspokoić wilczy głód czy odpocząć, kiedy nagle z korytarza doleciał do mnie rzymski głos: „Co byś powiedziała, gdybym przyszedł zjeść razem z tobą?”.

— A ty oczywiście zaprotestowałaś: „Nie ma mowy, śpię!”.

Lily zaśmiała się perliście.

— Moje zmęczenie znika natychmiast. *Benvenuto! You are welcome! Bienvenue!* Flavio przysiadł na poręczy mojego fotela, zadzwiezczał kieliszkami do szampana i udał się do części dla palących, żeby zakurzyć ostatniego papierosa, po czym wrócił do mnie. Był szampan, ledwo tknięty półmisek i drugi szampan, i następny. Nad Etiopią rozmowa się ożywiła, stała się radosna i nieskrępowana. „Mamy idealną syntonię” — mówi mój muzykolog. Ty jesteś pianistką, możesz mi wytłumaczyć, co dokładnie znaczy „syntonia”.

— Równość częstotliwości, oscylacji. Przenosząc to do sfery uczuć, dobrze zrozumiałaś, że jest to po prostu harmonia.

— A więc nadawaliśmy na tych samych falach. Nad Sudanem nasza syntonia wchodzi w rejestry bardziej osobiste, intymne. Nad płaskowyżem Sudanu zbliżamy się do stref coraz niebezpieczniejszych. „Jesteś piękna, masz ramiona tancerki” — szepce. Chwyta mnie za ramię, które od godziny spokojnie spoczywało na oparciu. Obraca, pieści tam, gdzie skóra jest najdelikatniejsza, ugniata i ściska. Jego ruchy są wolne, penetrujące i niesamowicie podniecające. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ekran na końcu kabiny blednie i wszystkie światła gasną. Jesteśmy w tym boeingu sami na świecie.

— A nad czym teraz przelatujemy?

— Już nie wiem, gdzie jestem. Unoszę się dziesięć tysięcy metrów nad ziemią...

— „Unosić się” jest metaforą seksualną. *Volaare, o o...!*

Śmiech dziewczyn przerwał opowiadanie o podniebnych wyczynach podekscytowanej Lily. Ale tylko na kilka sekund.

— No i?

— Płynę w błękicie nad lazurem Morza Śródziemnego. Przechodzę z jednej strefy do drugiej, nie zdając sobie z tego sprawy. Bujam w jakiejś ponadczasowej przestrzeni. Tak jakby podróż i odległość znosiły każdy zakaz, każdą cenzurę. Jakby eksterytorialność strefy wolnościowej otwierała wolną strefę seksualną.

Lily umilkła. Ale Sylvana, rozmarzona i tryskająca dobrym humorem, nie pozwoliła jej milczeć zbyt długo.

— No i?

— Obejmuje mnie w pasie, rękę wsuwa pod elastyczny pasek moich spodni, pieści biodro, pośladek, udo... Rozpinam guzik jego koszuli, drugi, trzeci, z ciekawością badam mięśnie klatki piersiowej, brzucha, zanurzam palce w ciemnym zaroście...

Ukryty pod antresolą, gdzie nie widać prowokujących spojrzeń młodych kobiet bez zahamowań, ale docierają ich bezwstydnymi głosy, sam już nie wiedziałem, w jakim jestem miejscu. Byłem głęboko wstrząśnięty, wręcz zszokowany. Obarczony obowiązkiem przygotowywania wyrafinowanych kawowych napojów w „Cappuccino”, nie mogłem opuścić stanowiska pracy. Ja, młody samiec z Południa, upokorzony przez jedną z tych bab, skazany byłem na wysłuchiwanie ich głośnych o podniebnym seksie. Wytarłem ściereczką czoło. Usłyszałem, jak mówiły o tym, że wysokość, ciśnienie i ilość tlenu wpływają na zmianę wydzielania skórnych, bicia serca i wytwarzania hormonów; oddech staje się szybszy, wrażenia się zaostrzają, a alkohol dodatkowo potęguje te efekty. Jednak lotnicze wyczyny trzeciego stopnia były dla mnie czystą abstrakcją. Ale nie dla nich!

— Nasze wargi się szukają — kontynuuje bezwstydnica. — Odnajdują się. Szaleją. Odrywają. Znów się spotykają. On wolną ręką naciąga koc. Nasze poszukiwania stają się coraz śmielsze. Delikatnie prowadzi moją rękę — jestem zaskoczona rozmiarem. Jego dłoń bez trudu odnajduje na moim ciele właściwą drogę. O nieba!

— *My God!* — wykrzyknęła Sylvana. — Więc stało się to, co miało się stać!

— Wcale nie. Ze strachu, że ktoś nas nakryje, zasnęliśmy zmęczeni, objęci ramionami. Nie, jeszcze nie zostaliśmy członkami „Mile Hight Club”!

— A potem, witaj błękitny poranku!

— Wsiadł w Rzymie. „*Ci sentiamo* — powiedział. — Skon— traktujemy się wkrótce!”. Zmieszanie poplątało mu język. Chciałam go rozluźnić i odpowiedziałam: „Raczej się odkon— traktujemy!”. Rozstaliśmy się ze śmiechem.

Zamówiły dwie następne kawy *cappuccino*. To zapowiadało dalszy ciąg, którego, chcąc nie chcąc, nie mogłam uniknąć.

— Na razie nie mam od niego żadnej wiadomości — westchnęła Lily. — Będę musiała poprosić Ilonę, żeby nam — jak to ona mówi — „rzuciła karty” w przyszły piątek. Kursy na wydziale języków wschodnich jeszcze się nie zaczęły, będzie więc miała trochę czasu.

— Przez tę historię jeszcze mi nic nie opowiedziałaś o wakacjach z twoim ślubnym — zauważyła Sylvana.

Lily, podniebna dziewczyna, miała męża! Byłem zaszokowany.

— Patrick? Opowieść zbyt długa i męcząca. A więc wróżby Ilony w przyszły piątek! Powiedz raczej, na jakim etapie jesteś ze swoim pięknym alkoholikiem.

Oczy Sylvany uważnie wpatrywały się w śmietankę na powierzchni kawy. Miss Uśmiechu już się nie uśmiechała.

— Taki piękny i kulturalny staje się brzydki i chamski. Zresztą mu to powiedziałam. Zapamiętał tylko „piękny” i „kulturalny”. Laurent gwałtownie odpycha lustro, które mu podsuwam. Odmawia spojrzenia w swoje puste, nieruchome oczy. Zamiast uśmiechu twarz wykrzywia mu okropny grymas, który nadaje mu wygląd debila. Nogi szeroko rozstawione dla zachowania równowagi, ugięte w kolanach. On, taki giętki i otwarty, staje się sztywny i zamknięty w sobie. Słucha już tylko siebie, swoich pokrętnych argumentów, niezrozumiałych, powtarzanych bezbarwnym głosem. A kiedy go proszę, by mi je wytłumaczył, odpowiada: „Ale ja siebie rozumiem”. To tylko jeden z miliarda przykładów. Byliśmy jeszcze w Positano i na tarasie podziwialiśmy zachód słońca, którego promienie rzucały refleksy na nasze

kieliszki. Podnosząc kieliszek do ust, zauważyłam utopioną muchę. Co byś zrobiła na moim miejscu?

— Podlałabym kwiatki.

— Zrobiłam dokładnie to samo. I wiesz, jak on zareagował?

— Nalał ci następny kieliszek.

— Nie, nie nalał! Zrobił mi za to scenę jak na planie filmowym. Powinam była połknąć tę przekłętą muchę. „Zrobiłaś to specjalnie! — oskarżył mnie. — Ty nienawidzisz wina!”. „Nie, nie wina, Laurent. Nie znoszę pijanych ludzi”. Nie cierpię jego gestów alkoholika. Sposobu, w jaki podnosi butelkę i nalewa płyn do kieliszka, który nigdy nie jest całkiem pełny ani zu—» pełnie pusty — zawsze napelniony do trzech czwartych, bo bez przerwy wyrównuje poziom. Jego ręka wciąż spoczywa na butelce, a wargi na brzegu kieliszka, palce zaś obsesyjnie wykonują ruchy przypominające masturbację.

— Alkohol cuchnie!

— I zabija to, co w nim najbardziej pociągające. Najgorsze, że zabija miłość. To zbrodnia. Nie lubię tych obscenicznych ruchów. Kiedy widzę, jak wlewa w siebie wino, serce podchodzi mi do gardła. Nie znoszę tego, co się potem z nim dzieje. Marnieje w oczach. Przeraza mnie jego słabość, odchłań i jakaś nieprzyzwoitość, w którą się pogrąża. I to, że ryzykuje, iż przestanie mi się podobać, że pewnego dnia mnie straci na zawsze. Boję się, Lily. Boję się, że moja miłość nie wytrzyma widoku jego upadku. I że alkohol będzie miał ostatnie słowo.

— Powiedziałaś mu o tym?

— Niejeden raz. Wiesz, co mi odpowiedział? „Twoje niezadowolenie zawsze wynika z mojej przyjemności”.

2

— Dwie kawy! — zamówiła kelnerka Gracieuse.

Jak można znieść podobny brak finezji? Ten napój tak wyrafinowany, tak różnorodny ze względu na swe pochodzenie, aromat i możliwość rozmaitego przyrządzania — potraktować w niewybaczalnie bezduszny sposób!

Zadziwiające odkrycie dla mnie, neapolitańczyka urodzonego obok ekspresu do kawy! We Francji młodzież mojej generacji w ogóle nie ma kultury picia kawy. Aby ten boski napój docenić, najpierw trzeba poznać i zapamiętać jego smak. A pamiętać — to znaczy mieć punkt odniesienia. Na szczęście miałem taką pamięć. Przed moim wyjazdem do Paryża słodka i czuła Carmela ofiarowała mi *Księgą kawy* — piękne wydawnictwo, w którym z satysfakcją przeczytałem, że od końca XVII wieku, a więc sto lat przed rewolucją francuską, Paryż zasmakował w tym nowym, słodko—gorzkim narkotyku. Spowodował on wrzenie mózgow i sprowokował ten cały późniejszy zamęt. A wszystko to za sprawą pewnego dwudziestolatka, który tak jak ja przybył z Królestwa Obojga Sycylii. Nazywał się Francesco Procopio dei Coltelli. Całe pokolenie encyklopedystów delektowało się nowym, ciepłym i mocnym napojem serwowanym w kawiarni „Procopie”, otwartej w tysiąc sześćset osiemdziesiątym szóstym roku. Najtęższe umysły epoki czerpały pomysły z czarnych filiżanek, jeśli tylko umiały coś wyczytać z głębi magicznego płynu.

Ale młoda generacja zapomniała o trzech wiekach i miliardach „małych czarnych”. I nie dlatego, że wcale ich nie piła. W jakiejś gazecie pozostawionej przez klienta na stoliku przeczytałem, że konsumpcja kawy w Europie Północnej jest trzydzieści pięć razy większa niż w Południowej! A przecież we Francji obok wody jest to najpopularniejszy napój! Od ponad piętnastu lat dziewięćdziesiąt procent ludzi pija kawę regularnie, osiemdziesiąt pięć — codziennie, a osiemdziesiąt — trzy razy dziennie. Wynika z tego, że pięć milionów osób wypija każdego dnia jakieś siedemdziesiąt tysięcy kaw. Można rzec: produkt pierwszej potrzeby albo napój narodowy. Czyżby we Francji ilość zastąpiła jakość?

Mój szef — Amerykanin włoskiego pochodzenia, nazwany przez Gracieuse „Mortadelą z ludzką twarzą” — który otworzył w Nowym Jorku pierwszą sieć lokali „Cappuccino”, miał na ten temat własne zdanie. Twierdził, że w przeszłości kolonialna Francja importowała złej jakości

robustę z Afryki Zachodniej. Jest to kawa prostacka, o ziemistym smaku drewna, bez porównania gorsza niż delikatna i pełna aromatów arabica. Racjonowanie kawy podczas wojny i zablokowanie jej cen w latach sześćdziesiątych spowodowało, że zakorzenił się zwyczaj spożywania produktu złej jakości. Skutki tej podwójnej klęski historycznej okazały się katastrofalne.

Jeszcze dzisiaj w większości francuskich lokali serwuje się ohydłą lurę. Kiedy spróbowałem jej po raz pierwszy, musiałem z obrzydzenia przytrzymać się baru. Trzeba było to świństwo doprawić calvadosem lub rumem, żeby jakoś je przełknąć. Jednak moim zdaniem to nie tylko sprawa złej jakości kawy, ale także za gorącej i zawapnionej wody, źle wyregulowanego ekspresu, nieodpowiedniego ciśnienia i zbyt grubego mielenia ziaren. Wszystko razem złożyło się na to nie nadające się do picia błoto. Już na pierwszy rzut oka poznawałem niedobłą kawę. Za rzadka śmietanka: kawa bez „duszy”, mało aromatyczna, za kwaśna, źle palona, za grubo mielona, parzona pod nieodpowiednim ciśnieniem. Za gęsta śmietanka: aromat nawet niezły, ale za gorzka, za mocno ziarno palono, ciśnienie i temperatura były zbyt wysokie, za mała wydajność. Nie mogłem się nadziwić, że Francuzi połykali wszystko, co im podawano, nie żądając żadnych informacji, bo w ogóle nie zwracali na to uwagi.

Jednakże w naszej kawiarni klienci okazywali szczególne zainteresowanie boskim nektarem. Odkryli wreszcie, czym było prawdziwe *espresso*. Z satysfakcją zauważyłem lekką poprawę: zwiększyły się wymagania co do jakości i autentyczności produktu, a także wzrosły zainteresowania tysiącem sposobów przyrządzania i serwowania. Do rzadkości należeli ci, którzy, jak te dwie studentki, zamawiali u Gracieuse bez zastanowienia: „Proszę dwie kawy!”.

— Trzy *cappuccino*!

Nie zauważyłem, kiedy weszły tego ranka: para ekspresu zasłaniała mi widok. Usiadły w tym samym miejscu na antresoli, dokładnie nade mną. Rozpoznałem figlarny śmiech Lily.

— Wszystkie morza są takie same.

Zmysłowy chichot Sylvany zawtórował niczym echo.

— Tylko mężczyźni są różni!

Domyśliłem się, że chodzi o rejs Lily i jej męża Patricka po Morzu Śródziemnym. A tego wcale nie mieli w programie. Gdyby było można, odmówiłaby bez wahania. Pierwsze i ostatnie doświadczenie tego typu zaowocowało czterema rozwodami, w tym jej własnym, pięć lat temu. A więc Lily miała drugiego męża! I trzy spośród pięciu małżeństw rozwiodło się podczas tamtej podróży! Teraz znów dziób ślicznego drewnianego statku, płynąc wzdłuż tureckiego wybrzeża, kolejny raz zaznaczył linię podziału wód. Nie terytorialnych, lecz małżeńskich.

— Rozumiesz, dlaczego chciałam uciec jak od zarazy z tej pułapki między niebem a morzem. Ludzie stłoczeni pomiędzy dwiema niezmiernymi odchłaniami podczas kołysania zaczynają się rozluźniać i maski spadają przy pierwszych podmuchach wiatru. Napięcie rośnie nawet w ciszy morskiej, a gwałtownie przybiera na sile w czasie nadciągającej burzy. A ty musisz rozwinąć swe talenty dyplomatyczne, zachować poczucie humoru aż do końca, co wymaga nie lada samozaparcia. To kompletne zaprzeczenie wakacji!

— Jedynym wyjściem może być tylko skok do wody — dodała Sylvana. — Szczerze mówiąc, ja też nie znoszę takiego tłoku, kiedy ciągle masz obok siebie czyjś posmarowany olejkim brzuch lub „pachnącą” stopę. To zamknięta przestrzeń, w której dzielisz z kimś ten sam stolik i tę samą toaletę, te same ryby i śmiecie. A słońce gotuje wszystkich we wspólnym kotle. Przy tym zapychają się ubikacje i nie możesz z nich korzystać, żeby nie wpaść w...

— Wiesz zatem, dlaczego nie skakałam z radości, gdy nasi tureccy przyjaciele, którzy zaprosili nas do Antalii, wystąpili z podobną propozycją. Pewien ich znajomy, adwokat o międzynarodowej renomie, niesamowicie bogaty i, jak każdy starzec otomański, ze skłonnościami pederasty, zapragnął coś zrobić dla swej siedemnastoletniej córeczki. Takiej małej *punkówki* o włosach koloru khaki spiętych spinką. Wymyślił więc rejs po Morzu Egejskim i poprosił naszych przyjaciół — nie prosił, błagał! — żeby im towarzyszyli. Tak bardzo chciał uniknąć sam na sam z własną córką! Oni zgodzili się pod warunkiem, że popłyniemy razem z nimi.

Pożałowałam tego, gdy tylko podniesiono kotwicę. Bardzo szybko spostrzegłam, że Patrick i ja, chociaż podróżujemy razem, to jednak osobno. Zrobił się podły. Ucinał każdą naszą rozmowę. Jakiś niewidzialny mur urósł między nami. Tęskniłam za małym Julesem pozostawionym pod opieką mamy. Mój ślubny kompletnie mnie ignoruje, a ja nawet nie znam przyczyny. To niewiarygodne, ale ta wymuszona gabarytami statku intymność ośmiu osób pozbawiła nas własnej prywatności. Grupa rozluźnia nasz związek. Nie rozmawiamy ze sobą, nie jemy razem posiłków, nie pływamy wspólnie. W jedynym miejscu, gdzie możemy być sami — w maleńkiej kabinie — popadamy w stan obojętności i bezruchu, niczym pod wpływem narkozy spowodowanej upałem. Zaczynam liczyć dni.

— A mała *punkówka*?

— Zawsze znajdzie się coś, co wstrząśnie spokojnymi wodami, po których usiłujesz płynąć, by utrzymać się jakoś na powierzchni. Dziewczyna o włosach khaki postanowiła zarzucić sieci na jedynego godnego zainteresowania mężczyznę na pokładzie — na mojego.

— Coś podobnego! Jaka ona właściwie była?

— Jak komar o świdrujących, okrutnych, wścibskich oczach.

— Wyobrażam sobie: oczy proszące o rozum.

— I nos, tak mały i spiczasty, że przypominający żądło. No i nogi za grube w stosunku do talii.

Nie ma litości między samiczkami, gdy jedna wtargnie na terytorium drugiej! *Punkówkę* zawłókł na rejs poczuwający się do winy ojciec, stary, bogaty i często nieobecny rodzic, który postanowił nadrobić ojcowskie obowiązki i odprawić egzorcyzmy na łonie rodziny. A małolata obnosiła od rufy po dziób swój zły humor rozpieszczonego dziecka. Gderała, bo warkot silnika wyrywał ją ze snu o dziewiątej rano. Bo marynarz opróżniał popielniczki wprost do morza i zanieczyszczał środowisko petami. Nigdy nie zajmowała miejsca przy stole. Stała na jednej nodze lub przysiadła na poręczy kanapy i wzbudzała w pozostałych osobach obrzydzenie, grzebiąc we wszystkich talerzach. Nigdy nie była głodna, bo obżerała się między posiłkami. Pewnego dnia ponadgryzała przeznaczone na obiad ciasto i naszpikowała je pestkami oliwek. Każdy numer był dobry, aby przyciągnąć

uwagę. Szczególnie uwagę pożądanego przez nią cudzego męża, któremu nie dorastała do pięt.

Kiedy przez moment zostawał sam, zjawiała się natychmiast nie wiadomo skąd. Kręciła się koło niego jak mucha, bzz, bzz, wlokła się za nim, paplając bezmyślnie i usiłując nawiązać prymitywne porozumienie.

— O ile cię znam, musiałaś gotować się w środku!

— Przez dwa tygodnie nie miałam innego wyjścia, tylko poskramiać zazdrość, zamykać na klucz emocje i uspokajać wariacko bijące serce. Zawsze tak mi wali, kiedy widzę, że mój mężczyzna interesuje się inną. W dodatku była najbrzydsza, najpospolitsza, najmniej znacząca ze wszystkich komarów — po prostu zero! Wróciłam z tych wakacji bardziej zestresowana niż przed rejssem.

— Nadrobiłaś to potem w samolocie!

— To była moja jedyna rozrywka tego lata. A propos, Ilona, może postawiłabyś nam karty? Już tak dawno tego nie robiłaś!

A więc były we trzy tego ranka. Do rzeczniczki prasowej i pianistki dołączyła chiromantka. Jej wygląd zupełnie nie pasował do kogoś, kto zajmuje się wróżeniem, jeśli w ogóle istnieje w tym względzie jakaś reguła. Przeszedłem w drugi kąt baru, żeby ją obejrzeć. Wspaniała, rudowłosa o orzechowych oczach. Wysoka, rasowa, teatralna.

Oстрым, słowiańskim akcentem mówiła o przyszłości związku między Lily i Flavio — związku, który rozpoczął się na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Olśnienie było obopólne. Jednakże... z jego strony sporo rezerwy. Istniał jeszcze ktoś i dlatego należało rozważyć wszystkie za i przeciw. Dobrze się zastanowić przed podjęciem decyzji. Flavio nie był wolny, a poza tym miał mało czasu na życie prywatne. Wiele podróżował. Jednak Lily bardzo go interesowała. Pragnął znów ją zobaczyć. Ale wcale nie wiadomo, czy nastąpi drugie spotkanie, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Będzie z tego romans? Znak zapytania. Na razie może się spodziewać wiadomości.

— Powinnaś porzucić kursy rosyjskiego i zająć się przepowiadaniem przyszłości — zasugerowała Sylvana.

— I dzięki nam szybko staniesz się sławna — dodała Lily.

— Nie chcę, żebyś mi stawiała karty — westchnęła Sylvana. — Boję się tego, co mogę usłyszeć.

— A jak się miewa twój ulubiony pisarz? — spytała Ilona.

— Laurent? Znalazłam się wraz z nim w szyjce od butelki.

— Ładnie powiedziane — pochwaliła Lily.

— Nasz związek przypomina kwadraturę koła. „Pozwól mi żyć, jak chcę, jestem dorosły!” — żąda ode mnie, podnosząc butelkę. Jakby uważał, że dorosłość nie polega na realizacji samego siebie, lecz na upijaniu się. To się nawet doskonale rymuje: alkoholizm i infantyizm. „Alkohol jest dla mnie synonimem wolności” — oznajmia, pogrążając się jednocześnie w nałogu niczym w studni bez dna. Kurczowo trzyma się swych burgundzkich korzeni, zrobił z nich nawet coś w rodzaju osobistego kultu. Jego koronny argument to: „Prawdziwy mężczyzna upija się przynajmniej raz w miesiącu”. Czerwone wino — sztandar stuprocentowego samca! Jakie to piękne: męski wdzięk o bezmyślnych oczach i bełkoczącym głose!

3

— Miałaś rację, Ilono, Flavio do mnie zadzwonił!

Trzy Parki zaczęły pogaduszki. Już po raz trzeci spotykały się w „Cappuccino”, zawsze tego samego dnia, o tej samej godzinie i przy tym samym stoliku. Z miejsca w głębi baru, pod antresolą, mogłem wszystko słyszeć, nie będąc widzianym, bo zasłaniała mnie balustrada i mgiełka pary. To dziwne, ale przez cały tydzień tylko niezrozumiały gwar rozmów gości dochodził do moich obojętnych uszu, a głosy tych młodych kobiet, gdy tylko zdążyły usiąść, dźwięczały w nich niczym łyżeczki na fajansie. Czyżbym miał taki selektywny słuch? A przecież po każdej ich wizycie przychodziły tu różne napalone dziewczyny — dlaczego ledwie je zauważałem? Zapamiętałem jedną: po prawej stronie sali kręciła się wśród klientów, strzelając oczami. Przypominała mi nos kłowna z figury świętego Januarego — patrona mojego miasta.

Czułem się naprawdę niezręcznie, ale nic nie mogłem poradzić na to, co działo się na antresoli. Ich podekscytowane głosy wpływały mi do uszu jak czarny i gorący płyn z ekspresu do kawy.

— A więc „nawiązałaś kontakt”!

— Były dwie wiadomości na sekretarce.

— W domu?

— Zwariowałaś? W pracy. Dopiero następnego dnia mogłam zadzwonić do jego gazety. „Właśnie było małe trzęsienie ziemi w Rzymie” — oznajmił mi wzruszonym głosem. A na to ja, bezwiednie: „Cieszę się, że wstrząsy sejsmiczne zaanonsowały mój telefon”. Na to on, zakłopotany: „Moje krzesło drży do tej pory”. Więc ja, prowokująco: „Trzeba było lecieć samolotem, jest mniej turbulencji!”. Wtedy przeszedł do rzeczy: „*Carino*, miły ten nasz powrotny lot, prawda?”. Byłam lekko rozczarowana tak banalnym przymiotnikiem. „O tak, *molto carino*, bardzo miły moment”. „Nie było żadnego komfortu” — westchnął. Ja na to: „Ale za to było wysoko”.

Doprawdy, tej bystrej i żywiołowej blondynce nie było potrzebne mocne, kolejne *ristretto*, by ją naprawdę rozruszać. Sama w sobie stanowiła czysty koncentrat kofeiny. Natomiast ruda wyraźnie wymagała wsparcia kolejną filiżanką. Najlepiej mokką, aby nie wpadła w czarne przygnębienie. Jasnowidząca, lektorka języków wschodnich, widziała w fusach definitywny koniec swojego romansu: jawił jej się niczym statek nabierający wodę. A wszystko zaczęło się na Simi, małej greckiej wyspie, dokąd się ruda udała, żeby podreperować zdrowie.

No więc Simi. Miejsce uświęcone przez bogów i wybrane przez starożytnych. Zakątek, gdzie dzięki szczególnym wibracjom atmosfery wszystko było przejrzyste, jasne, dostrzegalne i łatwiejsze do przewidzenia niż gdzie indziej. Dwa małe neoklasyczne domki w kolorze jasnoróżowym: jeden dla nich, drugi dla ich — bynajmniej nie wspólnych — dzieci. Domki połączone ukwieconą kładką, zawieszoną nad małym podwórkiem. Okna otwierały się na pastelowy pejzaż wzgórz, plataninę domków i uliczek, murków i schodów. Cud harmonii, elegancji i równowagi, a całość zanurzona w lazurze...

Neapolitański student Akademii Sztuk Pięknych, pracujący w paryskiej kawiarni, by opłacić naukę, nie mógł pozostać obojętnym na hellenistyczny obraz tak sugestywnie namalowany przez Ilonę. I to ja byłem tym studentem.

— Czy to magia miejsca, wyjątkowość światła, nie wiem, ale są takie zakątki, gdzie środek ciężkości nagle się przemieszcza, kontury nabierają ostrości i jasności, a w nas objawia się prawda. Simi to właśnie takie miejsce. To tam ujrzałam prawdziwe oblicze Armela.

— Armela spod znaku Skorpiona — przerwała Lily.

— Gdybyś nas przedtem o to spytała — dodała Sylvana — to nawet bez twoich zdolności jasnowidzenia i uroku tamtego miejsca mogłybyśmy doskonale cię oświecić.

— Potrzebowałam ostatecznego potwierdzenia. I znalazłam je szybciej, niż się spodziewałam. Na Simi jest wszystko, by czuć się jak w raju. A Armel zafundował sobie najgorsze wakacje swego życia. Nic mu nie pasowało: noce zbyt gorące, morze za zimne, skała zbyt stroma, plaża za daleko. Kuchnia pełna zarazków. Język „bękartów”. Greków traktował jak złodziei, ponieważ nie mógł znaleźć pozostawionej na plaży maty; jak morderców, bo jakaś furgonetka zahaczyła niechcący o schody; jak służących — wydawał polecenia tonem aroganckim, nie znoszącym sprzeciwu, i nigdy nie raczył się uśmiechnąć. Oczekiwał unізoności i najwyższej uwagi, bez zwracania sobie głowy słowem „dziękuję”. W pewnej tawernie zapomniał swetra; zostawił go na poręczu krzesła. Kelner tak pędził za Armelem, że dostał zadyszki. A Armel? Bez słowa wziął od niego sweter ze znudzoną miną.

— To jednak rzeczywiście nie było ich lato! Nasi trzej mężczyźni urządzili sobie niezłe wakacje!

— Okropnie traktował swojego jedenastoletniego syna, gorzej niż rozhisteryzowana matka. Bez przerwy zwracał mu uwagę i wrzeszczał z byle powodu. Bo na przykład, kiedy mały zainteresował się ceną lodów albo poprosił o colę — narzekał: „Jest taki sam jak jego matka. Niezadowolony, nienasycony i ciągle pyta, co będziemy robić”. Nieustannie go strofował: „Uspokój się! Przestań! Nie chcę cię widzieć. Jazda!”. W Paryżu widuje się

z nim co drugi weekend. A tu miał go dwadzieścia cztery godziny na dobę przez dwa tygodnie, wyobrażacie to sobie?

— A ty?

— Lepiej o tym nie mówmy. Armel był zamknięty — to za mało powiedziane — zaryglowany i napastliwy! Odrabiał te wakacje jak pańszczyznę. Próbuje żartów, czułości, odrobiny farsy. Nic nie było w stanie go rozchmurzyć. Żeby choć się wkurzył. Oglądałam go przez obiektyw aparatu fotograficznego: twarz sucha, poorana. Spustoszenie wewnętrzne zrujnowało piękną fasadę — prawdziwa głowa trupa. Brakuje mu tylko dwóch skrzyżowanych puszczeli z tyłu czaszki, żeby ozdobić flagę piratów. Mam ochotę utrwalić ten wizerunek dla potomności. On to zauważa, chwyta sandał i zasłania nim twarz. Myślę wtedy, że to dobry moment na poważną rozmowę. „Jeśli nie jesteś zadowolona, to przecież możesz wyjechać” — słyszę. „Ja mam wyjechać? Jest mi tu bardzo dobrze. A jeżeli ktoś chce się stąd wynosić, to przecież ma wolny wybór. Nikogo nie będę zatrzymywać” — odpowiedziałam. Pobiegł do swego pokoju, zaczął bezładnie wrzucać rzeczy do walizki, potem popędził do domu obok, żeby obudzić syna, i kazał mu szybko spakować plecak. Biedny dzieciak nie rozumiał, co się dzieje. Zalał się łzami. Uprzedziłam Armela: „Tym razem możesz popełniać samobójstwo nawet czterdzieści razy. Nie dam się już szantażować!”. To go naprawdę rozwścieczyło. Rzucił się i zaczął mnie okładać rączką rakiety tenisowej. Wyłam ze strachu i bólu. „Wynoś się i nie dawaj więcej znaku życia!” — krzyczałam. Trzasnął drzwiami. Była pierwsza w nocy. Moje córki się obudziły, oszalałe z przerażenia. Zaprowadziłam je do łóżka i położyłam się obok. Następnego dnia obudziłam się z koszmaru lekka i jak nowo narodzona. Nareszcie wolna.

— A dokąd on poszedł?

— Schował się gdzieś na wyspie.

— Zobaczyłaś go jeszcze?

— Koszmar pojawił się któregoś wieczoru. Zeszliśmy z Melodie i Serenade osiemset stopni w dół i udałyśmy się do restauracji w porcie. Moje dziewczyny włożyły błyszczące spodnie, a ja — sukienkę w kolorze irysów. Wyglądałyśmy jak trzy latarnie morskie. Byłyśmy widoczne z daleka. W

połowie drogi zobaczyłam czaszkę pirata przy stole jakiejś tawerny. Przeszłam obok bez jednego spojrzenia. Ominęłyśmy knajpki w porcie, uważając je za zbyt „widoczne”, i skierowałyśmy się na drugi koniec miasteczka do małej restauracyjki tuż nad brzegiem morza. Światło księżyca, leciutka bryza, świece na stolikach. Ledwie zdążyłam usiąść, gdy usłyszałam głos świszczący mi w uchu: dziwka! Podskoczyłam. Skąd się wziął ten głos? Z głębi morza? Z czarnej czeluści nocy? Na szczęście córki niczego nie widziały ani nie słyszały. Tylko ja usłyszałam. Jednego jestem pewna: ten głos i głowa trupa stanowią jedność. Straciłam apetyt, za to dziewczyny się objadają. Lekki wiatr robi się coraz chłodniejszy. Jest im zimno. Zaczynamy się spieszyć. Zamawiam taksówkę, by nas zawiozła serpentynami do górnego miasta. Wstajemy i wtedy się pojawia: martwe oczy — takie same miał w noc pierwszego samobójstwa trzy miesiące temu; nabrzmiałe rysy; ciało pochylone, wręcz zgięte, jak supel na dwóch łapach. „Przepraszam cię za to, co przed chwilą powiedziałem” — wyszeptał. Odwróciłam głowę w kierunku morza, które nagle stało się bardzo spokojne. Ja też się uspokoiłam. Błagał: „Powiedz coś! Nawet żebym zdechł!”. W końcu na niego spojrzałam. Wzbudził we mnie litość. Powiedziałam łagodnie: „Zajmuj się swoim synem”.

— Brawo! Pamiętaj, że nawet najczarniejsza chmura ma zawsze jasną stronę, tę zwróconą do słońca. Zerwanie jest żałobą, ale też odrodzeniem — melodyjnym głosem rzekła Sylvana.

— Słowa te odnoszą się także do ciebie — odpowiedziała Słowianka. — Któregoś dnia zobaczyłam w kartach, jak się odradzasz.

— Boże kochany! Czy wiecie, która godzina?

4

Carmela martwiła się o mnie: „Co się z tobą dzieje, Ottavio?”. A przede wszystkim niepokoiła się o siebie: „Już o mnie zapomniałeś?”. Od miesiąca nie miała żadnych wiadomości i nie mogła tego pojąć. Czym tłumaczyć tak

długie milczenie? Zaniedbaniem czy decyzją spalenia mostów między Paryżem a Neapolem? Jak mogłem ją tak pozostawić, całkiem samą i „pogrążoną w ciemności”, skoro przed wyjazdem dałem jej poznać „rozświetlone drogi miłości”? Kompletnie się zagubiła.

Czułem się winny. Carmela, Carmelina, Melina, Lina, Linina, Nina, Ninetta, Netta... Usiłowałem wzywać moją narzeczoną wszystkimi możliwymi zdrobnieniami. Zawsze tak robiłem, obsypując ją jednocześnie pocałunkami. Ale tym razem zaklęcie nie działało. Mogłem cytować słowa piosenki, że wszystko jak satelita kręci się wokół niej, lub przytoczyć mniej eleganckie słowa moich przyjaciół, że ma „najładniejszy tyłek na wydziale”. Emocje związane z jej tylnymi krągłosciami — mi, które przyciągały męskie spojrzenia, jakby stępały. Nagle dopadło mnie wspomnienie Carmeli w spódnicy — spodniach; tak była ubrana w dniu mojego wyjazdu. Nie powinna nosić tego stroju, bo wcale do niej nie pasował. Schowałem otrzymaną widokówkę — napisała ją po przekątnej. Zdecydowanie nie lubię spódnic — spodni ani pocztówek pisanych po przekątnej.

Skoncentrowałem się na ekspresie do kawy. Miał diabolicz — ną linię z dwoma ramionami i czworgiem „ust”; był błyszczący i pachnący — cudowny rezultat nowoczesnego wzornictwa. Tylko neapolitańczyk, nikt inny, mógł coś takiego wymyślić. Człowiek z ubiegłego wieku, który nie znosił oczekiwania na kawę. Kawę, która przez nieskończenie długich osiem minut sączyła się do filiżanki. Przedstawił swoją maszynę w Paryżu na Światowej Wystawie w tysiąc osiemset pięćdziesiątym piątym roku. I oto półtora wieku później miałem ją przed sobą: automatyczną i gorącą, posłuszną każdemu dotknięciu, uległą i precyzyjną. Na mój sygnał podnosiła temperaturę wody do dziewięćdziesięciu stopni, a ciśnienie do dziewięciu atmosfer; wydobywała z ziarna wszystko, co najlepsze. Zaparzenie kawy — od pierwszej do ostatniej kropli — trwało zaledwie dwadzieścia pięć sekund. I otrzymywało się cudowny eliksir, wspaniale aromatyczny. Bez cukru. Należałem do purystów, którzy uznawali jedynie gorzki nektar. Wdychałem zapach delikatnej śmietanki o kolorze orzecha, która, pod czterema milimetrami musu, więziła lotne substancje i zmysłowo parzyła mi wargi. Upijałem się jej cie-

lesnością, gęstą i elastyczną, i długo zachowywałem w ustach całe bogactwo smaków.

Carmela, Carmelina, Melina... Była bardzo daleko, moja słodka i czuła. Nawet pierwsze, poranne *espresso* nie było w stanie wskrzesić we mnie uczucia, którego doznawałem na widok jej brzoskwiniowej cery, otoczonej czernią błyszczących włosów.

Nie poznaliśmy się na uniwersytecie. Ona interesowała się ekonomią, a ja sztuką. Nie widywałem jej w barze „Caffettie— ra”, gdzie pracowałem wieczorami, żeby opłacić studia, bo przychodziła tam z koleżankami w ciągu dnia. Zobaczyłem ją pod koniec roku podczas święta w fabryce parzenia kawy. Fabryka należała do jej ojca, a mój tam pracował. Nasi dziadkowie wykonywali ten sam zawód: sprawiali, że zielone ziarna kawy stawały się czarne. Mieli antyczne maszyny z okrągłymi bulajami, dźwigniami i rurami. To były ręczne urządzenia, które gotowy produkt dostarczały do sklepów. Tylko że jej ojciec umiał się przystosować do nowej rewolucji przemysłowej z lat pięćdziesiątych. Założył stowarzyszenie „Qahwa”, zbudował jedną fabrykę, potem drugą i dzięki nowym technologiom, między innymi dzięki wytwarzaniu w próżni, szybko stał się liderem na rynku regionalnym, następnie krajowym i pozostał mu tylko mały krok, by wstąpić na światowe szczyty. A mój? Został w swojej starej palarni i wkrótce splajtował. Trzy pokolenia „palaczy kawy” skonsolidowały rodzinną fortunę Carmeli, podczas gdy nasza przestała istnieć jeszcze przed moim urodzeniem.

Szansa otworzyła się przede mną pewnego wieczoru w barze „Caffettiera”. Zasiedział się tu pewien francuski dystrybutor napojów. Dostarczał je do kawiarni i hoteli. Chciał posmakować mojego *marocchino*. Przyjechał do Neapolu podpisać kontrakt ze stowarzyszeniem „Qahwa”, reprezentowanym przez ojca Carmeli. A przy okazji miał zamiar zachęcić francuskich profesjonalistów do przyrządzania kawy po neapolitańsku. Szukał więc kilku mistrzów w tej dziedzinie, aby ich sprowadzić do Paryża i zatrudnić w paru eksperymentalnych kawiarniach. Uwiódł go mój sposób parzenia *marocchino* — mieszanki kawy *macchiato*, nazywanej z francuska *minicappuccino*, podawanej w filiżance do *espresso*. Sztuka ta polegała na tym, że na

śmietankę sypałem kakao, a następnie rączką od łyżeczki rysowałem na nim pięknego krokusa. Te brązowe miniaturki na białej śmietance, wymyślone przeze mnie zupełnym przypadkiem, wprawiły go w prawdziwy zachwyty. Zaproponował mi pracę barmana w Paryżu, na określony umową czas, w jednej w wyznaczonych przez dyrekcję do spraw dystrybucji kawiarni. Właściciel „Cappuccino” zgodził się na współpracę. Uważał, że pomoże mu to wkrótce wylansować całą sieć podobnych lokali.

Dziś rano było ich cztery: Lily, Sylvana, Ilona i nowa — Diane. Z nadejściem pierwszych jesiennych dni w kawiarni panował tłok i ich ulubiony stolik był już zajęty, co je ogromnie zdziwiło. Sądziły pewnie, że mają do niego wyłączne prawo. To było ich miejsce i nie mogły zrozumieć, że ktoś śmiał je zająć. A więc przypadek spowodował, że cztery gwiazdy musiały zadowolić się brązową, aksamitną ławeczką naprzeciwko baru. Żeby osłodzić im gorycz porażki, postanowiłem przygotować *marocchini* z rysunkiem. Wlałem do filiżanek bardzo mocne *espresso*, silnym strumieniem pary pod ciśnieniem zagrzałem mleko, aż nabrało konsystencji delikatnej pianki, i całość posypałem kakao. Następnie wprawnym ruchem łyżeczki narysowałem duże „C” jak „Cappuccino”.

— Prezent od firmy — oznajmiła im Gracieuse.

Nie mogłem usłyszeć komentarza, ale widziałem uśmiech rozjaśniający im twarze. Do mojego miejsca tym razem nie docierały ich słowa. Ale za to miałem je na oku. Bar przestał być konfesjonalem, natomiast stał się punktem obserwacyjnym.

Zacznę od Lily. Była typową paryżanką, jaką przedstawiają w komiksach, tyle że bez końskiego ogona. Stalowszare, przenikliwe oczy i krótko obcięte jasne włosy. Ubiór znamionował jej poczucie humoru: dziś miała na sobie przezroczystą bluzkę koszulową, założoną na zabawną kamizelkę w kontrastowym kolorze. Nie potrafiłem jej sobie wyobrazić jako żony Patricka i matki małego Julesa. Powabne, błyskotliwe, bardzo pociągające stworzenie. Przebojowa niczym samochód na targach, nawet postawiony pod ścianą robi największą furorę.

Sylvana — to był przede wszystkim głos otoczony muzyczną aureolą; tego ranka bardzo mi go brakowało. I jej ręce — nieprawdopodobnie długie i

delikatne, gestykulujące z wyjątkową gracją. A także uwodzicielski uśmiech i szmaragdowe oczy, które nawet świętego sprowadziłyby na drogę grzechu. Do swoich oczu dobierała ubrania, które kontrastowały z burzą ciemnych włosów. Lekki akcent zdradzał latynoskie pochodzenie. Ameryka Południowa? Kwintesencja kobiecości, jednak bez ostentacji; sam umiar i subtelność.

Ilona — to Słowianka od stóp do głów; paznokcie i szminka w tym samym kolorze i świetliste włosy. Jej orzechowe oczy zdradzały naturę dziwki i jednocześnie świętej, wariatki i dzielnej matki, przebiegłość i naiwność, szlachetność i rynsztok. Ubrana na czarno, nie wiem, dlaczego przypominała mi pochodnię.

A ta nowa zachowywała największy dystans. Widziałem jej delikatny profil, gęste włosy i oczy koloru wody — wypisz, wymaluj Simonetta Vespucci. Całość była iście królewska. Jedynie dziewczęcy śmiech łagodził to, co przy pełnym rezerwy zachowaniu można poczytać za oschłość.

Po raz pierwszy mogłem je obserwować przez całą godzinę. Przedtem przemykały tylko wzdłuż długiej sali w kształcie korytarza, nawet mnie nie zauważając: prawy profil przy wejściu, lewy przy wyjściu. Sylwetki tych pań w całości dostrzegałem tylko wówczas, gdy kobiety wchodziły na antresolę lub z niej schodziły. A potem nie widziałem nic więcej oprócz nóg za balustradą, nóg, które się krzyżowały, huśtały lub stały grzecznie obok siebie. Nie nadużywałem swego miejsca na dole. Rzadko spoglądałem w stronę dziewczyn. Ich głosy i tak dostatecznie zakłócały mi spokój.

Cała czwórka wydawała mi się dość egzotyczna. Czy były paryżankami? A może mieszanką o różnym pochodzeniu, kulturze, historii i wrażliwości; melanżem ciał i aromatów, takim, z którego można było zrobić najlepszą kawę? Porównanie z kawą bardzo mnie pokrzepiło. Byłem mniej przerażony. Mój model kobiecości sprowadzał się do wizerunku matki, która pilnowała gotującej się w garnku wody i czekała na telefon od ojca. Ojca, który codziennie wypowiadał jedno jedyne słowo: „wrzucaj!”, i zaraz odkładał słuchawkę. Wtedy matka wrzucała makaron. A kiedy ojciec podjeżdżał pod dom, kluski były takie jak trzeba, *al dente*. Tym czterem z pewnością nie można było polecać: „wrzucaj!”, raczej wrzuciłyby do wrzątku

tego, kto ośmielił się wydać podobny rozkaz. Były zbyt ładne, niezależne i eleganckie te moje piątkowe, poranne klientki. „Co za rasowe kobiety!” — skomentowała któregoś piątku Gracieuse, perła wśród klejnotów.

Niebezpieczne uwodzicielki. Zupełnie inny gatunek niż moja grzeczna Carmela. Istoty bez czci i wiary, chyba że te dwa pojęcia znalazłyby się w kręgu ich zainteresowań. Fascynujące, jak tylko mogą być wampiry i smoki; pożeraczki mężczyzn *al dente*. „Zachowaj dystans, bo inaczej zostaniesz zmielony i uprażony”. Nawet obwarowany masywnym barem nie czułem się całkiem bezpieczny.

5

Odwieczny zapach palonej kawy — tego właśnie najbardziej mi brakowało nad Sekwaną. Zbocza Wezuwiusza były nim przesiąknięte. Nowe technologie nie zmieniły przyzwyczajień ludzi. Na ulicach plebejskich dzielnic nadal prażono kawę na balkonach i tarasach przy użyciu małych, domowych maszynek. Minęły trzy miesiące i dystrybutor kawy zaproponował mi przedłużenie kontraktu. Postanowiłem się zgodzić. Wrócę do Neapolu w pierwszych dniach listopada na inaugurację roku akademickiego. Napisałem do Carmeli, żeby ją uspokoić.

Tym razem, aby uniknąć nieporozumień, ustawiłem tabliczkę z napisem „Reserve” na stoliku piątkowych bywalczyń. W kawiarni stale było pełno ludzi. Dla niektórych bywanie tu taj weszło w codzienny nawyk. Nowi klienci przychodzili z ciekawości; nazwa lokalu, przytaczana w codziennych gazetach, znana była w całym Paryżu.

Lily i Sylvana weszły na antresolę, usiadły przy „swoim” stoliku, a tabliczkę przyjęły jak coś oczywistego. „Dwa *marocchini*” — zamówiły. Już zdążyły się przyzwyczaić do tego *mini—cappuccino*.

Jeden z klientów przywołał Gracieuse.

— Co dla pana?

— Nie chcę żadnej marokańskiej kawy. To nie dla mnie. W ostateczności może być kawa po neapolitańsku.

Wszędzie ten sam rasizm ludzi z Północy w stosunku do południowców.

— Sok z brudnych skarpetek dla pana — głośno powiedziała urażona Gracieuse. A po cichu dodała: „Nie wolno tak mnie traktować. Moje granice też mają cierpliwość!”.

Byłem zachwycony jej pomyłkami językowymi. Ta mała okrągłutka brunetka o matowej cerze rodem z Afryki Północnej, jedwabistej skórze i słodkim uśmiechu, kojarzyła mi się z mrożonym kasztanem.

— Dzisiaj naprawdę potrzebuję mocnej „marokanki” — oznajmiła Sylvana.

— A co porabia twój Burgundczyk? Ciagle to samo?

— „Rozdziela nas cały ocean” — oświadczył mi któregoś dnia po wypiciu butelki. Mówiłam ci już, jak się wtedy zachowuje. Zamknięty w sobie i nadwrażliwy. Obwarował się szklanym kokonem — wystarczy jedno uderzenie niewinnym słowem i skorupa pęka. Powiedziałam mu: „Jeśli tak uważasz, to rozstańmy się na dobre”. On na to: „Powinnaś do mnie przypłynąć”. Nie wytrzymałam: „Ja nie pływam w burgundzie”. Wtedy wybuchnął. Nie będę powtarzała jego przekleństw: było ich tyle, ile wody w oceanie.

— Już od dawna powinnaś wiedzieć, wszak jesteś z nim od dwunastu lat, że kiedy się upije, staje się nadmiernie drażliwy. On się czuje, jakby był żywcem zamurowany i obdarty ze skóry. Nigdy nie odpowiada się pijanemu.

— Nikt mnie w ten sposób nie traktował, Lily. I pomyśleć, że wszyscy przyjaciele mają go za człowieka uprzejmego, delikatnego i szarmanckiego. Nie jest w stanie bronić swoich racji, nie umie przeciwstawić się nikomu i niczemu. Woli się poniżyć, niż się z kimś nie zgodzić. Łagodny jak baranek, który tylko przy mnie zmienia się w dziką bestię.

— To alkohol sprawia, że całą agresję wyładowuje na tobie; przecież nie może tego robić w pracy.

— Jest bierny i apatyczny; zrezygnowany. Tkwi w bezruchu, który uniemożliwia mu działanie. A w jego zawodzie trzeba dużej aktywności, żeby utrzymać pozycję. Wydaje się, że stracił wiarę w swój talent i tak się boi opinii innych, iż woli się izolować. Bezpieczniej jest zamknąć się w gabinecie z butelką niż dać komuś przeczytać fragment swojej prozy.

— Dlaczego inni mają wierzyć w jego talent, skoro on sam w niego nie wierzy?

— A dlaczego ja mam jeszcze wierzyć w nasz związek, jeśli on nie wierzy w siebie? Na ślicznym papierze w kwiatki sporządziłam listę cudownych słów, którymi mnie kiedyś obsypywał. Na końcu dopisałam: „Zwracam ci te słowa, bo nie wiem, co z nimi zrobić. Tobie mogą się jeszcze przydać. Ale już nie mnie”. I wysłałam mu to listem poleconym.

— I jak zareagował?

— Oznajmił, że okazałam mu brak szacunku i oczekuje przeprosin! Wyobrażasz sobie?! Chyba zupełnie stracił rozum! On mnie obraża, a ja mam go przeproszać!

— Szacunku nie można wymagać. Trzeba na niego zasłużyć.

— Powiedziałam mu dokładnie to samo: „Jak mam cię szanować, skoro ty mnie nie szanujesz?”.

— Sylvana, już dosyć się o nim nagadałyśmy. Rozerwę cię trochę moimi przygodami — przerwała Lily.

— Miłymi czy niemiłymi?

— Obydwoma. Projektant z Atlanty, Johnstone, ten, który w przyszłym sezonie ma przygotować męską kolekcję w mojej firmie, wczoraj wieczorem wydał przyjęcie w „Bloody Mary”. Kiedy po raz pierwszy rozmawiałam z nim przez telefon, wystarczyło jego *hello*, bym zamarła na piętnaście sekund. Ten głos! Co za głos! Omal nie zemdlalam. Gdy zobaczyłam go w salonie firmy, z wrażenia musiałam oprzeć się o stół. Był jak jaguar: gibki i muskularny, z ogoloną głową i uśmiechem dzikiego zwierza. Kompletnie mnie zauroczył. Wydaje mi się, że też wpadłam mu w oko. Czułam się jak w dżungli, a temperatura wzrastała. Nie ma mowy, żeby Patrick poszedł ze mną na tę imprezę; zostanie w domu pilnować Julesa. Wzywam Ilonę i idziemy obie, jak młode panienki. Zapomniałam, jaką męką jest wypad do nocnego klubu, kiedy pół miasta chce się bawić. Najpierw czekasz w jakimś barze, aż nadejdzie północ, i walczysz z ogarniającym cię zmęczeniem. Potem przez godzinę krążysz po okolicy w poszukiwaniu miejsca do parkowania. Z kolei musisz przebić się przez tłum zebrany przed wejściem do lokalu, machając zaproszeniem. Następnie rozpychasz się łokciami, żeby

dostać się do szatni. Grzecznie czekasz, aż przywalona ubraniami szatniarka weźmie w końcu twój płaszcz. Potrącają cię kelnerzy zmęczeni noszonymi wysoko nad głowami tacami, pełnymi kieliszków. Po palcach depczą ci młodzi, podpici ludzie — aroganccy i źle wychowani. Takie przyjęcia nie sprawiają żadnej przyjemności. Wszystko cię irytuje. Wreszcie około drugiej nad ranem docieramy z Iloną do celu. I wiesz, co widzę?

— Jakąś dziewczynę na kolanach jaguara.

— Skąd wiesz?

Nie czekając na odpowiedź Lily, podjęła przerwana opowieść.

— Sylvie, moja mała asystentka, siedziała mu na udzie! Początkowo nie byłam pewna, czy wzrok mnie nie myli; John— stone miał na sobie aksamitny, amarantowy garnitur. Fotel, na którym siedział, był pokryty takim samym materiałem, w identycznym kolorze. Sprawdzam więc uważnie, czy pośladki asystentki spoczywają na oparciu fotela, czy na udzie kreatora. Szukam potwierdzenia u Ilony. Nie ma żadnej wątpliwości: ta mała zdążyła już zająć teren! Nagle Amerykanin mnie dostrzega, gwałtownie się zrywa, zrzucając dziewczynę z kolan, i pada mi w ramiona. „Lily, *my love*, nie widziałem cię, *baby*. Chodź tu, *honey!*”. Ach, ten jego głos, Sylvana! Jak „krwawa Mary”. I sylwetka! Prawdziwy bóg stadionów o akcencie południowca i wyrafinowanej elegancji. Szuka dla mnie miejsca obok siebie, aleja odmawiam. „No, to idź się bawić!” — poleca mi, a moja asystentka dwoi się i troi, żeby się nas pozbyć. Gorliwie toruje nam drogę w głąb sali, a potem, już bezpieczna, rozsiada się beczelnie na udach Jupitera. Chcąc pokazać, że to terytorium należy wyłącznie do niej, ta mała ździra pochyla się do jego ucha i szepce jakieś brednie.

— I warto było czekać do drugiej nad ranem?

— To jeszcze nie wszystko. Na takich imprezach spotykasz wyłącznie ludzi z twojej branży. Przebywam z nimi przez cały rok, a prawdziwi mężczyźni w tym środowisku należą do rzadkości. Opowiadałam ci, że przez cały ubiegły rok — dwanaście miesięcy — pewien dziennikarz od mody, niejaki Aldo, prześladował mnie swoją osobą. Nawet zabawny typ i pewnie wrażliwy. Poważnie traktował pracę w gazecie. Kobiety, które poznawał w tym świecie szmat i gałganków, ogromnie go onieśmiały.

— Ale właściwie dlaczego?

— Sądzę, że to kwestia surowego wychowania. I może jeszcze czegoś, ale nie dociekałam.

— Jeśli dobrze pamiętam, byliście sobie dość bliscy.

— Był kulturalny i wcale niegłupi. Powstało między nami coś w rodzaju przyjaźni, chyba zresztą dwuznacznej, bo była w niej szczypta erotyzmu. Nigdy jednak nie posunęliśmy się za daleko, najwyżej trzymaliśmy się za ręce. Może dlatego, że był zbyt gadatliwy, impulsywny, lekkomyślny, kapryśny i zmieniał poglądy jak rękawiczki. Jednego dnia mnie uwielbiał, a następnego nienawidził. Same emocje i żadnego punktu odniesienia.

— Jeszcze jeden, który nie umiał stanąć na wysokości zadania. Rozgniotłaś go na miazgę?

— Robił dużo szumu, rzucał słowa na wiatr, nigdy nie zrealizował do końca żadnego planu i snuł nierealne marzenia. Słomiany ogień i kompletny brak konsekwencji. Spędzał czas na śledzeniu mnie i robieniu wymówek.

— Po co? To chyba homoseksualista?

— Nie mam pojęcia. Moi przyjaciele twierdzą, że jestem jedyną osobą, która niczego nie zauważyła.

— No wiesz! A te jego podkoszulki, intonacja głosu, śmiech? Odrzucał do tyłu włosy gestem zalotnej kochanki. Wynaturzony modniś, przecież na ciuchy wydawał więcej niż ogarnięta gorączką zakupów dziewczyna! A paznokcie, pomalowane bezbarwnym lakierem? Jesteś ślepa, czy co?

— Mimo wszystko nie jestem przekonana. Nigdy nie widziałam go z chłopakami. Otaczały go same kobiety.

— Służyły mu za alibi. Jak ty.

— Być może. Byłam stałym tematem jego rozmów. Ciągłe mnie cytował, stawiał za przykład, wynosił pod niebiosa. Dawał do zrozumienia, że jesteście sobie bardzo bliscy.

— No i cały ten plotkarski światek był święcie przekonany, że romansejście.

— Raz go sprowokowałam, żeby zobaczyć jego reakcję. Jakbym zdecydowała się na skok do wody. Raz, dwa, trzy i nurkuje.

— Nie wystarczył ci jego lakier do paznokci? Musiałaś grać rolę niewiernego Tomasza? No i co?

— To była bitwa pod Berezyną. A potem go nie widziałam. Wyjechałam na wakacje do Turcji. On w tym czasie zaczął opowiadać niestworzone historie. Właśnie wczoraj wieczorem dotarły do moich uszu w „Bloody Mary”. Wiesz, co ośmielił się głosić ten pedał? „Między mną a Lily wszystko skończone. Zbyt wiele ode mnie żądała. Jest nienasycona”.

Wybuchły takim śmiechem, że o mało się nie udusiły.

— W każdym razie, co za świństwo! — skomentowała Lily, gdy trochę ochłonęła. — Podła złośliwość!

— Przestań się rozrzewniać! Zadzwońiłaś do niego?

— A jak myślisz? O trzeciej nad ranem! Sprawiałam mu piękne przebudzenie. „Myślałam, że mam przyjaciela, ale okazałeś się kurewskim plotkarzem, żmiją i szczurem. Plugastwa, które na mnie wylewasz, brudzą tylko ciebie”. Po tamtej stronie kabła najpierw osłupienie, potem szloch. Jakie szloch! Między dwiema czkawkami zapewnia mnie, że to straszne kłamstwo, kupa świństw, podłe pomówienia. Kłamstwa opowiadane przez złych ludzi, którzy pragną naszej zguby. Jego serce krwawi. Miał zawsze czyste intencje. Poczułam się prawie winna. Jeszcze trochę, a zaczęłabym go pocieszać!

— Moja ty mamusiu! Mam nadzieję, że po tym wszystkim on pozna wreszcie prawdziwego mężczyznę!

Bardzo sobie ceniłem moje nieokreślonego kolom ubranie. Nosilem skromny strój pasujący do aksamitu ławeczek, skórzanych foteli, żyłek marmuru na podłodze i do *cappuccino*. Coraz bardziej lubiłem swój uniform — od butów po zabawny kapiszonik — stylizowany na habit kapucynów. Pod spodem miałem spodnie i podkoszulek w kolorze kawy, a w zimne dni — coś w rodzaju marynarki z brązowym kapturem. Tak byli ubrani wszyscy zatrudnieni w kawiarniach „Cappuccino”. Gdybym mógł jeszcze bardziej wtopić się w tło, stać się niewidocznym, byłbym chyba najszcześliwszym z ludzi. Muszę jednak przyznać, że mój wygląd doskonale pasował do pełnionej funkcji barmana. Wbrew sobie potajemnie odgrywałem także inną rolę: stałem się spowiednikiem kobiet z antresoli, które nie zdawały sobie sprawy, że ich zwierzenia docierają do niepowołanych uszu,

— Jestem w okresie wielkiego polowania — rozpoczęła Lily, zajmując swoje stałe miejsce.

— Ty przynajmniej niczego się nie boisz — roześmiała się Sylvana. — Na jakim jesteś etapie?

— Koniec z Johnstone'em, koniec z Aldem. Cześć, *ciao*, *bye*! Pierwszy za bardzo lubi kobiety, drugi — za mało. Koniec. Kropka. No a Flavio... jest ciągle w podróży. Właściwie nie wysiada z samolotu.

— Wczoraj „rzuciłam karty” w twojej intencji — poinformowała Ilona. — Wszystko się sprawdza. Przechodzisz okres wzmożonego uwodzenia. Ty szczęściaró, jeszcze zacznę ci zazdrościć!

— Mężczyźni chyba wyczuwają moją gotowość. Zostawiłam Julesa w przedszkolu, wsiadłam na motor, no i proszę, jakiś przechodzień zatrzymuje mnie i mówi: „Nareszcie wiem, co to znaczy zobaczyć olśniewającą kobietę!”. „Jestem mężatką” — odpowiadam, ruszając. On na to: „Jak złapie pani gumę, proszę mnie wezwać!”. Parkuję przed „Cappuccino”. Nagle słyszę pisk opon hamującego samochodu, odwracam się, a kierowca woła: „Ko-

chanie, nie zadzwoniłaś do mnie wczoraj! Czekałem na próżno cały wieczór!".

— Kto to był?

— Nie mam pojęcia. Rzucam: „Mieszkam u rodziców, a oni nie mają telefonu". Nie wiem, czy to go rozbawiło, bo mnie tak. Śmiać mi się chce, gdy pomyślę, że jestem taka... taka...

— Atrakcyjna. Ulica to potwierdza, niczym lustro — dokończyła Ilona.

— Uwodzenie jest najbardziej podniecającym sposobem porozumiewania się. Od dawna już tego nie przeżywam — westchnęła Sylwana. — Nie masz ochoty uwodzić mężczyzny, który sam się niszczy i degraduje. W końcu przestaje mieć znaczenie, czy mu się podobasz, czy nie.

— I który rąbnął ci prosto w oczy: „Twoje niezadowolenie zawsze wynika z mojej przyjemności" — przypomniała jej Lily.

— Właśnie dlatego — podjęła Ilona — zrozumiałam, że najwyższy czas zerwać z Armelem. Jego malkontenctwo miało na mnie fatalny wpływ tam, w Grecji. To człowiek, który widzi świat w czarnych kolorach, zije nienawiścią, spędza czas na wyrównywaniu rachunków z samym sobą, ale za twoim pośrednictwem, a cynizm jest dla niego codzienną rozrywką. Posunął się aż do teatralnego, fałszywego samobójstwa! To wszystko może wywierać tylko negatywny wpływ.

— Człowiek, który przegrywa, sam jest przegrany — potwierdziła Lily.

— Od pesymistów uciekam jak od zarazy — oznajmiła z mocą Ilona, jakby chciała przekonać samą siebie. — Od wszystkich, którzy wynajdują sobie problemy i zmartwienia, aby poczuć, że naprawdę żyją, i którzy dobrze się czują tylko w urojonych dramatach.

— Nic dziwnego, że Armel chciał zostać reporterem wojennym — zauważyła Lily.

— Tragedie ludzkości są pożywką jego własnych nieszczęść. Musi mieć codzienną dawkę Czarnobyła. Kiedy spotkałam go w Kijowie, tuż po wybuchu, powinnam była zdać sobie z tego sprawę. Ale miałam wtedy tylko jedno marzenie: uciec od reżimu i promieniowania. On pod przykrywką robienia reportażu dla swojej stacji musiał się napatrzeć do syta. Domagał się zgody na pozostanie. I koniecznie musiał zdobyć kawałek metalu z

elektrowni. Pamiętam, że na początku byłam szczęśliwa, mogąc mu wszędzie towarzyszyć. Miałam przy sobie obie moje dziewczynki, Melodie i Serenade. Oznajmiłam mu: „Kocham życie, a ono mi odplaca tym samym”. Zasepił się i odpowiedział: „Nie wiem, czy jestem dla ciebie odpowiednim mężczyzną, Ilono”.

— Kiedy facet tak mówi, to trzeba mu wierzyć. Mówi prawdę — orzekła Sylvana.

— Zrozumiałam w końcu, że szukamy rzeczy krańcowo różnych. Ja odwracam się plecami do kłopotów, on sam je wynajduje. Nie ma szans, żebyśmy znaleźli wspólną płaszczyznę. Nie możemy nic dla siebie zrobić. Ze mną czy beze mnie, zawsze będzie miał się czym zadreć.

— A ty z nim czy bez niego dalej będziesz szukać jasnej strony życia — zauważyła Lily. — Naprawdę masz szczęście. Nie potrzebujesz nikogo, oczywiście oprócz córek. Ja, żeby znaleźć „syntonię”, jak powiedziałały Flavio, muszę czuć, że ktoś mnie pragnie. Niekoniecznie mężczyzna, ale ktoś, w kim mogłabym się przeglądać jak w lustrze. To mnie dopinguje, to rodzaj gry. A kiedy osiągnę cel, tracę całe zainteresowanie. Jestem niczym łakomczuch, który koniecznie musi zjeść ulubiony przysmak, a potem robi mu się niedobrze. Albo jak policjant, który porzuca śledztwo, kiedy znajdzie mordercę.

Czy było to nowe wcielenie Francuzek? Byłem zażenowany tym odkryciem. Miałem wrażenie, że tu, w Paryżu, spotkałem odrodzonego Don Juana. Przybrał postać jednej z tych krwiożerczych, siedzących na górze istot, pochłoniętej wyłącznie polowaniem na mężczyzn. Podobną rozpustę i rozwiązłość, kobiecą i męską, znałem tylko z literatury. A tu miałem żywy przykład! Lily osiągnęła najbardziej skrajną formę erotyzmu, prezentowanego niekiedy przez samców z Południa. U nas kobieta szuka w miłości stabilizacji — Lily interesowała wyłącznie krótkotrwała przyjemność. Postępowała w sposób typowy dla mężczyzn: polowała na nowe ciała, lubiła je porównywać. Nie myślała o niczym trwałym, jak każda szanująca się kobieta; pasjonował ją krótki romans i satysfakcja zerwania. Byłem oburzony.

— Jedno mnie martwi, Lily. Wcale nie jestem pewna, czy kierujesz się własnymi pragnieniami. A jeśli to inni tobą manipulują?

To była Wenus, która wyszła z morskiej piany w zeszły piątek. Usłyszałem ją po raz pierwszy. Jej głos doskonale harmonizował z wyglądem wróżki.

— Myślę, że to ty ulegasz innym, a nie oni tobie. Boję się, że działasz na oślep i pewnego dnia się zgubisz. Podjęłaś grę, która cię zaprowadzi donikąd, kochana. Nie ty wybierasz, to ciebie wybierają, łagodną jak owieczkę. Realizujesz swoje pragnienia? Nie! Pozwalasz spełniać marzenia innych! A dlaczego? Bo już sama nie wiesz, czego tak naprawdę chcesz. Uważam, że powinniśmy się wiązać tylko z takimi mężczyznami, których naprawdę pożądamy.

— Wiazać się? Kto tu o tym mówi? — ucięła Lily. — A ty, Diane, nadal jesteś z tym samym muzykiem?

Młoda kobieta o lśniących włosach opowiedziała, jak muzyk na nią wpłynął, że się ustatkowała. Poznała go podczas realizacji filmu, w którym grała drugoplanową rolę, a on komponował do niego muzykę. Wcześniej polowała na mężczyzn tak jak Lily. Może nawet intensywniej. Mówi o tym nie po to, by ją zranić, ale jak przyjaciółka, która sama przeżyła podobny okres w życiu. Stapała po linie. Każda aktorka potrzebuje aprobaty, więc przeglądała się w ludziach niczym w lustrze. A lustra łatwo się tłuką.

— Stałam się psychicznym wrakiem. Chciałam wyrwać się z lodowego pałacu, z którego nie było żadnego wyjścia — wyznała Diane.

Borys był prawdziwym wybawieniem. I mimo że niechętnie okazuje emocje, pewna jest jego uczuć. Wie, że mocno ją pokochał. Jest jak nadmorska skała, która rozbija fale niedorzecznych wątpliwości. Przy nim odnalazła równowagę i spokój ducha. Okazał się ideałem mężczyzny, który umiał postępować z nią, niedojrzałą psychicznie i prowadzącą nieuporządkowany tryb życia. Szaleńcza miłość? Być może. O jednym jest przekonana: jeszcze na nikim tak bardzo jej nie zależało...

— Na tyle, że warto z nim być aż do... do...

Nie wymówiła do „starości”. Dla tych kobiet jest to słowo wyklęte, bo czas jeszcze nie pozostawił widocznych śladów.

Ile mogły mieć lat? Trudno powiedzieć. Trzydzieści, czterdzieści? A może dwadzieścia pięć? Mniej? Więcej? Nie mogłem mieć pretensji, że nie

określały swego wieku. Na ten temat nie miały nic do powiedzenia. Nie warto było się nad tym zastanawiać. Mogłem dać im tyle lat, ile chciałem, ocenić na podstawie śmiechu, energii, niezaspokojonego apetytu na życie, marzeń... Były młode wystarczająco długo, by osiągnąć to, do czego jeszcze nie doszła Carmela. Miały nad nią przewagę, jaką daje doświadczenie. Ponadto mieszkały we Francji. U nas, na Południu, jest ściśle określona granica między pojęciem „dziewczyna” i „mama”. Mężatka po urodzeniu dziecka pozbywa się chęci pozostania także kobietą. Dziewczyna musi. wybrać, czy się „wyszumieć”, czy szybko wyjść za mąż. Pomyślałem nagle, że Carmela chciałaby połączyć jedno z drugim. Nie przyszło mi to do głowy przed wyjazdem do Paryża. Trzeba znaleźć się daleko, żeby to sobie uświadomić. „Najładniejszy tyłek na wydziale” obudził we mnie rodzinny atawizm. Czy powiem jej „wrzucaj!” po grubiańsku, jak mój ojciec do matki, tylko po to, by podtrzymać domową tradycję? Zobaczyłem nagle swoją przyszłość: pędzę przez życie na motorze, który ciągnie za sobą przyczepę bez koła. Zgrzyt metalu po bruku dziwnie przypominał odgłos stawianej na kuchni patelni. Ten obraz mnie zaszokował. Odrzuciłem go czym prędzej jednym ruchem ściereczki po ekspresie do kawy. Nie lubię spódnic—spodni, pocztówek pisanych po przekątnej ani przyczep do motoru.

7

— Dobry test? Trzeba posypać cukrem śmietankę na *espresso* i liczyć sekundy. Im dłużej utrzymuje się na powierzchni, tym lepsza jest kawa.

Mówiącego te słowa faceta uważałem za stałego bywalca kawiarni „Cappuccino”. Dałem mu przydomek „Nos”, bo próbował rozpoznać po zapachu, jaki rodzaj kawy właśnie przyrządzałem. Niełatwo się zorientować w tysiącu aromatów; poprawił mnie, że jest ich osiemset pięćdziesiąt.

— Może to dobry test, ale nie ma nic wspólnego ze smakiem — odpowiedziałem. — Można oczywiście dodać do kawy cukru, czasem szafranu, kardamonu, goździków, cynamonu, grappy, calvadosu czy whisky. Albo

doprawić śmietanką, skórą cytryny lub czekoladą. Jednak dla mnie nie jest to dobry mariaż, wolę zostać kawalerem.

„Nos” stanowczo się domagał, żebym dodawał różnych składników przed nalaniem kawy do jego filiżanki. Prawdziwa herezja! Ale „nasz klient, nasz pan”. Byłem uniżonym sługą. A on nie był przesadnie uparty. Chociaż trzeba przyznać, że trochę znał się na kawie, wyrastał ponad przeciętność, i to w kraju, gdzie dopiero zaczęto odróżniać arabikę od robusty. Jego uwagi podnosiły mnie na duchu. Miał naukowe podejście do składników aromatycznych, które według niego powinny stanowić niecały procent zawartości każdej kawy, a przecież zapach stanowił o jakości boskiego nektaru. „Nos” opierał swoje opinie na siedemdziesięciu latach badań naukowych i na własnym doświadczeniu. W małym brązowym zeszycie skrupulatnie zapisywał sprawdzone, najlepsze, jego zdaniem, aromaty: „herbata różana, orzeszki, mocno wypieczony chleb, skóra, orzechy włoskie, lukrecja, tytoń, skórka pomarańczowa, karmel, goździk, wanilia, migdały, zioła, miód...” Był przekonany, że jest w stanie odróżnić trzydzieści sześć składników. Trzydzieści sześć z ośmiuset pięćdziesięciu. Zostało mu osiemset czternaście do przetestowania; ta perspektywa bardzo go ekscytowała.

Doceniałem to, że w kraju wina i perfum są tacy zapaleńcy, dla których pasją stało się poznanie całej gamy smaków i zapachów czarnego napoju; poznanie i ułożenie stosownego alfabetu w brązowym zeszycie. A kawa zasługiwała na poważne studia. Ja sam miałem do niej stosunek raczej poetycki, może nawet muzyczny. Zapachy były jak nuty zapisane w partyturze, śmietanka przykrywała je niczym libretto, a po zamieszaniu łyżeczką tworzyła się symfonia, której piękno wprawiało mnie w euforię. *II cielo in una tazza!* — nuciłem za Miną. — *Niebo w filiżance!*

Między mną a „Nosem” istniała jeszcze jedna różnica zdań. Facet był przekonany, że lada dzień odkryje tajemnicę opracowanej matematycznie kompozycji kawy, dostępnej na rynku. A ja wiedziałem, że to najbardziej strzeżony sekret dotyczący prażenia ziaren. Czubkami palców potrafił odróżnić i określić pochodzenie i rok produkcji; miał sprecyzowany pogląd na to, jakie należy wziąć składniki, aby uzyskać najlepszą mieszankę. Nato-

miast ja wolałem kawy oryginalne, pochodzące z jednej plantacji, z jednego regionu, z jednego kraju. Nie znosiłem mieszanek.

Byłem zagorzałym zwolennikiem ziaren z Etiopii. Bardzo lubię mokkę Harrar i mokkę Dżimma, bo są łagodne, przyjemne i mają bogaty bukiet. Może jeszcze miodową sidamo o posmaku czekolady. Właśnie tam, w dalekich i tajemniczych krajach, ujrzało światło dzienne maleńkie, sławne na cały świat ziarno. Kolebką tej rosnącej dziko rośliny była Kaffa, region na Wyżynie Abisyńskiej. *Boonna* — to transkrypcja fonetyczna wyrazu oznaczającego plantację kawy i napój, który z niej powstawał, cudowny i niepowtarzalny. Wystarczyło mi usłyszeć to słowo, by osiągnąć stan bliski ekstazy. *Boonna* będzie nazwą mojej wyśniewanej kawiarni, którą może kiedyś otworzę w Neapolu.

Przypomniałem sobie, że od dziadka, wielkiego znawcy kawy i sposobów jej parzenia, usłyszałem po raz pierwszy te magiczne dwie sylaby. Któregoś dnia w fabryce wziął mnie na kolana i opowiedział historię abisyńskiego pasterza. „Dawno temu, przed tysiącem lat, pasterz o imieniu Kaldi wypasał swoje owce w okolicach Kaffy na Wyżynie Abisyńskiej. Pewnej nocy zwierzęta zniknęły. Kiedy następnego dnia je odnalazł, były nienaturalnie ożywione i podniecone. Radośnie skakały i brykały po łące, widać było, że ogarnęła je euforia. Zdumiony Kaldi zauważył, że jadły czerwone jagody, rosnące na niektórych krzewach. Zaciekawiony, zerwał kilka owoców i zjadł. Wprawilo go to w taki sam stan podniecenia jak jego stado. Jagody miały zdumiewającą moc: dodawały wigoru i energii. Pasterz zebrał garść tajemniczych owoców i zaniósł je do pobliskiego klasztoru. Przeor odniósł się nieufnie do opowieści pasterza. Podejrzewając go o jakieś czary, wrzucił ziarna do ognia. Po chwili w izbie rozszedł się przyjemny zapach, który odurzył świątobliwego człowieka. Wtedy przeor pomyślał, że tak cudowny aromat nie może być dziełem szatana. I że są to z pewnością boskie owoce. Kazał mnichom ugasić ogień, wyjąć ziarna i przygotować z nich gorący napój. Wszyscy zakonnicy wypili czarny wywar z religijną czcią, a wieczorem modlili się wyjątkowo żarliwie. Od tego czasu przeor nakazał picie kawy każdego wieczoru przed rozpoczęciem modłów”.

Szkoda, że to tylko piękna legenda. Jednak naprawdę kawa narodziła się w Kaffie. Nie potrafiłem jej pić bez jednoczesnego rozkoszowania się boskim aromatem, ukrytym w czarnym jak noc nektarze. Zawsze przy tym myślałem o tajemnicy jego pochodzenia. Przysiągłem sobie, że pewnego dnia pojadę do Etiopii i odurzę się jagodami *boonna* jak ów pasterz.

„Nos” nie przychodził do kawiarni o jednakowej porze, by smakować *cappuccino*. Tego ranka zjawił się w tym samym czasie co moje piękne przyjaciółki. Bez przerwy mnie zagadywał i zaprzętał moją uwagę podczas całego pobytu pań. Powinienem być szczęśliwy, że wreszcie ich nie słyszę. Monolog „Nosa”, któremu od czasu do czasu przerywałem jakąś uwagą, skutecznie zagłuszał zwierzenia na antresoli. Słyszałem tylko wybuchy śmiechu. Przyłapałem się na tym, że usiłuję wyłowić jakieś urywki. Czyżbym nie chciał stracić dalszego wątku ich opowieści? Starłem się odtworzyć w wyobraźni, o czym rozmawiały. Ale słowa, jakie do mnie docierały, tylko zaciemniały obraz. Poczuję się mocno zawiedziony: mogły się obejść beze mnie! A ja już nie mogłem obejść się bez nich! Czyżby rzuciły na mnie jakiś urok? Miałem żal i do nich, i do „Filara” przy barze. Musiał przyjść tego samego dnia co one i zburzyć tajemniczą zależność między nami! Przez niego całkiem się pogubiłem i straciłem cotygodniową relację wydarzeń.

8

Niespodziewanie przyszły we dwie i zajęły stołki przy barze.

— Musisz wziąć coś na pokrzepienie — powiedziała z naciskiem Ilona.
— Do diabła z kaloriami! Dzisiaj masz zdać się na mnie, Sylvano. Proszę o kartę!

Gracieuse podała im dwie. Pianistka studiowała menu z wielką uwagą. Sine obwódki i zaczerwienione powieki podkreślały głęboką zieleń jej oczu. Z daleka można było odnieść wrażenie, że zrobiła sobie wyrafinowany

szmaragdowy makijaż. Nawet po przepłakanej nocy nie straciła nic ze swego uroku.

— Poprosimy *tiramisu*, bitą śmietaną, kawowe trufle i lody pistacjowe. Sprawি ci to przyjemność. Nie doradzam ci mrożonej kawy. Weź *frappuccino*. Musisz napić się czegoś gorącego, co mogłoby cię postawić na nogi.

Skinałem na Gracieuse. Wiedziałem, co trzeba zaproponować pianistce. Coś regenerującego — dała mi to mama, gdy miałem dziewięć lat i właśnie przeszedłem szkarlatynę. Doskonale na rekonwalescencję. Nie czekając na zamówienie, utarłem żółtko z cukrem, dodałem parę kropli *marsali* i zalałem wszystko wrzącym *espresso*.

— Zechce pani sprawdzić specjalny przepis barmana — zaproponowała kelnerka, stawiając przed nimi pucharek i kładąc dwie łyżeczki.

Ilona spróbowała, oceniła i oznajmiła, że właśnie tego potrzebuje jej przyjaciółka.

— To ci doskonale zrobi. Dla mnie proszę to samo! Czy mogę pana o coś zapytać? Podajecie tu kawę wyjątkowej jakości. Jaka to marka?

Wstyd czy zażenowanie? Od czasu mojego kretyńskiego: „Pani czy panna?“, a zwłaszcza gdy stałem się mimowolnym spowiednikiem, po prostu nie miałem odwagi zwrócić się do nich bezpośrednio. Odpowiedziałem więc, za pośrednictwem Gracieuse, że naszej kawy — „Qahwa“ od ojca Carmeli — nie ma w handlu detalicznym we Francji. Była dostępna jedynie w sieci „Cappuccino“, barach i restauracjach.

— A czy nie mogłabym kupić od pana trochę tych ziaren? — spytała Ilona o orzechowych oczach i słodkim uśmiechu.

Tego nie było w programie, ale my, neapolitańczycy, zawsze znajdujemy wyjście z sytuacji. Wsypałem niewielką ilość kawy do torebki i położyłem obok nakrycia rudowłosej.

Gracieuse, popełniająca wciąż przekomiczne błędy językowe, spytała mnie z głębi sali:

— Ottavio, zważyłeś panią?

— Pięćdziesiąt trzy kilo! — odpowiedziała ze śmiechem Słowianka.

Zabawny lapsus językowy miał tę zaletę, że wprowadził obie przyjaciółki w pogodniejszy nastrój. Z zapalem zabrały się do jajek zakrapianych

marsalą i kawą. Wzmocnione, przystąpiły do tematu, który Sylvanie spędzał sen z powiek.

— Pierwszy raz podniósł na ciebie rękę?

Sylvana zniżyła głos. Nadstawiłem uszu.

— Ta jego narastająca agresja musiała w końcu do tego doprowadzić. Wyczerpał już zapas wyzwisk, więc przeszedł do czynów. Nie powiedziałam ci wszystkiego. Pewnego wieczoru siedziałam przy pianinie, kiedy Laurent wrócił do domu. Szedł niepewnym krokiem — domyśliłam się, że był bardzo pijany. Zdjęłam ręce z klawiszy, odwróciłam się i spojrzałam na niego. Bez jednego słowa.

— Znam to twoje zielone spojrzenie — uśmiechnęła się Ilona. — Nie mógł go znieść.

— Zaczął mi wygrażać: „Co tak na mnie patrzysz? O co ci chodzi?”. Nie odpowiedziałam. Nie mogłam oderwać od niego oczu. Zupełnie jakbym obserwowała narkomana, który robi sobie zastrzyk. Nie można wtedy nic powiedzieć, żeby nie doprowadzić go do szału. Mam do niego straszny żal, a on do mnie. Stawia mnie w pozycji milczącego świadka, który jest współwinny jego destrukcji. Jednak tego wieczoru moje milczenie, bardziej niż moje wymówki, wyprowadziło go z równowagi. Nie wiem, co do mnie mówił; kiedy zaczął podnosić głos, wstałam, udałam się do swojego pokoju i przekręciłam klucz w zamku. On poszedł za mną. Zaczął walić w drzwi, chcąc je sforsować. Bezskutecznie. To go jeszcze bardziej rozwścieczyło. Z furją kopał niczym koń kopytami. Urządziłam mu niezłe derby! Złość dodaje mu sił. Z przerażeniem widzę, że w drewnie powstaje szczelina, a to jedyna zaporą, która chroni mnie przed furiatem. Zamek wytrzymuje, ale drewno trzaska. W miejscu, gdzie kopie, robi się dziura. Jeszcze kilka uderzeń i drzwi sforsuje. Dopadam do telefonu i wykręcam numer siedemnaście. „Tu policja, proszę czekać...Tu policja, proszę czekać...” — informuje nagrana taśma. Nikt się nie zgłasza, więc głośno, tak aby mnie usłyszał, zaczynam mówić, chociaż z tamtej strony ciągle nie ma nikogo: „Halo, policja? Przyjeżdżajcie szybko, boję się!”. Kopanie momentalnie ustaje. Słyszę oddalające się kroki i huk zamykanych drzwi. Laurent zniknął aż do wczorajszego wieczoru.

W tym momencie do kawiarni weszła Lily. Zdziwiła się, widząc przyjaciółki przy barze.

— Macie niewyraźne miny. Co się stało?

— Może usiądziemy przy naszym stoliku? Nikt nam nie będzie przeszkadzał — zaproponowała Ilona.

— Tu jest bardzo dobrze — zaproponowała Sylvana. — Jest mi wszystko jedno, czy ktoś mnie słyszy, czy nie. Muszę w końcu zburzyć ten mur milczenia; moją obroną jest słowo. Muszę się zabezpieczyć przed jego ponownym atakiem. Świadkowie mogą być moją tarczą. On chciałby udawać, że nic się między nami nie stało. Kiedy wytrzeźwieje, powinien mieć głębokie poczucie winy. Ale nic z tego, on niczego nie pamięta! Inni ludzie muszą mu odświeżyć pamięć, porządnie nim potrząsnąć. Inaczej nigdy nic się nie zmieni.

— Boję się, że źle się to skończy — zauważyła Ilona. — Jestem pewna, że karty, gdybyś pozwoiliła je sobie postawić, potwierdziłyby moje obawy.

— Daj spokój, sama to wiem!

— A co się właściwie stało? — zaniepokoiła się Lily.

— Proszę o *cappuccino* z dużą ilością śmietanki i kakao — zamówiła Sylvana.

— Ja też.

— A więc trzy! Sylvano, w dwóch słowach opowiem Lily, co się zdarzyło tej nocy. Od kiedy zerwałam z Armelem, zaczęłam czuć, że żyję. Zwłaszcza kiedy Melodie i Serenade są już w łóżkach. Samotne wieczory są naprawdę wspaniałe. To luksus, którego długo nie miałam. No więc organizuję sobie wieczór ze stertą pism kobiecych, bitą śmietaną i czekoladkami, kiedy dzwoni telefon. To Sylvana. „Czy mogę dziś spać u ciebie?” — pyta zdławionym głosem. Wyczuwam dramat. Kiedy przyjeżdża, nie zadaje żadnych pytań. Robię jej ciepłą kąpiel z pachnącymi olejkami, zaparzam zioła z anyżkiem, które przywiozłam z Simi, i przygotowuję mięciutki posiłek na kanapie...

Sylvana zdecydowanie przerwała to szczegółowe opowiadanie.

— Co się stało? Laurent doszedł do punktu, od którego już nie ma powrotu. Uderzył mnie w głowę partyturami. Dokładnie pięć razy!

— Chciał ci dołożyć za gderanie. I przedmiotem, który jest świadkiem twoich największych triumfów — zauważyła Lily. — Przerastasz go, Sykano. Chyba nie zdajesz sobie z tego sprawy: jesteś oklaskiwana na całym świecie; publiczność największych sal wstaje z miejsc, kiedy się kłaniasz, a organizatorzy koncertów leżą u twoich stóp. Krytycy wynoszą cię pod niebiosa. Trzeba było sprowadzić cię do parteru. Postaw się na jego miejscu. Laurent jest wrakiem na dwóch nogach. Wdeptujesz go w ziemię swoimi sukcesami.

Sylvana chciała złagodzić wypowiedź przyjaciółki.

— Choćby to były nie wiem jakie sukcesy, jestem tylko in— terpretatorką. Nie powinien robić z tego problemu. Przecież urodził się po to, żeby tworzyć. Ale nie daje sobie takiego prawa. Jakby krępował go jakiś zakaz. Co gorsza, swoje wielkie zdolności świadomie niszczy.

— Artysta ma wszystkie prawa, także aby znieść zakazy — ucięła Lily. — Powinien to zrobić. Inaczej nigdy nie zostanie pisarzem.

Na szczęście żadna z tych kobiet nie zwracała na mnie uwagi. Moje pragnienie, by pozostać nie rzucającym się w oczy barmanem, sprawdzało się. Dzięki temu mogłem teraz nie tylko słyszeć, o czym mówią, ale także je obserwować. Byłem niewidzialnym mężczyzną, przed którym obnażały się bez żadnej żenady.

— Powody, dla których nie może tworzyć, i wszystkie tego konsekwencje — to jego własne zmartwienie — zawyrokowała Ilona. — Dobrze widziałam skutki tej niemocy.

— Tego lata w Positano — podjęła Sylvana — ujawnił swoje frustracje przy stole. Jedliśmy obiad na tarasie. Jak zwykle zmagął się z butelką. Przez pierwszą część posiłku nie mówi ani słowa. Głuchy i niemy. To nieprawda, że wino rozwiązuje języki. Kiedy zaczyna pić, ucina wszelkie rozmowy i zamyka się w sobie. W drugiej części na moje prośby odpowiada z nutą ironii i pogardy: „No tak. Życie z pisarzem nie jest łatwe. Nie masz najmniejszego pojęcia, co to znaczy pisać”. Nie, nie mogę tego wiedzieć. Jestem tylko pianistką, która nie zna udręki tworzenia. Jednak protestuję: „To, że nie piję, nie palę i nie biorę narkotyków, wcale nie oznacza, że nie wiem, co to udręka”. On traktuje mnie z góry: „Przestań. Nigdy nie poznałaś tej

obezwładniającej trwogi, paniki i metafizycznego niepokoju". Trzecia część obiadu przebiega pod znakiem krytyki pianistki bez serca i duszy: „Zresztą nawet twoja gra świadczy o tobie. Jest zbyt powściągliwa i wykalkulowana. Nie dajesz z siebie wszystkiego lub nie masz nic do dania. Chowasz się za swoją wirtuozerią". Bronię się: „Zadaniem interpretatora jest oddać, a nie pokazywać. Obnażanie i wywnę— trzanie się przed publicznością mnie nie interesuje. Moja gra jest taka, jak sama chcę: przekazuję własny sposób odczuwania muzyki. W pianoforte jest i forte, i piano". Nie powiedziałam mu najważniejszego, żeby nie dolewać oliwy do ognia. Bo czy mu się moja gra podoba, czy nie — ja odniosłam sukces. Kładę ręce na klawiaturze i biorę na siebie ryzyko tryumfu lub porażki. A on nie ma odwagi, żeby przejść do czynu. Woli się upijać niż rzucić na ekran komputera parę słów, które nosi w sobie.

— Wiesz, co ci powiem? — przerwała Ilona. — Twoje muzyczne porównania nie mają tu nic do rzeczy. Największy jego problem — to on sam. On, który nie chce ciebie słuchać i zatyka sobie uszy, żeby łatwiej znieść twoje *pianoforte*.

— Do diabła! Niech się naszprycuje raz a dobrze i da nam święty spokój! — podsumowała Lily.

9

— Bardzo się martwię o Sylvanę. Od tygodnia nie mam od niej wiadomości. A dzisiaj znowu jej nie ma.

— Przyjdzie. Czekając na nią, mogłabyś mi „rzucić” karty — powiedziała Lily do Ilony.

Właśnie dostały zamówione *cappuccino*. Mogły więc spokojnie oddać się czynnościom duchowo—magicznym. Zauważyłem, iż doceniały rytuał serwowania kawy w naszym lokalu. Podano ją w gorących filiżankach, dzięki czemu napój długo zachowywał temperaturę i aromat. Papierowe serwetki na spodeczkach zapobiegały ewentualnym plamom na ubraniu. Aksamitne, wyborne ciasteczko *napolitano* lub czasami maleńkie *amaretto*

dopełniało całości. I do tego obowiązkowa szklanka zimnej wody. Wszystko to mieściło się na małej tacy. Dystrybutor — ojciec Carmeli. o czym nie mogłem zapomnieć, wciąż widząc na opakowaniach logo „Qahwa” — bardzo dbał o to, aby podawano kawę z całym ceremoniałem, który urastał do rangi małego dzieła sztuki. Oczywiście tylko w wybranych kawiarniach. To był naprawdę wspaniały moment, gdy widziałem moje ulubione klientki pijące ten cudowny nektar. A co najważniejsze: kawa rozwiązywała im języki.

— Sylvie, moja asystentka, ciągle wykazuje ogromną aktywność — zaczęła Lily.

— Z Johnstone'em?

— O nie! W tym tygodniu kreator wdał się w gorący romans z jedną z modelek. Anorektyczką o uśmiechu kanibala. Sylvie uznała, że w tej sytuacji najlepiej zaatakować Patricka.

— No tak, ona uwielbia polowanie.

— To samo powiedział mi mój ślubny, żeby zminimalizować swoją rolę: „Nie ja jestem jej celem, ale ty, Lily. Nie może bezpośrednio dobrać się do dyrektorki, więc atakuje cię jako kobietę”. Dla mnie to zbyt proste wytłumaczenie.

— A ja myślę, że on ma rację. Zauważyłam, że Sylvie czesze się tak jak ty, robi identyczne pasemka. Ubiera się też jak ty...

— To nie jest trudne. Przecież grzebie w kolekcji *pret—a—por—ter* naszej firmy.

— Stara się mówić jak ty, dostaje zadyszki, naśladowując twój głos. Stara się wyglądać jak kobieta interesu. Niczym żeński pedałek w minispódniczce. Przegląda się w tobie jak w upiększającym lustrze. Potwierdza swoją wartość w tym, co nosisz, co mówisz i co robisz. Ona nie chce ci dorównać, Lily. Ona chce być tobą. Na jej nieszczęście zawsze pozostanie tylko sobowtórem.

— To był wieczór otwarcia naszego nowego sklepu w Saint—Germain — podjęła Lily. — Trzy piętra gigantycznego butików zmieniono w nocny klub. Zabawa trwa w najlepsze, kiedy zbliża się do mnie Laurent, kompletnie pijany, „w poszukiwaniu utraconej Sylvany”. Po tej nocnej

awanturze, kiedy go rzuciła, pamiętasz, gdy ją uderzył partyturą, wydaje się, że przestał w ogóle trzeźwieć. „Masz może papierosa?” — zapytał, chwiejąc się z kieliszkiem w rękę. „Przykro mi, nie mam”. Na to on, z pijackim brakiem logiki, zrozumiałym tylko dla niego: „To czy mogę dotknąć twoich piersi?”. Moja odpowiedź strzela jak korek od szampana: „Przykro mi, ale ich także nie mam!”. Wzbudzam aplauz sąsiadów. Patrick prosi mnie do tańca. Przytulam się delikatnie, żeby mu opowiedzieć historię z Lau — rentem i... co widzę? Czerwony ślad szminki na jego szyi. Po kolorze rozpoznaję natychmiast, do kogo należy. Nagle dobrze znany głos wyje mi do ucha: „To o niczym nie świadczy. Nie martw się, kochana, to tylko ja”. Mój sobowtór! Bezczelna! Czuję, że zaraz spoliczkuję ich oboje. Ale zmieniam zdanie. Dałabym jej za dużo satysfakcji. Niewzruszona, tańczę dalej z Patrickiem, chociaż mam ochotę go zabić. Ona mnie poniża, ta dziwka! Muszę wyrównać z nią rachunki. Potem prosi mnie do tańca Aldo, który pedalskim głosem zapewnia o czystości swoich uczuć. Następnie Johnstone oplata mnie żarem namiętności i szepce omdlałym głosem, że jestem jego ulubioną *baby*.

— No to wszystko dobrze się układa!

— A co niby mam zrobić z tymi dwoma? Chcę wiedzieć, co mi przyszłość przyniesie.

Moje paryżanki nigdy nie przestaną mnie zaskakiwać. Nie były kurami domowymi, ale starannie ustawiły naczynia na tacy i przesunęły na skraj owalnego stolika. Lily wytarła wierzchem dłoni kilka okruszków *amaretto*, a Ilona wyciągnęła miniaturowe karty. Tasowanie, przekładanie, rozkładanie, wybieranie. Wszystkie te czynności odbywały się błyskawicznie, dyskretnie i w nabożnej ciszy. Prawdziwa mistrzyni z tej Ilony.

— Tylu mężczyzn, tylu mężczyzn! — zawołała ruda wróżka po krótkiej chwili. — Widać ich z każdej strony. I zauważ, że nadmiar wcale nie szkodzi! W najbliższej przyszłości nie wydarzy się nic ważnego. Będzie się dużo działo, tylko trzeba jeszcze poczekać. Ale uwaga! Pewien facet może ci przesłonić innego. Tak! Widzę coś bardzo ładnego w twoim życiu uczuciowym. Ktoś ci go kompletnie przewróci. Tak mówią karty. Bardzo ważne spotkanie, bardzo znaczące; miłość związana z podróżą, z przestrzenią, z

zagranicą. Już się zbliża. Ale nie natychmiast. Powtarzam ci: w tej chwili nic istotnego. Później...

Czarodziejski profil Diane przemknął obok mnie niczym strzała. Z antr soli doleciał do moich uszu jej opanowany głos.

— Bałam się, że już wyszłyście. Czuję się okropnie speszona. Miałam spotkanie z Anne Sibylle, producentką mojego filmu. Spóźniła się całe czterdzieści pięć minut. Przewiduję, że będę miała z nią ciężką przeprawę. To jedyna w swoim rodzaju karykatura: mieszanka bufonady, ignorancji, arogancji i braku kultury. Blondynka w stylu lat sześćdziesiątych, z całoroczną opalenizną rodem z solarium. Włosy przytrzymane okularami przeciwsłonecznymi w dzień i w nocy! Innymi słowy — wszystko, co lubię! W dodatku ma wysoki głos, a dzięki posiadanej forsie mówi tonem nie znoszącym sprzeciwu. Jeszcze jeden szczegół, który mnie dobija: fałszywie całuje. W końcu jej nie proszę, żeby mnie całowała, tylko żeby wyprodukowała ze mną film.

— Jaką zagrasz rolę? — spytała Lily.

— Główną. Skoro jestem autorką scenariusza, napisałam sobie tę rolę na swoją miarę. Poza tym znalazłam reżysera i współproducentów w Brazylii. Jednym jest Carlos Delgada, wielka postać z „Cinema Novo”, frankofil i dawny uchodźca polityczny w Paryżu. Drugi — to najważniejsza w Brazylii wytwórnia kierowana przez Antonia Carreto.

— Pasjonujące! — stwierdziła Ilona. — A jaki będzie tytuł filmu?

— *Oczy jak węgle, Olho de Brasa* po portugalsku.

— Ona w dodatku mówi po portugalsku! I to z akcentem z Rio!

— Uczyłam się portugalskiego na telefonicznych kursach, codziennie przez cały rok, u pewnego nauczyciela tańca *cario— ca*. Doskonała metoda nauki języków obcych, mogę polecić ją wszystkim.

— Co jest tematem filmu?

— Chciałam zrobić *remake* i dalszy ciąg *Czarnego Orfeusza*. Zdaję sobie sprawę, że wizerunek Brazylii we Francji ukształtował cudowny film Marcela Camusa, który go zrealizował w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku. Przez czterdzieści lat wciąż ta sama wizja! A przecież kraj się zmienił. Odbyłam trzy podróże: pierwszą, żeby zakochać się na tyle, by

kręcić tam film; drugą, aby dokonać koniecznych poprawek w scenariuszu, i trzecią tego lata — z Borysem. On pojechał, żeby przesiąknąć tamtejszą muzyką i nagrać ścieżkę dźwiękową, a ja, by producentom przedstawić scenariusz. Podczas tych podróży lepiej poznałam Brazylię i stwierdziłam, że nasze wyobrażenia o tym kraju nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Nasza wiedza sprowadza się do tego, że panują tam tropikalne upały.

— Wymyśliłaś dalszy ciąg kultowego filmu. Jaki będzie?

— Pamiętacie ostatnie sceny? Nie? W takim razie musicie obejrzeć kasety; można ją dostać we wszystkich wypożyczalniach. Zdumiewająca poezja! A więc Orfeusz, *negro* i *carioca*, niesie w ramionach martwą Eurydykę i rzuca się w przepaść. Tragiczny koniec nieszczęsnego związku — tak było w micie. Ale nagle wschodzi słońce nad *favelą*, brazylijskimi slumsami, i jutrzienka oświetla troje dzieci: dziewczynkę i dwóch chłopców. To symbol nadziei. Jeden z chłopców podnosi gitarę Orfeusza i podejmuje jego refren, a dziewczynka oddała się, tańcząc sambę. Koniec. Napisy. Moim zamiarem było pokazanie tych dzieci i ich losów po czterdziestu latach.

— Sprytnie. A po co ten *remake*?

— W rezultacie to już któraś wersja mitu o Orfeuszu; kolejne wcielenia poety—muzyka nie przestały fascynować ludzi od Tracji po Brazylię. Choćby miał wiele kolorów skóry, nie wiem, ile razy schodził do piekieł w poszukiwaniu rajskiego zjawiska zwanego Eurydyką, łamał lirę i fajkę, chcąc zawrócić pomimo zakazu — to jednak ciągle pojawia się na nowo, cudownej urody. Poprzez tysiąclecia i oceany! Wzięłam starą legendę i dodałam wymiar współczesny, dokonując przy tym pewnych zmian. Tym razem to Eurydyka szuka Orfeusza w piekle obecnej Brazylii. I nie giną, bo ona go ocali.

— Odwrotność mitu i *happy end* — podsumowała Lily. — Nieźle. Będziesz musiała nam to opowiedzieć ze wszystkimi szczegółami. Ale dlaczego tak bardzo interesujesz się Brazylią?

— Stara historia. Kiedyś wam opowiem. Teraz muszę zmykać.

Wszystkie trzy podniosły się jak na komendę i rozbiegły w trzy różne strony Paryża.

Właśnie zniknęły, gdy pojawiła się czwarta, ta, której się nie spodziewały — Sylvana. Spojrzała smutnym wzrokiem na antresolę i stolik, przy którym siedziała już jakaś para, i zajęła miejsce przy barze.

— Poproszę *macchiato* — zamówiła.

Postanowiłem zrobić jej dedykację. Posypałem śmietankę kakao i łyżeczką wyrzeźbiłem duże „S”. Czy zauważy? Sylvana długo patrzyła na zawartość filiżanki, zanim dostrzegła moje przesłanie. Dała Gracieuse podwójny napiwek i dodała z naciskiem:

— Za *macchiato* i *sospeso*.

Sospeso — dokładnie „w zawieszeniu” — w Neapolu świadczy, że za kawę dla biednego, który nie mógł sobie na nią pozwolić, ktoś zapłacił. Taka charakterystyczna oznaka neapolitańskiej gościnności i pianistka pokazała, że doskonale zna ten sympatyczny obyczaj. Wiadomość została odebrana. Elegancka odpowiedź na moje „S” na czekoladzie. To wydarzenie rozjaśniło mi cały szary tydzień.

Przyszły pół godziny wcześniej niż zazwyczaj — to im się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Zielonooka pianistka omiotła salę badawczym spojrzeniem i dała znak lektorcy rosyjskiego.

— Możemy zaczynać.

— Dziękuję ci za zaufanie, Sylvano. Wiedziałam, że pewnego dnia ty także do tego dojrzejesz.

— Nie mam nic do stracenia...

— Dla ciebie zastosuję inną wróżbę: grę imion.

Ilona wyciągnęła minikarty, potasowała, kazała przyjaciółce przełożyć je lewą ręką, szybko obejrzała od spodu dwie utworzone kupki i ponownie je złączyła. Następnie rozsypała karty na stoliku, kazała Sylvanie wybrać siedem, bo tyle liter miało jej imię, i ułożyła je poziomo. Potem pianistka wybrała siedem kolejnych kart, które zostały rozmieszczone pionowo. Powsta-

ło siedem grup po dwie karty w każdej — Ilona je odwróciła i skoncentrowała się.

— Od tego momentu — oznajmiła — zapominam o wszystkim, co wiem, i mówię tylko to, co widzę.

A po paru chwilach milczenia zaczęła wróżyć:

— Oto mężczyzna, który zna okrutną wędrowkę przez pustynię, który cierpi na straszną samotność, nie potrafi się przemóc i wyjść naprzeciw innym ludziom. Osiągnął stan, który nie pozwala mu iść naprzód, jakby trzymały go niewidoczne cugle; ogarnięty jest paniką i przytłoczony dumą. Powiedziałabym, że czeka na autobus, chociaż wie, że on nigdy nie nadjedzie. Pograża się, wszystkiemu stawia opór i sam wymierza sobie karę. A ma prawdziwy talent. Ogromny talent. Tylko że w niego nie wierzy. Nie wierzy w siebie, a inni go nie rozumieją. Ty też nie. Czuje się krytykowany i osądzany. Chce ciebie i zależy mu na tobie. Sądzi, że nim gardzisz. Bardzo cierpi z tego powodu i każe ci za to płacić wysoką cenę. Nie przeżywasz z nim sielanki, o nie! Bo on się uważa za nieudacznika, ale ma swoją dumę. A jednak pewnego dnia osiągnie sukces. Nie zazna prawdziwej sławy, zaliczy pierwszy jej stopień. Dokończy swoją powieść i zdobędzie uznanie. Będzie świętował pięćdziesiąte urodziny może nie w pełnej glorii, ale z poczuciem spełnienia. W końcu się odblokuje. Napisze inne książki. Jeśli chcesz do niego wrócić, nie możesz głaskać bestii pod włos.

— Chyba żartujesz! — ucięła Sylvana.

Powiedziała, że wracał już trzy razy. Wcale nie po to, żeby przeprosić. Bał się, żeby nie wzięła tego za oznakę słabości. Wracał, by stawić jej czoło. I za każdym razem kłótnie były coraz gwałtowniejsze. Za pierwszym razem powiedziała mu, że to koniec. Źle! Spotkały ją przekleństwa i obelgi. Oznajmiła mu: „Jeśli aż tak brakuje ci argumentów, to znaczy, że nie masz nic do powiedzenia”. Za drugim razem oświadczyła, że nie wda się w żadne dyskusje z kimś, kto aż tak bardzo jej nie szanuje, bo „to jedyny sposób, by mieć szacunek dla samej siebie”. Za trzecim — zachowała większy dystans. Zapewniła, iż rozumie, że alkohol jest mu niezbędny do życia. Nawet jeśli rujnuje mu zdrowie i zdolność tworzenia, nawet jeśli niszczy w niej szacunek do niego, nawet jeśli obraca w gruzy ich związek. Skoro jest mu aż tak

potrzebny, to niech się go nie wyrzeka. Powinien iść aż do końca i zaspokoić swoje pragnienia. Ale sam. „To jest twoja historia — stwierdziła — ale już nie moja”.

— Zerwanie z nim jest aktem mojej wierności — orzekła Syl— vana. — Wierności człowiekowi, którego kochałam. Miłości, którą mu ofiarowałam.

Dla kobiet w moim kraju — tak jak dla tej ślicznej Latynoski — istniało wszystko albo nic. Związek na lata albo zerwanie. Pozytyw lub negatyw. Żadnych półśrodków.

— A moim zdaniem — zauważyła Ilona, zbierając karty — jest aktem wierności samej sobie. Od czasu gdy nie widzę koło siebie flagi piratów z trupią głową i piszczelami, mój statek nabrał przyśpieszenia. Tyle że teraz żegluję po spokojnych wodach. Żegluję dla siebie. I oczywiście dla moich córek. Wybaczcie mi, koleżanki, ale jestem dla siebie najlepszą przyjaciółką. Rozpieszczam się; rozpuszczam. Dogadzam wszystkim swoim zachciankom. Nigdy nie tracę okazji, by cieszyć się każdą chwilą szczęścia, choćby nie wiem jak banalną. Nie przechodzę obojętnie obok żadnej przyjemności pod pretekstem, że trafi mi się coś lepszego. Nie zostawiam sobie najsmaczniejszego kęsa na koniec; zjadam go od razu. Gromadzę małe radości, czekając na wielkie szczęście. A jeśli ono nie przyjdzie, to skorzystam z tego, co los przyniesie. W moim kraju mówi się: „To, co zostawione, jest już stracone”. Każdego dnia robię listę tego dobrego, co mi niebo zesłało, i bardzo za to dziękuję. Kocham życie, a życie mi to odwzajemnia. Robię także spis rzeczy, których jeszcze oczekuję. Nie boję się prosić o gwiazdkę z nieba. Żeby los się uśmiechnął, trzeba w niego wierzyć. Ja w to zawsze wierzyłam. Nawet w najczarniejszych chwilach w Kijowie. Nawet w najgorszych momentach z Armelem.

— O właśnie! Co się z nim dzieje?

— Och, po każdej próbie samobójstwa pisze do mnie list. Tym razem nie pisał krwią ze swoich świętych wnętrzności. Teraz, żeby mnie zaskoczyć, skupił się na uzębieniu. „Wy— szczotkuję sobie zęby moim Liigerem” — nabazgrał. Rozpowiada wszędzie i tak aby to doszło do moich uszu, że pali sobie w łeb. Bynajmniej nie narzekam. Pewnego dnia znaleziono go w jakiejś kawiarni — miał atak epilepsji. Zawieziono do szpitala psychia-

trycznego. Chce mnie widzieć, żąda mego przyjścia. Ale się nie złamałam — więc jestem przyczyną jego śmierci. On jest pod doskonałą opieką, która pozwala mu złagodzić szok. Ja też jeszcze żyję. I muszę się ochraniać. Nie mogę dać się wciągnąć w jego porażkę. Nie chcę być zarażona jego gangreną. Nie chcę go widzieć za żadne skarby świata! Potrzebuję koło siebie mężczyzny silniejszego ode mnie, a nie takiego, który mnie osłabia. Sprzymierzeńca, a nie wroga. Przez pewien czas nie miałam żadnych wiadomości. Aż w zeszły poniedziałek telefon dzwoni o ósmej rano: „Przyjdę po rzeczy o siódmej wieczorem”. „Jakie rzeczy?”. „Moje rzeczy”. „Wszystkie?”. „Tak”. „Doskonale”. Odkładałam słuchawkę. Jego kartony są spakowane i zawiązane od czasu mojego powrotu z Simi. Znów dzwoni: „Moja legitymacja prasowa jest...” „Sam zobaczysz gdzie!”. Nagrywa się na sekretarkę piętnaście razy: „Muszę mieć legitymację prasową i prawo jazdy, żeby wynająć furgonetkę”. Tazszą wszystkie kartony na podest schodów i wychodzę na Sorbonę. Kiedy wracam, paczki wciąż tam stoją. Przed wieczorem dzwoni do drzwi. Dobija się. Telefonuje. W końcu wsuwa pod drzwi kartkę, jak tamtej nocy, gdy napisał patetyczne „kocham cię”, w dodatku własną krwią. Teraz czytam prozaiczne: „Gdzie jest ta przeklęta legitymacja?” — tym razem długopisem. Piszę odpowiedź i wsuwam pod drzwi: „Wszystko jest w kartonach. Spieprzaj!”.

— Nie odchodźcie, dziewczyny, nie odchodźcie!

Lily wpadła do lokalu jak tornado. Przeciąg przyniósł zapach cukrowej waty i uderzył we mnie jak biczem.

— *Espresso* dla mnie — rzuciła w locie do Gracieuse. — *Doppio!* Podwójne!

Byliśmy tu, aby zaspokajać wszystkie kaprysy gości. *Doppio* lub *semplice* — podwójne lub normalne, *ristretto* czy *lungo* — mocne czy słabe, *macchiato* — czarna kawa dla takich purystów jak ja, kawa zakrapiana alkoholem, kawa prawdziwa i fałszywa. *Smali*, *medium* i *large* — nazwy importowane z Nowego Jorku przez naszą „Mortadelę z ludzką twarzą”. To nie koniec importu: „filiżanka” — to *to stay*, „kubek” — *to go* albo *light* lub *superlight*, a także *ghost* — duch, prawdziwe widmo kawy bez kofeiny, bez cukru i mleka. Biały fajans służył chyba temu duchowi za prześcieradło!

Kiedy się „ducha” szybko połknęło, nie wiedziało się, czy piło się kawę, czy może coca— —colę.

Na miejscu szefa kazałbym położyć nacisk na neapolitańską tradycję picia i nazywania kawy. I nie uległbym tym okropnym amerykańskim. Ale szef, urodzony nad Zatoką Neapolitańską, fortunę zbił na Manhattanie i dostosował naszą wiekową tradycję do życia w nowoczesnej metropolii. A teraz postanowił sprowadzić ten model do Paryża.

— Jestem zestresowana, gonię w piętę i mam dosyć! — oznajmiła Lily. — Prowadzę wariackie życie. W zeszły piątek miałam wsiąść do pociągu jadącego do La Baule, żeby spędzić tam weekend z synkiem i moimi rodzicami. Musiałam się bardzo spieszyć, żeby zdążyć. I oto wpadam w korek, bo właśnie była jakaś manifestacja. Porzucam samochód Patricka na ulicy i dzwonię do wypożyczalni. Chcę natychmiast mieć motor. Przyjeżdża. Wpadam na dworzec z kaskiem w rękę i wskakuję do ruszającego pociągu. Od razu zdaję sobie sprawę, że się pomyliłam. Ale nic na to nie mogę poradzić. To nie był ekspres, tylko osobowy, który włókł się dwadzieścia kilometrów na godzinę i zatrzymywał na każdej stacji. Przyjechałam na miejsce pięć godzin po czasie! To właśnie cała ja!

— Mój Boże, jestem strasznie spóźniona! — Sylvana podniosła się gwałtownie.

Ilona została. Lily nie musiała parzyć sobie gardła gorącym *doppio*. I mogła kontynuować opowieść o swoich przygodach:

— Teraz mogę ci powiedzieć, dlaczego dziś dołączyłam do was dopiero teraz. Właśnie miałam wychodzić, kwadrans przed dziewiątą, kiedy zadzwonił telefon. Laurent. Trzeźwy. Może z powodu wczesnej pory? „Jestem na dole z rogalikami. Mogę wejść na górę?” — pyta. Nic do mnie nie dociera. „Przepraszam, ale chyba nie zrozumiałam”. „Ależ tak, chcę zjeść z tobą śniadanie”. „Już jadłam”. On nalega. Stanowczo odmawiam i wyjaśniam: „Po pierwsze — za minutę wychodzę; po drugie — Sylvana jest moją najlepszą przyjaciółką”. „Nie bądź taka zasadnicza — oponuje. — Otwórz!”. „Zasadnicza czy nie, zapomnij!” — oświadczam. Dzwonił jeszcze piętnaście razy. W końcu wychodzę. Nie chcę tracić naszego spotkania. A on czeka na mnie i od razu z góry: „Co ty sobie wyobrażasz? Chciałem właśnie o niej

porozmawiać! Ona nie chce mnie widzieć, ta dziwka!". „Po tym jak ją uderzyłeś, to chyba zdrowy odruch z jej strony!". No i wiesz, wiesz...

Lily dostała sztubackiego ataku wesołości, którą natychmiast zaraziła Ilonę.

— Wiesz, co mi pokazał?!

Ich śmiech wystrzelił jak strzała, wezbrał jak fala i eksplodował niczym sztuczne ognie. Dwie wariatki, które się nawzajem napędzały. Razem się skręcały i trzymały za boki. Płakały, siusiały ze śmiechu.

— Pokazał... pokazał...

— Co? Swojego fiuta?

Myślałem, że zaraz umrą. Ich wycie z antresoli rozeszło się po sali. Całe „Cappuccino" śmiało się z nimi, nie wiedząc dla czego. Kiedy się w końcu uspokoiły, po wielu czkawkach, spazmach i jękach, Lily udało się wydusić:

— Mózg gadziny.

— Co takiego?!!

Tym razem rechot był intensywniejszy. Już nie miały żadnych hamulców. Słuchałem ich z przyjemnością. Cały bar kołysał się jak gondola. Gracieuse upuściła tacę, a ja przelałem śmietankę.

— No tak — uspokoiła się Lily. — Uważa, że to nie on, osoba cywilizowana i odpowiedzialna, ale drugie „ja", bestia wymykająca się spod kontroli i prymitywna, ukryta gdzieś w podświadomości. To ona zaatakowała Sylvanę. Jego „mózg gadziny" — rozumiesz?!

11

Zła wola? Nie pojechałem na rozpoczęcie roku akademickiego w połowie listopada. W końcu, na ostatnim roku nauki, to nie jest takie istotne. Będę w Neapolu na Boże Narodzenie i szybko nadrobię opuszczone zajęcia. Gorzej było z Carmelą — nie mogła się z tym pogodzić. Jej płaczliwe, pisane po przekątnej kartki zawierały same wymówki. A potem nagle przestała pisać. Byłem zaniepokojony. I właśnie tego piątku, zaraz po otwarciu, postanowiłem do niej zadzwonić.

— Carmelino, co u ciebie?

Cisza ciężka jak ołów, a potem:

— Możesz sobie wyobrazić... Nie, nie możesz sobie tego wyobrazić. Gdybyś mógł, nigdy byś mnie tak nie zostawił, bez żadnej wiadomości.

— Bo widzisz... szlifowałem mój francuski.

To wszystko, co znalazłem na usprawiedliwienie. Wcale nie byłem z tego dumny. Toteż nie zdziwiła mnie lawina obelg, które moja neapolitanka rzuciła w słuchawkę.

— Nigdy się tego po tobie nie spodziewałam, Ottavio! Okazało się, że jesteś okrutnym egoistą. Tchórz, podlec i ordynus! Poważnie się zastanawiam, jak masz zamiar kierować swoim życiem. No i moim...

Uratowało mnie wejście pierwszych porannych gości, którzy powoli zaczęli zapełniać kawiarnię.

— Muszę kończyć, Carmelo. Już nie jestem sam. Wszyscy mnie wołają. Cał...

Trzasnęła słuchawką. Zdecydowanie nie lubię spódnic— —spodni, kartek pisanych po przekątnej, przyczep motorowych, czasownika „kierować” i trzaskania słuchawką.

Diane i Sylvana zajęły stolik z napisem „Reserve”. Witajcie w „Cappuccino"! Ich przyjście starło mi z ust ostry smak goryczy. Dzisiaj naprawdę czułem potrzebę picia nie tylko mojego ukochanego *ristretto*, ale także ich słów. Nie skłamałem Car— meli. Słuchając zwierzeń, robiłem zadziwiające postępy we francuskim. Nabrałem zwyczaju notowania w brązowym zeszyte wszystkich słów i zwrotów, których nie rozumiałem. Wieczorem szukałem ich znaczenia w słowniku i starałem się odtworzyć w pamięci temat rozmowy. W ten sposób spędzałem z nimi jeszcze więcej czasu: całą godzinę w każdy piątek na słuchaniu ich zwierzeń, a resztę tygodnia — na odtwarzaniu, roszyfrowywaniu i zapisywaniu; na analizowaniu i interpretowaniu.

Dzisiejszego ranka aktorka—scenarzystka miała wyraźną obsesję na punkcie Anne Sibylle, producentki.

— Kiedy na nią spojrzałam — mówiła Diane — zobaczyłam w jej oczach wrogość i niechęć. Zimnoniebieskie źrenice rzucały ukradkowe spojrzenia.

Przypominała chmurę, która nagle się pojawia, na moment zasłania słońce i pogrąża w cieniu całą okolicę. A po chwili znów wszystko błyszczy. Światowe życie w całej krasie. Byłyśmy umówione na obiad z naszą wspólną przyjaciółką. Spóźniła się półtorej godziny i ani słowem nie przeprosiła. Ostentacyjnie demonstruje całej sali, na jakim jest luzie. Mówi bardzo głośno i nikogo nie słucha. Z każdej informacji wyląpuje tylko jakieś nieistotne strzępy i na ich podstawie wyciąga fałszywe wnioski, wygłasza wyświechtane frazesy i banalne komunały. I ten jej straszny brak kultury, usłyszane gdzieś przypadkiem fragmenty rozmów, z których zapamiętała jedynie parę nieważnych słów, ale teraz wygłasza je tonem nie znoszącym sprzeciwu! Carlos Delgada? „Nigdy o nim nie słyszałam”. Wymieniam tytuły kilku jego filmów.

No tak, oczywiście!". Wpada w zachwyty, mówiąc o ostatnim: „Rewelacyjny! Zupełnie odłotowy!". Innych nie widziała, ale może sobie wyobrazić! „A co z Albertem?” — pyta nagle. „Z Albertem? Jakim Albertem?”. „Jak to jakim? Albertem Ca— musem, oczywiście!" — odpowiada lekceważąco. „Chyba ma pani na myśli Marcela Camusa. Albert umarł dawno temu". Pomyliła pisarza z filmowcem, ale nie czuje się w najmniejszym stopniu zażenowana. Rozstajemy się. Mamy do siebie zadzwonić. Dzwonię do niej pierwsza. Czuje się bardzo zobowiązana. Chce przeczytać mój scenariusz. Natychmiast. W ciągu kwadransa przysyła mi posłańca. Nawet nie zdążyłam dołączyć żadnego liściku. Ale muszę przyznać, że jej troska mi schlebia. Tę wyraźną niecierpliwość biorę za oznakę dużego zainteresowania. Powinam jednak pamiętać, że wszystko wokół niej jest jednym wielkim pozorem. Tylko jej dwóch wspólników i wytwórnia filmowa istnieją naprawdę. No i kontrakt, który chce podpisać. Kiedy spotykamy się po trzech tygodniach, opowiada mi o Brazylii widzianej jej oczyma: stoisko z krzykliwymi pocztówkami, kicz i slogany. Po dziesięciu minutach zdaję sobie sprawę, że jeszcze nie przeczytała scenariusza. Przysłała pilnie posłańca, aby nie przeczytać ani jednej linijki!

— Twoja producentka to kompletne zero!

Przyszła Lily i jak zwykle zamówiła *macchiato*.

— Co najgorsze, perorowała tak, jakby go przeczytała od deski do deski — mówiła Diane. — Tydzień później udaje mi się załatwić spotkanie z prezydentem Towarzystwa Francusko— —Brazylijskiego. To bardzo wpływowy człowiek, dawny dyplomata, który spędził w Brazylii wiele lat. Mamy iść do niego obie. Oczywiście monstrualnie się spóźnia. Dostaję białej gorączki. Po godzinie i piętnastu minutach mam dosyć. Proszę sekretarkę, żeby prezydent zechciał przyjąć mnie samą. Wchodzę do gabinetu i co widzę? Anne Sibylle, rozparta na krześle, szczebioce jak najęta. Którędy tam weszła? Dlaczego mnie nie uprzedziła? Widzę, że moja obecność ją drażni. Kompletnie mnie ignoruje i zachowuje się jak szkolna prymuska: stroi głupie miny i notuje każde słowo dyplomaty. Widać, że niczego nie rozumie, wszystko jej się płacze. Prezydent ma finezyjne poczucie humoru — ona reaguje rubasznym rechetem. Jak mam się odciąć od takiej wulgarności? Umieram ze wstydu. Koniec wizyty. Anne Sibylle proponuje, że odwiezie mnie samochodem. „To po drodze” — wyjaśnia kierowcy. Na tylnym siedzeniu są porozrzucane kartki mojego scenariusza. Zbieram je bez słowa, żeby na nich nie usiąść. Kiedy stoimy przed czerwonym światłem, oddaje mi jeszcze jedną kartkę. Nie ośmiela się spojrzeć mi w oczy, mówi do mnie, nie patrząc w moją stronę: „A jeśli Delgada będzie chciał brazylijskiego muzyka?”. Borys jest współautorem mojego projektu. Spokojnie, ale zdecydowanie odparowuję: „Powiedzmy mu: nie”. Nagle Anne Sibylle oświadcza, że nie może mnie już odwieźć do domu. Przypomina sobie o bardzo pilnej sprawie w innej części miasta. Wymuszam na niej następne spotkanie. Chcę, żeby przynajmniej posłuchała wstępnego nagrania mojego narzeczonego.

— Jeszcze nam nie opowiedziałaś treści filmu — zauważyła Lily.

Zabrała się do picia kawy z wyraźnym łakomstwem. Wręcz „usłyszałem” śmietankę na jej języku.

— Muszę najpierw zamówić *tiramisu* i kawę — zdecydowała Diane.

— Uwaga! Po tym kurczą się spódnice! — zabawnie przestrzegła Lily.

— Będę się odchudzać podczas kręcenia filmu. Od naszej podróży zeszłego lata do Rio nie mam od Delgada żadnej wiadomości. Chcę wierzyć, że z powodu realizacji kolejnego filmu.

Aktorka umiała opowiadać. Jaki dobór słów, intonacja, jasność przekazu! Miałem wrażenie, że słucham muzyki. Było tam *larghetto*, *andantino*, *moderato*, *allegretto*, *prestissimo*, *vivace*, *grazioso*, *cantabile* i *agitato*. Diane mówiła tak, jakby miała przed sobą zasłuchaną w niej publiczność. Antresola była teatralną sceną. A ja w budce suflera łowiłem każde jej słowo.

— Mamy więc Fio, jedno z tych dzieci, które podniosły gitarę Orfeusza. Został gwiazdą brazylijskiej muzyki. W czasach wojskowej dyktatury poprosił o azyl polityczny w Paryżu, potem zaznał sławy w Londynie i Nowym Jorku. W końcu wrócił do ojczyzny. Jego nowa Eurydyka ma na imię Iris...

— To ty!

— Tak, ja — roześmiała się Diane. — Jest Francuzką, reporterką dużej paryskiej gazety. Przemierza prawdziwe piekło od Rio de Janeiro po Sao Luis do Maranhao. Ma przedstawić obraz współczesnego społeczeństwa na podstawie losów trzech wybranych osób. Domyślcie się, o kogo chodzi. To dwóch małych chłopców i dziewczynka z ostatniej sceny filmu Marcela Camusa. Teraz są już dorośli. Muzyk, były uchodźca polityczny widzi Brazylię zupełnie inaczej niż dziennikarka. Wciąż ma zakodowany w podświadomości poprzedni obraz i swoimi majakami karmi umysł młodej Francuzki; dla niej jest to wspaniała okazja, żeby zebrać doskonały materiał na reportaż. Angażuje się zawodowo i emocjonalnie. Z pasją śledzi krzyżujące się losy tej trójki. Dziewczynka w białej sukience jest obecnie deputowaną, reprezentującą w parlamencie interesy mieszkańców slumsów. Jeden z chłopców to *malandro* — z połączenia dwóch słów: *dealer* i *zabójca*. Pomaga dziennikarce odnaleźć trzeciego bohatera, muzyka, którego poznała w Paryżu w przeddzień swojego wyjazdu i nieprzytomnie się w nim zakochała. Ten trzeci to Fio, duchowe dziecko Orfeusza, flecista i...

— Zaraz, zaraz! Kogoś mi przypomina...

— Borysa, oczywiście. Był dla mnie źródłem inspiracji. A więc Fio, znany na całym świecie pieśniarz walczący muzyką o wolność swojego kraju, wraca incognito do ojczyzny. Chce wyrównać rachunki z przeszłości. Bezwiednie wciąga w swoją niebezpieczną grę nieświadomą niczego Iris, która nie opuszcza go ani na chwilę. Po wielu dziwnych wydarzeniach z

nieuchronnego związku tych dwojga rodzi się nowy mit. Nieuniknione spotkanie, szaleńcza miłość, niepowetowana strata, zagładanie do najgłębszych tajników duszy i... nieprzewidziany upadek. Inaczej niż w micie Iris — Eurydyka schodzi do piekła po swojego Fio—Orfeusza; piekła slumsów i nędzy. To ona, twarda, ale zakochana i czuła, w końcu go ocali.

— Najbardziej podoba mi się wątek miłości francusko—brazylijskiej — skomentowała Ilona. — Najpierw znany francuski reżyser przedstawia całemu światu nieznanego Brazylijczyka. Następnie młode pokolenie Francuzów — mam na myśli ciebie, Diane — pokazuje nową Brazylię widzianą oczami reporterki. No, a muzyk we Francji znalazł schronienie i sławę.

— Właśnie w Sao Luis do Maranhao, mieście założonym w tysiąc sześćset dwunastym roku przez Francuzów, spełni się ich przeznaczenie.

— Jeśli dobrze zrozumiałam, Fio jest czarny, a Iris biała — zauważyła Sylvana. — Ich metyska miłość doskonale odzwierciedla dzisiejszą tendencję: myśleć, patrzeć, słuchać i kochać różnorodnie. Twoja francuska bohaterka jest doskonałym przykładem w kraju, gdzie występują wszystkie kolory skóry i największa różnorodność kultur.

— Miłość jasnej Iris i ciemnego Fio dojrzewała przez długie wieki. Już najwyższy czas przenieść to na ekran! — entuzjasmowała się Lily.

12

— Poproszę *latte macchiato* — zamówiła Sylvana, przechodząc obok baru. Była chyba w doskonałym nastroju.

Pianistka grała kiedyś w Teatro San Carlo i podczas swojego pobytu przesiadywała w neapolitańskich kawiarniach, takich jak „Gambrinus” lub „La Caffettiera”. To wykwintne lokale o wspaniałej atmosferze. Po złożonym zamówieniu zorientowałem się, że zachowała w pamięci wszystkie niuanse serwowanej tam kawy — od czarnej do białej — podawanej w tradycyjnych maleńkich filiżaneczkach *tazzutella*. W jednej tylko kawiarni, tam gdzie pracowałem, podawano ich od trzech do czterech tysięcy dzien-

nie! Być może ja sam przygotowałem jej pewnego dnia filizaneczkę z gorącym nektarem, nie zdając sobie z tego sprawy.

Kiedy przyszły Ilona i Lily — niemal w tym samym czasie — zdążyła już zamówić następne *latte macchiato*, mleko, jakby ledwie „poplamione” kawą, nie mające nic wspólnego ze zwykłą kawą z mlekiem.

— Jakie wrażenia? — spytała promienna tego ranka Sylvana.

— Bardzo dobre! — odpowiedziała Lily.

— „Super, klawo, w dechę!”, jak by powiedziała moja producentka — oświadczyła Diane, zajmując miejsce przy stoliku.

— To był wieczór, jakie nieczęsto zdarzają się w Paryżu — potwierdziła Ilona. — Przynajmniej u ciebie, Sylvano, można poczuć smak prawdziwego święta.

— Kiedy moja uczennica poprosiła, abym jej udostępniła mieszkanie, bo chciałyby uczcić swoje dwudzieste urodziny, wcale nie byłam zachwycona — zaczęła opowiadać Sylvana. — Oglądanie gestykującego tłumu raperów przerastało moje siły. Zgodziłam się jednak, bo Lisa to córka mojego serdecznego przyjaciela, jest wyjątkowo uzdolniona i bardzo dobrze wychowana, a ja miałam ochotę ofiarować jej prezent, który sprawiłby prawdziwą przyjemność. I nie żałuję. Chciałam być dyskretna, więc po powrocie do domu poruszałam się niemal na paluszkach; to przecież było jej święto! Oprócz was trzech nie zaprosiłam innych przyjaciół. Przedtem byłam na obiedzie zorganizowanym przez moją wytwórnię płytową i dotarłam do domu o pierwszej w nocy. Nigdy bym nie przewidziała, co się potem może przytrafić.

— A więc nie widziałaś incydentu z taką jedną, którą nazwałyśmy wymoczką — przerwała Lily. — Tańczyłam z nieziemskim facetem. Piękna twarz, wysoki wzrost, rzeźbione ciało, bujne, zaczesane do tyłu szpakowate włosy, oczy modre jak Dunaj, policzki słowiańskie — sama szlachetność. A przy tym uosobienie seksu. Zbyt piękny, żeby naprawdę istnieć.

— To mój przyjaciel Igor, dyrygent słowackiej orkiestry, ojciec mojej uczennicy.

— No właśnie! A najbardziej zaskakującym odkryciem — kontynuowała podekscytowana Lily — było to, że jest delikatny, mądry i wrażliwy.

— Odznacza się ogromną kulturą i wielką skromnością — potwierdziła Sylvana.

— Widziałam, że przyszedł z kobietą w beżach — powiedziała Ilona.

— Tak, wiem, z wiolonczelistką.

— Mógł przyjść z każdą, bo żadna by nie odmówiła. Kiedy się pojawił, wszystkie kobiety wstrzymały oddech. To było niesamowite. Jedna z nich przerwała taniec i, zauroczona, zatrzymała się obok niego. Druga potraktowała go jak prymitywnego podrywacza: „Do kogo należą te niebieskie oczy?”.

— Wszystkie padają przed nim jak muchy — potwierdziła Sylvana. — Igor ma ogromne powodzenie, chociaż wcale o to nie zabiega.

— No więc tańczę z mężczyzną wieczoru — podjęła Lily — z Igorem „Supermanem” i widzę wymoczka kręcącego się wokół Patricka. Mój ukochany mąż jest specjalistą od przyciągania dziwek, jak choćby latem tę smarkulę na statku, a potem moją asystentkę z obleśnymi ustami, no i teraz to coś z grubymi kolanami i idiotycznym śmiechem; maskaron z tyłkiem ciągnącym się po ziemi. To mi psuje taniec z dyrygentem. Postanawiam ich ignorować. Kiedy taniec się skończył, zauważyłam, że wymoczek położył głowę na ramieniu Patricka i mocno się do niego przytula. Tego już za wiele. Porzucam mojego cudownego Słowaka, zapalam papierosa i przechodzę obok nich. Stanowią tak niedobraną parę, aż przykro patrzeć. No więc przechodzę obok i muskam wymocz— kowate ramię obejmujące w pasie mojego faceta. „Och, najmocniej przepraszam — uśmiecham się słodko do tej głupiej gęsi — ale was nie zauważyłam!”.

— Musisz nam kiedyś wyjaśnić, Lily, jak możesz być jednocześnie tygrysią i lwicą. Uosobieniem zazdrości i pożeraczką męskich serc. Nie wahasz się zaatakować wymoczka, a jednocześnie chciałabyś ulec batucie dyrygenta.

— Tak, wiem. Jest we mnie jakaś sprzeczność. Nie umiem sobie tego wytłumaczyć. To niesprawiedliwe, przyznaję: jestem na tyle dorosła, by wiedzieć, że uczciwość nie istnieje, więc staram się opancerzyć. Wymagam od Patricka absolutnej wierności, chociaż wiem, że ma ochotę mnie zdra-

dzić. Przynajmniej w myślach, bo dotychczas nie zdarzyło się jeszcze nic poważnego.

— Wiem, jak to jest — skomentowała Diane. — Czasem człowiek jest nękany gwałtownymi, sprzecznymi uczuciami. Pożąda rzeczy wykluczających się nawzajem. Dochodzi nawet do tego, że nie wie, czego naprawdę pragnie, i nie potrafi wskazać, co jest interesujące, ważne czy niezbędne.

— Jednak wczoraj zrobiłabyś lepiej, zajmując się Igorem — uśmiechnęła się Sylvana. — Kiedy zadzwonił dziś rano, żeby mi podziękować za miły wieczór, szybko skierował rozmowę na moje przyjaciółki. Wszystkie są tak urocze, a szczególnie jedna z nich: „młoda, błyskotliwa i pełna seksapilu”.

— Piękność, wznecająca pożar w sercu! — zawołała Ilona.

— A więc piromanka! — dorzuciła Diane.

— Chyba wiem, co się dzieje z Igorem — powiedziała Sylvana. — Zwłaszcza że kiedy wyczerpał temat Lily, spytał mnie nagle: „Kto to jest ten Patrick?”.

— A może Igor jest mężczyzną, który według kart odmieni moje życie? — rozmarzyła się Lily.

— Daj spokój. Mówiłam ci, że nie stanie się to tak prędko.

— Ilono, jak się czujesz po samobójstwie Armela? Zauważyłam wczoraj wieczorem, że przyjęłaś styl wdowy Clicquot. Wszystkie się zastanawiałyśmy, kim był ten szarmancki pan, szpakowaty i elegancki, który przez cały wieczór dbał o twój kieliszek.

Ilona upiła łyk *cappuccino*, zanim oddała się przyjemności opowiadania. To Gaetan — wyjaśniła — nieśmiały i zakochany, wzdychający do niej od lat. Zalecał się do niej jeszcze przed wybuchem w Czarnobylu. Mężczyzna starej daty, jakich już się nie spotyka. Jest francuskim przemysłowcem, włókniarzem z Północy. Była jego tłumaczką, gdy po raz pierwszy przyjechał do Kijowa. Od tamtej pory nie może się obyć bez jej talentów lingwistycznych. „Wolny?” — chciały się dowiedzieć przyjaciółki. Rozwiedziony od bardzo dawna. Sympatyczny, wart zainteresowania i bardzo dobrze wychowany, nawet za dobrze. Wręcz wersalska grzeczność. Zrywał się na równe nogi, kiedy ona miała zamiar wstać lub usiąść. Na ulicy wykonywał coś w rodzaju menueta, żeby tylko ona nie szła od strony jezdni — brał na

siebie ryzyko spotkania z ewentualnym złodziejem. Prosił ją o pozwolenie, gdy chciał zapalić, zadzwonić, wytrzeć nos. A każdą rozmowę telefoniczną zaczynał nieśmiertelnym: „Czy nie przeszkadzam?”. Zbyt grzeczny, żeby być szczerym? Nawet nie. Był jednym i drugim. Czymś w rodzaju uległego i oddanego bez reszty gatunku, jakiego dziś nigdzie nie uświadczysz.

— Są jeszcze tacy mężczyźni? — rozmarzyła się Lily.

Było wyraźnie widać, że Duża Firma Włókiennicza miała sentyment do znakomitej ukraińskiej tłumaczki, która po przyjeździe do Francji uczyła rosyjskiego na wydziale języków orientalnych. Przemysłowiec był nią naprawdę zainteresowany i szukał jej towarzystwa, gdy sprawy zawodowe sprowadzały go do Paryża. Coś go do niej ciągnęło — to nie ulegało wątpliwości. A jednak nie powiedział żadnego dwuznacznego słowa, nie wykonał niestosownego gestu. Niczego, co mogłoby ją wprawić w zażenowanie. I właśnie to żenowało Ilonę. Do diabła, dlaczego ten świetny facet był tak opieszawy? I tak niezdecydowany? Nie należał do mężczyzn angażujących się w przelotne flirciki. Z pewnością nie. Ale czego się obawiał teraz, kiedy ona wreszcie była wolna? Bał się, że dostanie kosza? Że zostanie odrzucony?

Jeszcze dwa słowa do sprawdzenia w słowniku. Zanotowałem je szybko w zeszycie, żeby nie zapomnieć. Sylvana powróciła do opowiadania o wczorajszej imprezie. Zaczęła od momentu, kiedy przyszła do domu o pierwszej w nocy na urodziny Lisy, swej uczennicy.

— Dobrze znałam swoją rolę: nauczycielki—przyjaciółki, a także trochę starszej siostry, która przyszła zobaczyć, jak się bawi podopieczna, porozmawiać z jej przyjaciółkami i ewentualnie w czymś pomóc. Broń Boże nie robić za gwiazdę. Wcześniej poprosiłam Lisę, żeby mi pomogła wybrać odpowiedni strój: ani zbyt poważny, ani zbyt seksowny. Wyciągnęła z szafy długą spódnicę koncertową ze szmaragdowej tafty — to miał być akcent poważny; a akcent frywolny — mały sweterek z czarnego kaszmiru, z tyłu od połowy zapięty na guziczki. Kiedy mnie ujrzała wchodzącą do domu, natychmiast wzięła mnie pod rękę i zaczęła przedstawiać gości: swoich przyjaciół i ich przyjaciół. Wśród tych ostatnich widzę mówiącego po angielsku wielkiego typu, którego biorę za AfroAmerykanina. Po zakończo-

nych prezentacjach zbieram jakieś puste pucharki i zanoszę do kuchni. Robię taki obchód kilka razy z tacą pełną kieliszków i popielniczek. W pewnej chwili Afro mnie łapie i zaprasza do tańca. Wysoki, muskularny, łysiejące czoło i poważny głos. Nie jest Amerykaninem, lecz Nubijczykiem. Pracuje w wiedeńskim ONZ—cie. Doskonale! Po dwóch tańcach wracam do swojego zajęcia: wycieram kieliszki i opróżniam popielniczki. Nie jestem tu po to, by uwodzić, tylko żeby pomóc. Ale tłum, coraz bardziej gęsty, przeszkadza mi w swobodnym poruszaniu się po domu. Rezygnuję z funkcji hostessy i przyjmuję rolę gościa. Korzysta z tego Nubijczyk i znów zaprasza mnie do tańca. Nie rozumiem, co mówi. Muzyka jest ogłuszająca, a mój angielski *is not rich*. Każę mu powtarzać trzy razy to samo zdanie. Odpowiadam *yes*, gdy należy powiedzieć *no*, lub na odwrót. Musi mnie brać za niedorozwiniętą. Mówi o prawach człowieka, misjach pokojowych i męczących podróżach. *Are you Lisas sister?* — chce się dowiedzieć. „Nie, nie jestem siostrą. Jestem jej nauczycielką muzyki. Nauczycielką okazjonalną. Udzielałam jej kilku lekcji między dwoma *tournees*. Ona kończy konserwatorium”. *Sexy professor!* — chwali. „A pan jest jednym z przyjaciół Lisy?” — pytam. *Not exactly*. Był znajomym Igora, ojca Lisy. Poznali się w Wiedniu.

— Ile ma lat?

— Między ojcem a córką.

— A w stosunku do ciebie?

— Wydaje się starszy, ale chyba jest ode mnie młodszy. *Would you like something to drink?* — proponuje po trzech kolejnych tańcach. Kiedy wraca z moim kieliszkiem, pyta, czy mieszkam tu sama. „Tak... Nie... Z narzeczoną. Zresztą, właśnie się rozstaliśmy”. Moja odpowiedź była bardzo niezręczna. Nie podjął tematu. Zapytał, czy czasami bywam w Wiedniu. „Dałam tam serię koncertów”. Czy mam zamiar wkrótce tam pojechać? *Maybe. Not maybe. Sure!* Może trzeba, żeby przysłał mi oficjalne zaproszenie? Śmiejemy się. I znów tańczymy. Między tańcami trzyma mnie w ramionach, jakby się bał, że mu ucieknę. Przesuwa swoje długie, delikatne palce wzdłuż guzików na moich plecach. Dotyka kręgosłupa między karkiem a biodrami, jakby dotykał klawiszy. Wślizguje rękę tam, gdzie guziki są rozpięte. Staram

się nie drzeć. Zamieniam się w kamień. Prawdziwy sopel lodu. Nie wiem dlaczego, ale z każdą minutą coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że wejdzie Laurent i rzuci się na nas. Przecież jeszcze nie oddał mi kluczy od mieszkania. Kołyszymy się, policzek przy policzku, udo przy udzie. Nubijczyk jest gotów przejść do ataku. Powoli się rozluźniam, a on mnie przygarnia tak, że moje piersi dotykają jego torsu. I na tym trzeba poprzestać. Powtarzam sobie, że to nie moje święto. To urodziny Lisy. Postanawiam opuścić gości i położyć się spać. *Do you remember my name?* — pyta mnie mój kawaler, wręczając wizytówkę. Przecież nie wiem nawet, jak on się nazywa, więc jak mogę pamiętać? *Salim* — odpowiada. „Ali?”. *No, Salim! S.A.L.I.M.*

Sylvana przeciągnęła się z westchnieniem.

— To naprawdę ostatnia rzecz, jakiej mogłabym się spodziewać. Poznać mężczyznę na urodzinach mojej uczennicy!

13

Diane nie przestawała się śmiać.

— Dziewczyny, tylko posłuchajcie! Kiedy szłam tutaj w zeszły piątek, zderzyłam się z jakimś typem, który właśnie wychodził z „Cappuccino”. Przyjrzał mi się uważnie, rozpoznał — z pewnością po moim ostatnim telewizyjnym filmie — i rzucił z pogardą: Czerwona burżujka. Zaskoczona, nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Szukałam jakiegoś słowa, dosadnego i ciętego, którym mogłabym powalić go na chodnik. Powalić tak, żeby nie mógł się podnieść. Nienawidzę być zaskakiwana. Kiedy opowiadałyście o urodzinach Lisy, wpadła mi nagle do głowy doskonała riposta. Miażdżąca. Ale zbyt późno! Zawsze mam zaćmienie umysłu, które nie pozwala rąbnąć co trzeba w odpowiednim momencie. Na papierze jestem dobra. W moim scenariuszu aż się skrzy od ciętych dialogów. Ale w życiu... No tak. A dziś rano w tym samym miejscu, o tej samej porze znów ten głos sączy mi do ucha: Czerwona burżujka. Och, drogi panie! Tym razem nie uda ci się bezkarnie bełkotać! Dziękuję Opatrzności, że podała mi tego osła na tacy, i

mogę mu odpowiedzieć. Zatrzymuję się, podnoszę głowę, posyłam mu szeroki uśmiech i, najpiękniejszym głosem prawdziwej artystki, skanduję: Prawicowe zero.

— Nieźle — pochwaliła Lily. — Musiał się odpowiednio poczuć.

— Muszę potrenować, by stawić czoło tej okropnej Anne Sibylle. Ona czuje perwersyjną przyjemność w poniżaniu mnie. Kontrakt jeszcze nie jest podpisany, więc ma nade mną władzę i ciągle to wykorzystuje, ta żmija! Wczoraj razem z Borysem poszłam do jej studia, żeby mogła posłuchać ścieżki dźwiękowej. Karykaturalne biurko, zajmujące prawie cały pokój, postawione na ukos. Ogromnych rozmiarów portret w stylu pop—art z lat sześćdziesiątych — jakby sobie powiesiła metrykę na ścianie! Telefon nie przestaje dzwonić, umawia się na jakieś spotkania. Oczywiście do tej pory nie przesłuchała ani kawałka taśmy. Istny najazd jej współpracownic — ani przez chwilę nie jesteśmy sami. Jeszcze tylko „ostatni, bardzo pilny telefon i już jestem do waszej dyspozycji”. Wreszcie wkłada taśmę do kiepskiego magnetofonu o okropnym dźwięku. Zniecierpliwiona spogląda na zegarek. Magnetofon strasznie trzeszczy. Drzwi bez przerwy się otwierają i zamykają. Ona ucina pogawędki między dwoma ziewnięciami. Sądy rzuca mimochodem. „Pani scenariusz jest zbyt poetycki. Rozmawiałam przez telefon z Delgadą”. Czy ona w ogóle przeczytała ten scenariusz? I dlaczego reżyser nie daje mi znaku życia? Taśma ciągle się kręci. Dźwięk jak z garnka. Anne Sibylle każe sekretarce potwierdzić rezerwację na lunch. Grzebie w torbie w poszukiwaniu cygaretek. W końcu wysyła po nie kierowcę. W ogóle nie zwraca uwagi na muzykę. Pojawiają się cygaretki. Taśma się zatrzymuje. Zapada werdykt: „Nieźły jest ten flet, jak on się nazywa? Już wiem *transversale!*”. Borys poprawia: „*Transversale* znaczy poziomy. To jest flet *traversiere*, czyli drewniany”. Upokorzony do żywego Borys zabiera kasetę i wychodzi. Starczy. Już więcej nie mówię. Nie chcę was zanudzić moimi kłopotami z filmem. Z pewnością przeżywacie coś bardziej ekscytującego.

— A właśnie! W tym tygodniu zadzwonił do mnie Igor, podając niezbyt mądry powód — powiedziała Sylvana nieco uszczypliwie pod adresem Lily. — Dobrze wiedziałam, do czego zmierza. Ale pozwoliłam mu się trochę pomęczyć. To naprawdę wspaniały mężczyzna, i pożądanym przez kobiety!

Kiedys podczas obiadu byłam świadkiem, jak trzy panie, w tym dwie były z mężami, nie mogły oderwać od niego wzroku. I ten mądry, świetny facet prawi mi przez telefon banały w stylu: „A poza tym co słyhać, moja boska?”. Więc przychodzę mu z pomocą i odpowiadam: „Ja? Bosko. Lily też”. Od razu połknął haczyk: „Muszę ci wyznać, że twoja przyjaciółka ogromnie mi się podoba”. I mówi to mężczyzna, który nie może się opędzić od kobiet. To było bardzo wzruszające. Gram rolę zazdrosnej koleżanki: „No proszę, jeszcze jeden! Wszyscy się za nią uganiają!”. „W takim razie będę jednym z nich” — odpowiada skromnie. Co ty robisz, że mężczyźni za tobą szaleją?

Lily zmieniła pozę. Podwinęła nogę i przysiadła na pięcie.

— Wszystko, czego nie należy robić. Mówię to, czego nie powinno się mówić: głupoty, świństewka, bez ładu i składu — kompletny chaos. To ich zbija z tropu. Muszą sobie uświadomić, że ze mną nie da się wygrać. Udaję osobę rozkapryszoną i nieznośną. Im bardziej ktoś mi się podoba, podnieca, tym bardziej pokazuję to, czym nie jestem: na luzie i bez oporów. Prawdziwa chłopczyca. Zniewaga, prowokacja, zimny prysznic, ostre słowa — to mój sposób, żeby ich sobą zainteresować.

Przerwała na chwilę.

— A gdybyś tak zaaranżowała spotkanie z Igorem? — zaproponowała.

— Widzę, że jesteś niepoprawna. Co za zdrowie i energia! — zaśmiała się Sylvana.

— I co za łakomstwo! — uzupełniła Diane. — A jaki apetyt! Prawdziwy ludożerca. Lily—żarłok!

Lily siedziała spokojnie na podwiniętej nodze.

— Najgorsze, że za każdym razem wierzę w to, co robię. Mam za dużo miejsca w sercu. Potrzebuję takich nierozsądnych związków i gwałtownych uczuć. Wibracje i emocje — to moje prawdziwe życie. Nawet jeśli te gwałtowne zauroczenia trwają krótko. Zapalam się od pierwszego wejrzenia i równie prędko gasnę. Prawdziwy słomiany ogień. Zakochują się błyskawicznie, ale i odkochują w podobnym tempie. Nigdy nie zostaję z kimś dość długo; można szybko wpaść do mego serca i tak samo szybko z niego wypaść. A to oznacza, że podnieca mnie ciekawość: jak to będzie z Igorem? Może „rzuciłabyś” mi karty, Ilono?

Ilona, profesor—wróżka, przysunęła fotel do stolika i wyjęła karty.

— Mnie też — ośmieliła się Sylvana.

Kobiety spojrzały na siebie zdumione.

Na pierwszy ogień poszła Lily. Tym razem jednak Ilona nie mogła jej udzielić zadowalających informacji o dyrygencie orkiestry.

— Wyciągnij jeszcze jedną kartę, następną i kolejną.

Choć bardzo się starała, karty nie chciały odpowiadać.

— To się czasem zdarza — wyjaśniła. — Karty odmawiają odpowiedzi. Mszczą się, gdy są zbyt pobudzone. Jest to tak zwane „ukryte oblicze przeznaczenia”.

Opowiedziała natomiast, co zobaczyła podczas ostatniego „widzenia”, Lily czeka nowy związek z cudzoziemcem. Fantastyczny mężczyzna. Solidny. Piękne i ogromne uczucie. Wspaniała historia! Tym razem będzie to długotrwała miłosna przygoda, która wypełni jej życie. Spotka ją w przyszłym roku. — Ilona była konkretna. — Nie wcześniej, dopiero w przyszłym roku.

Potem przyszła kolej na Sylvanę

— Kobieta zazwyczaj odcina złamaną gałąź, podczas gdy mężczyzna pozwala jej zgnić — zaczęła piękna wróżka. — Wydaje mi się jednak, że u ciebie jest odwrotnie. Pozwalasz zgnić związkowi, zamiast zdecydowanie go przeciąć. Nie oznacza to, że boisz się popełnić błąd, czy zrobić coś nieodwracalnego; w głębi duszy zdajesz sobie sprawę, że pewnego dnia zostawisz Laurenta. Straciłaś nadzieję. Przestałaś w niego wierzyć i już nie snujesz wspólnych planów. Czujesz się gotowa, aby uczynić ten ostatni krok. Do tej pory na siłę kleiłaś rysy i pęknięcia. Próba generalna też się odbyła. Dojrzałaś i wiesz, że możesz stawić czoło losowi. Nosisz w sobie mocne postanowienie zerwania, jednak karty mówią, że na razie ono nie nastąpi. Ale czeka cię całkowita przemiana. Powiedziałabym, że wreszcie się przebudziłaś i wkrótce przeżyjesz coś niesłychanego.

Sylvana cała pojaśniała.

— Rzeczywiście dzieje się coś nowego. Lisa, moja uczennica, zadzwoniła do mnie kilka dni po swoich urodzinach. Spytałam ją mimochodem, kim jest ten sympatyczny Nubijczyk, który nie opuszczał mnie przez cały wie-

czór. „Co za zbieg okoliczności!” — zawołała. — „Proszę sobie wyobrazić, on codziennie do mnie dzwoni, żeby porozmawiać o pani. Zapalił się do pianistki. Doskonale go rozumiem. Uważa, że jest pani wspaniała, zachwycająca. Wciąż pozostaje pod wrażeniem waszego spotkania. Wydaje mi się, że kogoś takiego szukał od dawna”. Staram się pohamować jej entuzjazm: „Nie zapominajmy o różnicy wieku”. Lisa protestuje: „A pod jakim względem? Widziałam, jak tańczyliście. Pani była... Jakiego słowa można użyć? Bardziej niż piękna, urzekająca, do szaleństwa! To on wydawał się starszy. Miał w życiu wiele ciężkich chwil: ciągle w podróży, nieustające misje i niewdzięczna, odpowiedzialna praca. No i przelotne przygody. Myślę, że w końcu chce mieć coś stałego. Przeżyć prawdziwą miłość. Mój ojciec zna go lepiej niż ja. Z tego, co wiem, Salim zajmuje ważne stanowisko w wiedeńskim ONZ—cie. Cieszy się doskonałą reputacją. Jest wyjątkowo ambitny i prawy. Naprawdę nieposzlakowany. To w pewnym sensie gwiazda Organizacji. Pewnie pani zauważyła, że jest stanowczy, zdecydowany, a jednocześnie ma w sobie coś bardzo ludzkiego”. Podczas naszej rozmowy włącza się druga linia. Lisa przerywa rozmowę i po chwili znów się ze mną łączy. Wyczuwam jej podekscytowanie. „To był on! Czy to nie jakiś znak? Ma uczestniczyć w spotkaniu w UNESCO i będzie w Paryżu od piątku wieczorem”.

— Dziś wieczorem?! — Chórem wykrzyknęły dziewice, lub raczej należałoby powiedzieć: były dziewice.

— Lisa podała mi mój numer telefonu — poinformowała Sylvana, delektując się wywołanym efektem. — Już umówiliśmy się na *lunch* jutro rano.

— I dopiero teraz nam o tym mówisz?!

14

Wziąć garść prażonych ziaren, zacisnąć palce, podmuchać do środka, a potem otworzyć dłoń i powąchać. Ten pradawny gest — niezawodny spo-

sób, żeby odróżnić jakość kawy — i moje ciasteczko, proustowska magdalenka, od kiedy żyłem w cieniu rozkwitających młodych kobiet — prznosiły mnie ponad Alpami i Apeninami do prażalni mojego dziadka. Pracowali tam — jeden robotnik, a drugi kierownik — mój ojciec i ojciec Carme — li. Do niej też mnie niosło. Miałem więcej zaufania do pamięci „węchowej” niż uczuciowej. Ale nawet ten gest, powtarzany tyle razy, nie przynosił spodziewanych efektów. Ani magiczna litania: Carmela, Carmelina, Lina, Linetta, Netta, Nettina, powtarzana co noc w łóżku. Wspomnienie „najpiękniejszego tyłeczka na wydziale” wywietrzało. I uparte milczenie mojej *ragazza* — narzeczonej po tym, jak odłożyła słuchawkę, nie było, wbrew oczekiwaniom, srogą karą, ale raczej ulgą. Zawsze znajdę czas, żeby do niej zadzwonić i powiadomić o powrocie na święta.

Jednak los, w osobie dystrybutora, zdecydował inaczej. Oznajmił, że nie ma mowy, bym mógł porzucić pracę podczas Bożego Narodzenia i sylwestra, bo wtedy jest najwięcej klientów. Do tych stałych, przychodzących codziennie, dołącza duża liczba turystów. Nie wyraziłem sprzeciwu. Miałem mocne poczucie obowiązku. I bardzo osobiste powody. Jeśli chciałem poczynić szybsze postępy w opanowywaniu języka, to musiałem się jeszcze wiele nauczyć. Pozostała mi do zgłębienia cała dziedzina dotycząca uroków, przebiegłości i manipulacji — domena tych czterech niebezpiecznych diablic, których geniusz inteligencji jest skierowany tylko na to, by zmylić czujność samców, tak zmienić ich świadomość, aby wpadli do misternie zastawionej sieci. Całe zapasy energii i wyobraźni są uruchomione w jednym celu: odświeżyć sztuczki uwodzenia i stosować je wciąż od nowa. Wzbudzać w mężczyźnie ciągły niepokój, wymagać od niego natychmiastowej satysfakcji i przywiązać do siebie na zawsze. Pozbawić go natury poligamisty. „Jeśli naprawdę chcesz osiąść mężczyznę — powiedziała któregoś dnia Ilona — otwórz przed nim serce. Jeśli chcesz go opętać — zamknij”. Ich rozmowy sprawiły, że odkrywałem pierwotne źródło wyzysku — najbardziej subtelne, najbardziej okrutne, najbardziej podstępne i archaiczne — wyzysk mężczyzny przez kobietę. Po każdej wizycie tych pań mogłem tylko zadumać się nad naiwnością rodzaju męskiego.

Moja sentymentalna edukacja była przekazywana lub raczej narzucana z wysokiej ambony, którą była antresola. Miażdżyły mnie autorytatywnie swoją niebywałą wiedzą w tej dziedzinie. Zresztą usytuowanie stolika sprawiało, że dosłownie chodziły mi po głowie, a ja mogłem ledwie oglądać ich stopy. Czyżbym stawał się masochistą? Zadawałem sobie to pytanie, obserwując tylko to, co mogłem zobaczyć pod marmurowym stołem. Widoczne z mojego miejsca nogi kobiet wiodły zupełnie niezależny żywot. Eleganckie pantofle Sylvany poruszały się z gracją i precyzją, jak na pedałach fortepianu. Przeciwnieństwo stanowiły adidasy lub fantazyjne sandały Lily, zawsze poszukujące prowokującej pozy: jeden pośladek na oparciu fotela albo pięta pod pośladkiem. Pantofle Diane nigdy nie traciły nad sobą kontroli, zawsze doskonale grały swoją rolę: wysoko skrzyżowane nogi, kolano na kolanie, obcasy unosiły się do góry lub stały grzecznie na podłodze. Długie botki Ilony leżały zwykle na sąsiednim krzeselku. Kiedy sytuacja stawała się gorąca lub gdy te trzy chłopczyce dochodziły do wniosku, że trzeba coś przypieczętować tupnięciem, wysuwały stopy z butów i wymachiwały nimi w powietrzu. Oszalał mi ten swego rodzaju erotyzm, połączony z bezwstydem rozmów.

— No więc, opowiadaj!

Wszystkie zawisły wzrokiem na wargach pianistki.

— Ten słynny *lunch* odbył się w salonie herbacianym w stylu kolonialnym, zresztą dobrze go znacie.

Sylvana zaczęła od opisu Nubijczyka, któremu podczas urodzinowych uroczystości w przyziemnym świetle nie miała okazji się przyjrzeć. Jest wyższy, niż jej się zdawało, i bardziej barczysty. Stanowi mieszankę Araba, o czym świadczą kędzierzawe włosy, Hindusa — ma delikatne rysy, migdałowy kształt oczu i zaokrąglone usta, i Afrykańczyka — wyróżnia się długością ud i krągłością pośladków.

— No proszę! — zawołały, podniecone jak nigdy dotąd.

Sylvana celowo przedłużała milczenie. Myśłami przeniosła się do miejsca, gdzie siedziała w głębokim fotelu, w świetle przytłumionym drewnianymi żaluzjami naprzeciwko Salima, który okazał się wyjątkowo milczący, pełen rezerwy. Onieśmielony? I ona swoim nędznym angielskim była

zmuszona do podtrzymywania konwersacji. On zadowolili się słuchaniem, cały czas na nią patrząc. Pilnie obserwował jej gestykujące ręce, a także włosy, szyję i talię, poruszające się podczas monologu. Monologu coraz trudniejszego do zniesienia. Przyglądał jej się uważnie, bez jednego mrugnięcia. A ona, zazwyczaj powściągliwa, rozgadała się w języku, który słabo znała. Opowiadała różne historie ze swojego życia, nie wywołując najmniejszej reakcji z jego strony aż do momentu, kiedy wspomniała o recitalu w Kabulu. Zdobyła wtedy pierwszą nagrodę w konserwatorium i dała koncert w ambasadzie francuskiej, tuż przed wojną w Afganistanie. *How old are you?* — „W jakim jest pani wieku?”. To było pierwsze pytanie Nubijczyka.

— Jak można pytać kobietę o wiek? — zdenerwowały się przyjaciółki. — I co mu odpowiedziałas?

— W „wieku kochania” — oznajmiła po królewsku Sylvana.

Cztery przyjaciółki długo debatowały nad podstawowym pytaniem: mówić czy nie mówić. Uznały, że do pewnego okresu życia — przed wejściem w tak zwany kwiat wieku — ta kwestia nie ma żadnego znaczenia. Powyżej tej magicznej granicy pytanie o lata należy pominąć milczeniem. A zatem „tak” — w pierwszym wypadku, „nie” — w drugim. Ta cezura balansowała gdzieś w połowie, w „sile wieku”, jak na grzbiecie fali, która podnosi się, by runąć w dół, rozpryskując się na drobne kropelki. Były więc dwa bieguny: na jednym Lily — czysta i mocna, na drugim Ilona — czarująca kłamczucha; a między nimi Diane, która nie afiszowała się swoim wiekiem, ale go podawała, i Sylvana, która nie ukrywała lat, ale wolała milczeć.

Lily chyba tylko w tym jednym jedynym przypadku nie kłamała; była jak jasna źródłana woda, przejrzysta niczym kryształ. Wkraczała w kolejne lata z odsłoniętą twarzą. Pozwalała czytać w sobie jak w otwartej książce. Zdarzało jej się nawet dodać parę miesięcy.

— Od pięciu lat mówię wszystkim, że mam czterdziestkę. Ludzie są zdumieni: „Nie, to niemożliwe!”. Wtedy ich zapewniam: „No, jeszcze niezupełnie. Za pięć lat!”. Naprawdę wyglądała jak dziewczynka, wymachiwała swoim wiekiem jak sztandarem czy trofeum. Przeżywała to niczym tryumf, delectowała się pochlebnyim zdumieniem rozmówcy: „Tak wygląda

czterdziestoletnia kobieta?". Rzuciła wyzwanie męskiemu gatunkowi: „Tak, nie mam już dwudziestu lat. O piętnaście więcej. Wkrótce o dwadzieścia. No i co, czy to zabronione? Ma pan coś przeciwko temu?”.

— Nawet z głową pod toporem nigdy bym nie powiedziała — oznajmiła kabalarka, Ilona. — Można mi podetknąć pod nos metrykę urodzenia, a ja i tak zaprzeczę.

Zmieniały wiek jak transwestyta ubranie. Z wielkim kunsztem, skrupulatnie zacierały wszelkie, mogące je zdradzić ślady.

— Podczas podróży wszyscy mężczyźni wsadzają nos w nasze paszporty. To silniejsze od nich. Muszą widzieć nasze zdjęcie, nazwisko pańskie, miejsce i datę urodzenia. To dlatego stałam się oszustką. Najpierw zaczęłam próbować na przedawnionych dokumentach, ale zetrzeć się tego nie da. Po korektorze zostają plamy, a ostrze żyłетки robi dziury. Można więc robić tylko poprawki. Znalazłam specjalny atrament i jednym małym ruchem zmieniłam końcową jedynkę na siódemkę. Teraz tego żałuję. Dlaczego siódemkę, skoro za pomocą niewielkiego brzuszka mogłam przerobić na dziewiątkę? Zyskałabym dwa lata!

Sześć lat amnezji. Osiem, gdyby wcześniej o tym pomyślała. Bez najmniejszego żalu odcinała kawałek gałęzi życia. Lecz choć wrzuciła do kubła na śmieci jakąś część swojego istnienia, zmiażdżyła w niepamięci — to jednak pewne fakty mogły ją zdradzać. Kiedy więc pokazywała zdjęcia Melodie i Serenade, dziś już nastolatek, wyszukiwała zawsze takie, na których córki ledwie zaczynały stawiać pierwsze kroki.

— Tacy są mężczyźni — skarżyła się Ilona. — To oni zmuszają nas do kłamstwa. Młodzi wolą młode dziewczyny, a i starsi też wolą młode.

Młoda, bardzo młoda, jeszcze młoda, zawsze młoda, tak młoda jak nigdy. To słowo nie schodziło im z ust. *For ever young*. Ani roku więcej! Zakotwiczenie na wieki. Mężczyzn czy kobiet? Z pewnością nie moje. Dlaczego nie próbowały przynajmniej otworzyć nam oczu? Pokazać, jak piękne, bulwersujące i pożądane mogą być kobiety w ich wieku? Same były tego najlepszym przykładem.

W połowie drogi między dwiema skrajnościami — kłamstwem i prawdą — sytuowały się Diane i Sylvana. Jedna odpowiadała „tak”, ale tylko pod

warunkiem, że to było „prawdziwe” pytanie. Nie miała zamiaru ogłaszać swojego wieku przez megafon. Ale za bardzo się nie broniła, gdy nalegano, co rzadko się zdarzało; ostatni raz — u ginekologa. Ogólnie biorąc, nie widziała powodu, dla którego miałyby mówić wszem i wobec: „Uwaga! Nie mam tylu lat, ile myślicie!”.

Druga nie opowiadała podobnych historii. Wolała zasłonić się lekką artystyczną mgiełką, pozwalając jedynie na snucie domysłów. Dlaczego miała wszystko odsłaniać, wszystko eksponować? — myślała tajemnicza Sylvana. Dlaczego obnażać się do końca? Miała prawo do swoich stref cieni, ukrytych zakątków i matowych lusterek. Wiek, tak jak seks, był częścią sekretu i intymności. To wstydlivość kazała każdą odpowiedź ubierać w odpowiednie słowa; tak też odpowiedziała Salimo — wi: „wiek kochania”. *Ageless, like a Madona* — uśmiechnął się w odpowiedzi.

— „Bez wieku, jak Madonna” — powtórzyła rozmarzona Diane. — Nieźle. Muszę to wykorzystać.

— W każdym razie Salim nie wyciągnął kalkulatora — podjęła Sylvana — kiedy po *lunchu* usiedliśmy w kinie, w ostatnim rzędzie.

— A co wyciągnął? — zaśmiała się Lily. — Swój „umysł bestii”, a może fiuta?

— Czekałam, że to powiesz! Byłam tego pewna! Nic, jeśli już chcesz wiedzieć. Byliśmy jak dwoje licealistów, stremowani przed wielkim odkryciem. Nasze ręce odszukały się w ciemności. Usta także. Znalazł moją dolną wargę, ja — jego górną. Dalej się nie posunęliśmy, ale zajęło nam to cały seans, jakbyśmy mieli po piętnaście lat. Zadałam mu pytanie: „Dlaczego właśnie ja?”. Wcale go to nie zbiło z tropu. Bo jestem *most beautiful woman* wieczoru. Protestuję. Było tyle innych, ładniejszych i młodszych. To przeze mnie, tylko przeze mnie, drogie koleżanki, był *attracted*.

— Przejdźmy do faktów! — Lily była niecierpliwa. — Doszło między wami do czegoś czy nie?

— Nie tak szybko! Jesteśmy w stadium flirtu. Można wiele się o kimś dowiedzieć, tylko go całując, jeśli ma się wrażliwość i odpowiednie doświadczenie. Różne szczegóły mogą wskazać, czy on prowadzi tę grę, czy też tobie pozostawia inicjatywę; czy może czekać, czy mu się spieszy; czy

jest szlachetny, zdolny do dawania, czy chce jedynie zaspokoić własną przyjemność. Czuję, że to nie skończy się na przelotnej znajomości. Kiedy przyszedł wieczorem zabrać mnie na obiad, przyniósł mi mały bukietik jaśminu. I zaczęliśmy flirt dokładnie w tym miejscu, w którym skończyliśmy w kinie. No i żegnaj zarezerwowany stoliku!

— I witaj łóżko! — przyklasnęła Lily.

— A tam obydwójce jesteście w „wieku kochania”. Ja mam bogate przeżycia, które gromadziłam przez całe życie, on — ogromną wiedzę o erotyce Wschodu.

Zaskoczone i zdumione zamilkły na chwilę po tym wyznaniu.

— Czy on ma w sobie coś niezwykłego?

Sylvana ściszyła głos.

— Sądziłam, że znam miłość męską: prędką, jednostronną, prosto do celu i... gol! Laurent zajmował się tylko sobą, prowadził szybką grę i wcale nie starał się o obopólny orgazm. Z Salimem odkrywam sztukę pieśczot i umiejętność spowolnienia reakcji. On poświęca mi tyle uwagi! Szanuje moją kobiecą odrębność... Opanował do perfekcji sztukę panowania nad sobą podczas długich, naprawdę nieskończenie długich wzajemnych pieśczot... Zna tysiące dróg prowadzących do rozkoszy i za każdym razem wybiera inną...

Słowa Sylvany zacierały się coraz bardziej; z ledwością usłyszałam ostatnie. A potem powiedziała twardym głosem:

— Przynajmniej na mnie patrzy i mówi, kiedy się kochamy. To zadziwiające, jak ten człowiek, w dzień zamknięty w sobie, w nocy staje się pełen ekspresji! Pod warstwą oglądy, jaką dają anglo—saksońskie uniwersytety i zachodnie organizacje, pulsuje afrykańska natura. Jest wolny i nie ma dla niego zakazów. Zasypuje mnie słowami, które odurzają. Nie wtyka głowy w poduszkę, jak Laurent. „Za dużo mówisz — powiedział mój eksnarzeczony, kiedy kochaliśmy się pierwszy raz. — To przeszkadza w koncentracji”. Zdusił moją spontaniczność i na zawsze pohamował miłosne zapędy. Stałam się autystką. A Salim — on rozmawia nie tylko ze mną, ale także z moimi *nice tits* czy *nice bottom*.

— Co to znaczy?

— Poszukaj w słowniku!

Poliglotka Ilona pośpieszyła na pomoc.

— „Ładne cycuszki i ładny tyłeczek” — przetłumaczyła.

Wszyscy zgodziliśmy się z tą opinią.

— *The more you 'll talk with me, the more you 'll improve your English.*

Tak mnie zachęca mój niezwykły nauczyciel z arabsko—bostońskim akcentem.

Ilona znów stanęła na wysokości zadania:

— „Im więcej będziesz ze mną rozmawiać, tym bardziej poprawisz swój angielski”.

— Dziękujemy bardzo! Same zrozumialiśmy!

— Teraz muszę zająć się innymi sprawami. Po pierwsze — uczyć się języków obcych metodą poduszkową i oby trwała jak najdłużej! Po drugie — zachęcić wszystkie kobiety, by tak jak ja zaczęły swobodnie rozmawiać, zwłaszcza w łóżku.

Gracieuse strasznie się spóźniła. Musiałem ją zastąpić: przyjąć zamówienia, przygotować je i podać. Miałem mnóstwo roboty, ale znalazłem odrobinę czasu, by zadedykować Sylvanie wyrzeźbione „S” na śmietance *macchiato*, które chciałem osobiście zanieść do stolika. Żadna z przyjaciółek nie dorównywała jej ani wdziękiem, ani wewnętrznym blaskiem. Każdy mężczyzna, który na nią spojrzał, czuł w głowie zamęt.

Dyplomatę Salima oczarowała swoimi pięknymi oczami. Jeśli o mnie chodzi, biednego barmana, wiedziałem, że nie mam do niej dostępu, chociaż przekroczyłem już osiemnasty rok życia, i to pięć lat temu. A jednak, paradoksalnie, kiedy poznałem jej pociąg do wszystkiego, co nowe i obce, dystans między nami wydał mi się mniejszy.

Kończyłem właśnie muskać dolny brzusek „S”, gdy przemoczona kelnerka wpadła do sali.

— Leje jak z cebra — oznajmiła, otrząsając się z wody. — Moja kurtka jest do niczego. Jestem cała mokra!

Powiesiła kurtkę i zabrała mi tacę. Poszła na górę do czterech ślicznotek, nie zwracając najmniejszej uwagi na moją sekretną dedykację.

— Nikt nie zauważył mojego spóźnienia, jestem taka mała — zwierzyła mi się z wysokości swoich 150 centymetrów w kapeluszu.

Rzeźbione „S” nie wywołało spodziewanej reakcji. Nikt nie wypowiedział żadnej uwagi. Jakbym rzucał grochem o ścianę, może raczej w kawę! W dodatku straciłem początek zwierzeń.

— Gdyby ktoś nas usłyszał! — wykrzyknęła Lily i roześmiała się głośno.

Moja rola niewidocznego „spowiednika” stawała się delikatna. „Konfesyjonał” na górze, gdzie ażurowe drewno przechodziło w metalową balustradę, stawał się miejscem coraz intymniej szych wyznań. Sprawy serca przekształcały się w serce sprawy. Prawdę mówiąc, nie było się czym irytować. Kult nagiej prawdy, uwielbienie bezwstydnego szczerości — to dla nich normalna praktyka. Przydałby się psychoanalityk, który niczym ksiądz umiałby wydobyć z duszy i podświadomości człowieka najbardziej skryte myśli. Nie miałem jednak powołania do żadnego z tych zaszczytnych zawodów. Dlatego z trudem wytrzymywałem szok wywołany ich rozmowami. Te cztery kobiety wyznawały zasadę mówienia sobie wszystkiego i stosowały ją jak dzikuski, spontanicznie i na wesoło.

— Nawet nagi wydaje się ubrany — opowiadała Sylvana, wywołując gromki śmiech przyjaciółek. — To ja z powodu mojej mleczej skóry czuję się zupełnie odsłonięta...

— Dlaczego? — dopytywała się Lily. — Ma tak ciemną skórę?

Niewzruszona moim misternym „S”, Sylvana odsunęła łyżeczką śmietankę.

— Jak ta kawa — potwierdziła. — Jak *cappuccino*.

Domyśliłem się, że chodzi o Nubijczyka. Więc znów go zobaczyła. W Paryżu? W Wiedniu?

— Jest bardzo elegancki — kontynuowała. — Powolny, ale w granicach normy, i niesłuchanie sprężysty. Gestykułuje szeroko, ale precyzyjnie.

Umysł ma żywy, wnikliwy i krytyczny. Zachowuje pełne koncentracji milczenie i wysuwa argumenty nie do odparcia.

— *Nice tits, nice bottom*, widzisz, dobrze zapamiętałyśmy lekcję *number one* — zażartowała Lily.

— Właśnie doszliśmy do lekcji *number two* — dorzuciła Diane.

— Opowiadaj, ja przetłumaczę — zaproponowała Ilona, zawsze chętna do współpracy.

— Naprawdę chcecie? Jesteście pewne? No dobrze: *Give it to me..., Take me love..., Have a good fuck...*, radźcie sobie z tym, dziewczyny! Przy nim odkrywam, że miłość to seks, ale także słowa. Że słowa nawet — a może przede wszystkim — najbardziej pikantne są równie ważne jak gesty; że są esencją erotyzmu. Byłam u niego w Wiedniu. Podczas trzydziestu sześciu godzin mojego pobytu zachowywał się jak dżentelmen — zero błędów. Nie miał zasłon w mieszkaniu, więc pomogłam mu je zawiesić.

— I tylko z tobą rozmawiał? — spytała Ilona.

— Jak to nazwać? Pokonał mnie, zmiażdżył, pokruszył. Odpowiada wam to? Lubię naturalną moc, która z niego emanuje. Tę wewnętrzną siłę, dzięki której czuję się kobietą.

— Kobieeeta, jestem kobieeeta — zanuciła Diane.

— Co mi się jeszcze podoba? Męski sposób przejmowania spraw w swoje ręce. Cóż to dla nas za ulga! Mamy zwyczaj wszystko brać na siebie, więc czy to nie wspaniały mężczyzna, który nas uwalnia od ciężarów, przejmuje inicjatywę?! Po recitalu w Dubaju marzyłam tylko o tym.

— W co się ubrałaś na koncert na Bliskim Wschodzie? W czarną suknię i chustę na głowę? — dopytywała się Diane.

— Wcale nie! Miałam suknię z białej krepy. Ludzie z Zachodu nie muszą się przebierać. A przy okazji, jakże zimno może być w tych ciepłych krajach! Wszędzie działa lodowata klimatyzacja. Dubaj jest najbardziej liberalny w Emiratach. Cała Zatoka Perska przyjeżdża tam w weekend, żeby zabawić się w tym „smakowitym” mieście. To jest deser na pustyni. Hotel Tower, gdzie występowałam, ma kształt stożka wyższego od wieży Eiffla, w dodatku zbudowano go na sztucznej wyspie. Klientela w nim — międzynarodowa. Ale większość stanowią mężczyźni w bieli. Ich kfeфы i burnusy

podkreślają męskość, tak jak garnitury, noszone z wdziękiem, mogą podkreślić naszą kobiecość.

— Zauważyłyście? — spytała Diane. — Sylvana weszła w okres orientalny.

— A ja, Matka Courage przybyła ze Wschodu, marzę nie o mężczyźnie orientalnym, broń Boże, ale o odpowiedzialnym mężczyźnie z Zachodu — zwierzyła się Ilona. — O takim, który jest pewny siebie i może się mną zaopiekować; który nie zadowala się mówieniem, co robi — i często mu to wystarcza — ale robi to, co mówi. Albo tylko robi, bo nie musi o tym mówić. Mężczyzna zdecydowany, przewidujący i realizujący swoje pomysły; nie zatrzymujący się w pół drogi i umiejący żeglować pod wiatr. Powinien mieć ambicję, chęci, upór i wyobraźnię, żeby osiągnąć to, co zaplanował. No i oczywiście musi mnie włączyć do swoich planów, to chyba jasne. Cel numer jeden: Ilona!

— Rzeczywiście Armel był zupełnym przeciwieństwem. A twój włókiennik z Północy? Czy to nie jest właściwy człowiek? Obiecujący dostatnie życie, wiekuiącą adorację. Co mówią karty?

— Nic. Nie chcę pytać.

— Gdybyś jednak spróbowała?

— Już to zrobiłam. I odpowiedź była nie taka, jakiej oczekiwałam. To ciekawe, karty mówią o Gaetanie to wszystko, co mogłoby odnosić się także do Armela. Mężczyzna super— aktywny, sporo podróżujący i mający ciekawe kontakty; zna mnie od dawna i pała do mnie prawdziwym uczuciem. Jak dotąd wszystko się zgadza. Ale potem karty sugerują, że tkwię w związku z kimś skomplikowanym, trudnym, męczącym, o bolesnej przeszłości i niepewnej teraźniejszości; z kimś, kto znajduje się w impasie i bardziej potrzebuje mnie niż ja jego. Niczego z nim nie zbuduję na ruchomych fundamentach. Nie ma przyszłości. Historia na pewien czas, ale nie na życie. Czy to naprawdę chodzi o Gaetana? Jeśli tak, to nie on zapewni mi stabilizację, o której marzę. Po cichu myślę, że karty się mylą. Jeszcze czują na sobie cień mojego byłego.

— Widzę, że wszystkie jesteśmy w tym samym punkcie — stwierdziła Diane. — Nieustannie poszukujemy księcia z bajki, by przybył i uwolnił nas

od nas samych; od braku zaufania do siebie; od dziwnych niepokojów; od głębokiej niepewności; od braku satysfakcji i pustki, którą może wypełnić tylko coś nadzwyczajnego. Poszukiwania to iluzoryczne i zawsze kończące się rozczarowaniem. Odbyłam już tę nieustającą wędrówkę od jednego mężczyzny do drugiego. Wreszcie znalazłam kogoś, kto przywrócił mi pewność siebie. Książę Borys umiał dać mi tyle miłości, że mogę z ufnością stawić czoło światu.

— Jeśli na swej drodze spotkam czułego zdobywcę, a czekam na niego od lat, też się nie zawaham — zapewniła Lily. — Obecnie jednak, skoro mój książę Patrick jest jedynym rycerzem, muszę jechać z nim na tej szkapie. Co za paradoks: poszukuję bezpieczeństwa z dreszczykiem niebezpieczeństwa! Jakie to proste! Mogę się czuć pewnie tylko w stanie zagrożenia.

Czy to zasługa miejsca, w którym się znajdowałem, że odkryłem pod marmurowym owalnym blatem piętę achillesową tych fascynujących kobiet? Odpowiedzialnych, realizujących ambitne plany, a jednocześnie kompletnie niedojrzałych i podporządkowanych uczuciom. Czy Lord Byron miał rację, twierdząc, że miłość rodzi się bliźniacza?

16

Rozgrzałem filiżankę pod parującym ekspresem, a kiedy się napełniła, podniosłem ją do ust. Przyjemność, jaką sprawiało mi *ristretto*, była wielorakiej natury. Ulubiona kawa pieściła moje ucho długimi „westchnieniami” podczas parzenia. Cieszyła także moje oczy, gdy patrzyłem, jak pokrywa się welonem brązowej pianki. Mile łechtąła nozdrza i podniebienie swym zapachem intensywnym, mocnym, a jednocześnie delikatnym i łagodnym — czasem owocowym, kiedy indziej czekoladowym. Wreszcie drażniła rozkosznie zmysł dotyku, który zaczynał się na moich wargach w zetknięciu z ciepłym, zaokrąglonym, grubym szkłem filiżanki, co mi przypominało

zmysłowe usta Carmeli. Rozkosz dotyku trwała cały czas podczas picia: aksamitna, ciężka struga kawy parzyła mi gardło, a jej smak długo czułem.

Poranną przyjemność skróciły zwierzenia Diane. Ta piękność jak z obrazów przedrafaelowskich malarzy nie doszła jeszcze do kresu swej ciernistej drogi, którą przemierzała jako artystka i scenarzystka. Spotkanie odbyło się w towarzystwie radcy kulturalnego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Tym razem Anne Sibylle nie zwróciła na siebie uwagi spóźnieniem — po prostu w ogóle nie przyszła. W ostatniej chwili zdecydowała, że będzie reprezentował ją... kierowca! Syn przyjaciółki, który służył jej za gońca, asystenta, eskortą i niewolnika. Diane poczuła się wdeptana w ziemię przez tę wulgarną, niekompetentną prostytutkę. Ale to było nic w porównaniu ze święństwem, jakie producentka jeszcze miała w zanadrzu. Już wcześniej chciała pozbyć się muzyka. Teraz stało się jasne, że przyszła kolej na aktorkę.

Niechący wygadał się nieświadomy niczego kierowca. „Przyjdzie pani na wieczorny pokaz?” — zapytał przy wyjściu. „Jaki pokaz?”. „Jakiegoś filmu Delgady, nie pamiętam tytułu. Anne Sibylle chce go pokazać J.J.”. „J.J.? A co ona ma z tym wspólnego?”. „To pani nie wie? Anne Sibylle chce jej powierzyć rolę Iris w *Oczach jak węgle*”. Diane przyjęła wiadomość jak uderzenie kamerą w twarz. Rola życia, o której zawsze marzyła i napisała dla siebie, na swoją miarę, miała jej zostać odebrana przez początkującą gwiazdkę! Jak śmiała?! Przez całe popołudnie bombardowała producentkę telefonami. Zostawiała wiadomość na sekretarce, ale nie było żadnej odpowiedzi. Postanowiła więc pójść na pokaz razem z Borysem. Anne Sibylle zignorowała ich obecność, zajęta przyjmowaniem umizgów głupio uśmiechniętej gwiazdki. Po wyjściu z sali towarzystwo wsiadło do samochodu wytwórni i pojechało na obiad. Autorzy scenariusza i muzyki zostali sami na chodniku. Przegran.

— To zero niczego nie zrozumiało! — oburzyła się Sylvana. — Przecież sens filmu tkwi w spojrzeniu, które jest głównym punktem mitu o Orfeuszu. Ono steruje przeznaczeniem bohaterów. W twojej wersji uosabia je Iris — Eurydyka. Ostre, szybkie i głębokie spojrzenie dziennikarki, a przy tym czułe, jasne i zachwycone, takie, które jednocześnie odkrywa kraj i wielkie

uczucia i rzuca światło na pogmatwaną sprawę. Takie spojrzenie gra główną rolę w filmie. To twoje spojrzenie!

— A już na pewno nie spojrzenie J.J., tej bezmyślnej mlecznej krowy — uzupełniła Lily.

Oczy Diane musiały chyba tonąć we łzach, bo usłyszałem pociąganie nosem. Rozczulała się nad sobą, a przyjaciółki dzielnie jej sekundowały.

— Przepraszam — wyszeptła, zmierzając do toalety.

Na zamówionym przez nią *cappuccino* wyrzeźbiłem misterne „D”. To wszystko, co mogłem zrobić, by na zalanej łzami twarzy Diane znów za gościł uśmiech. Nie chciałem jednak wzbudzać w nich zazdrości, więc wyrysowałem „S” także dla Sylvany. Sylvany, która niepokojąco zajmowała coraz więcej miejsca w moich myślach.

— Dlaczego tak się dzieje, że to kobiety krwawią? — zastanawiała się Ilona.

— Diane przynajmniej nie krwawi z powodu mężczyzny. To już coś — zauważyła Lily, wyjmując z torebki jakiś przedmiot. — Zobaczcie, co dostałam z Rzymu!

Usłyszałem okrzyki, pełne aprobaty.

— „Nocny lot”! To pachnie „Mile High Club”!

— I w szkatułce pomalowanej w zebkę, w stylu afrykańskim. Jaka ładna aluzja!

— Nos mi mówi, że to twój piękny Rzymianin!

— Mój pierwszy prezent na Gwiazdkę — podsumowała uszczęśliwiona Lily. — Piękny Flavio.

— Obawiam się, że moje upominki będą bardzo kłopotliwe — zażartowała Sylvana. — Karty powiedziały prawdę, Ilono. Laurent wykonał *come back*. Znowu siedzę na tej słynnej, gnijącej gałęzi, której nie mam odwagi odciąć.

A więc pisarz wrócił. Trzeźwy i skruszony.

„Powiedz mi, że cię nie straciłem. Powiedz, że to nie koniec. Daj mi jeszcze jedną szansę. Co muszę zrobić, aby znów cię odzyskać? Chciałabyś, żebyśmy się pobrali?”. „Wstąp najpierw do kwiaciarni” — odpowiedziała, mimo wszystko wzruszona tym aktem skruchy, tak niezwykłym dla dum-

nego Lau— renta. Propozycja małżeństwa, na którą niegdyś z utęsknieniem czekała, teraz nie zrobiła na niej wrażenia. „Wysłucham cię, jeśli przyjdiesz tu z toną mimozy”.

— No, no, włączam syrenę alarmową! — przerwała Lily. — Mam do tego większe prawo niż wy. Uprzedzam cię: najczęstszą przyczyną rozwodów jest małżeństwo!

— Nie obawiaj się. Wszystko w życiu ma swoją porę. Czas ślubu minął — nadszedł czas rozstania.

Po słowach Sylvany Laurent wyszedł i wkrótce małe gałązki — zgniłe? — pojawiły się wraz z nim w mieszkaniu. Żółty puszek mimozy był opatrunkiem na zranioną dumę pianistki. Nie mógł jednak wskrzesić jej miłości. Było za późno. I chociaż nie miała serca odrzucić kwiatów, Laurent był bez szans. Ilona miała rację: Sylvana straciła wiarę. Nie umiała w tej chwili powiedzieć, jak i kiedy nastąpi ostateczne rozstanie, bo to sprawa czasu i okoliczności. Ale Laurent przestał być jej bogiem. I nie pojawienie się Salima spowodowało utratę wiary, lecz raczej upadek Laurenta spowodował pojawienie się Salima.

— Z Laurentem przeszłam już przez wszystkie fazy: od radosnych do najboleśniejszych. Jednak przez te wszystkie lata nasz związek cementowała miłość. A teraz łączy nas tylko poczucie winy. Boli mnie jego ból. Boję się otworzyć mu rany, wyrzucając go tuż przed Gwiazdką. To jedyny powód, dla którego pozwoliłam obsypać się mimozami.

Sprawy wyraźnie się komplikowały. Zdaje się, że maleńki bukietek jaśminu od Salima zajmował o wiele więcej miejsca niż „tony” mimozy. Nubijczyk zgłosił chęć przyjazdu do Paryża na święta, przed planowanym samotnym urlopem na Kubie. Uczuć nie należy ze sobą mieszać. Duma jednego i poczucie godności drugiego nie pasowały do siebie przy wigilijnym stole. Trzeba będzie wybrać między jaśminem a mimozą. Sylvana nie mogła się zdecydować i postanowiła, nie odwołując się nawet do bystrości Ilony, by życie zdecydowało za nią.

Lily — przeciwnie. Chciała jak najwięcej wiedzieć o Flavio i o Igorze, i o tajemniczym panu X, który miał się pojawić w przyszłości; Aldo i Johnstone należeli już do przeszłości. Z kart wynikało, że Włoch często o niej myśli —

zresztą dał tego dowód, ale Paryż nie figurował na liście jego przyszłych podróży. Słowakowi zapadła głęboko w pamięć, lecz wyjeżdżał na święta do rodzinnego kraju, gdzie jakieś nieprzyjemne sprawy miały zatrzymać go na dłużej, niż zamierzał. Pan X się zbliżał. Powoli. Teraz Ilona widziała go wyraźniej. To ktoś naprawdę dobry, z którego Lily będzie dumna. Wnieście w jej życie coś nowego: miłość dowartościowującą, piękną wymianę uczuć. Zagranica, podróże, ciągłe zmiany — to karty obiecywały Lily.

Diane wróciła z toalety. Artystyczny, filmowy makijaż starł z jej twarzy ślad rozgoryczenia; pojawiła się nadzieja i ufność. Usiadła przed filiżanką *cappuccino* z inicjałem na śmietance.

— Popatrzcie, posypane kakao przypomina literę „D”! — wykrzyknęła.

— Kto tu zna nasze imiona? — zdumiała się Ilona.

Mogłem zostać zdemaskowany. Zanurzyłem się w czerni kaw i anonimowości brązowego ubrania. Naciągnąłem na czoło ciemny kaptur bluzy, w jaką szef wyposażył nas na zimę.

— To barman—artysta, który podpisuje swoje dzieła — drwiąco wyjaśniła Sylvana, wyraźnie niezadowolona. Zdażyła już pochłonąć swoje „S”, bez żadnej wdzięczności, a teraz sparzyła mnie tym okrutnym zdaniem, wypowiedzianym takim samym tonem jak tamte słowa: „Żonaty czy kawaler?”. Jeszcze ciągle czułem ich gorycz w ustach.

— Wygląda raczej na dedykację — zauważyła Diane, uśmiechając się domyślnie.

17

Automatyczna sekretarka Carmeli bombardowała mnie monotonnym, bezbarwnym głosem. Czy miała to być głosowa ilustracja burzowego nastroju jej serca? Niechęć do życzeń świątecznych, które pragnąłem złożyć? Głośne podkreślenie jej nieobecności w Neapolu? Nie znosiłem spódnic—spodni, kartek pisanych na ukos, przyczep motocyklowych, czasownika „zarządzać”, trzaskania słuchawką i automatycznych sekretarek.

Kolejny raz oddałem się niezwykłej mocy *espresso*. Jakże ten mdławny napój był gorzki! Właśnie taki, jaki najbardziej lubiłem. Miał nadzwyczajną zaletę stawiania człowieka na nogi — w przeciwieństwie do odurzającego usypiania opium czy upojenia alkoholowego — był jak narkotyk, samym sednem przyjemności. Już po pierwszym łyku poczułem, że wraca mi dobry humor, siły się regenerują i staję się bardziej towarzyski.

— „To ty, boska kawo, której cudowny smak nie usypia głowy, ale rozpromienia serce” — wyrecytowałem kelnerce bałamutce.

— Widzę, że osiągnąłeś szczytowanie przyjemności — odpowiedziała.

Pewnego dnia warto by było spisać wszystkie przejęzyczenia i dać im tytuł „Gracieuse”. Jeszcze się śmiałem, rozbawiony jej odpowiedzią i smakiem kawy, gdy nagle lodowaty wiatr wtargnął do „Cappuccino”. Oszklone drzwi zamknęły się za ciemną sylwetką otuloną czarnym szalem. Carmela! Poczulem, że się przyklejam do stołka.

— Chciałam zobaczyć, czy przypadkiem nie utopiłeś się w filiżance kawy.

Była bledsza niż w moich wspomnieniach i miała rozgorączkowane oczy. Przed chwilą wysiadła z nocnego pociągu Neapol—Paryż. Po rodzinnych świętach postanowiła — jak mi zakomunikowała wojowniczym tonem — spędzić „zakochanego” sylwestra. W uszach wciąż dźwięczała mi automatyczna sekretarka. Tylko dobroczynne działanie kawy pozwoliło mi jakoś przeżyć wstrząs. Najserdeczniej, jak potrafiłem, usadowiłem ją na ławeczce stojącej możliwie daleko od antresoli, na której za moment zaczęły zajmować miejsca kolejno jej cztery rywalki. Przygotowałem Carmeli coś na poprawę humoru, bo widać było, że pała żądzą zemsty. Magiczny przepis mojej mamy: jajko utarte z paroma kroplami *marsali* i zalane *espresso*, wydał mi się bardzo wskazany. Gracieuse właśnie niosła moje „lekarstwo”, kiedy jak w każdy piątek Sylvana królewsko wkroczyła do sali. Jej wejście nie mogło ujść uwagi mojej narzeczonej — zmierzyła wchodzącą wzrokiem godnym wielkiej inkwizycji. Zielone oczy pianistki, ignorując skierowane ku niej spojrzenia gości, pełne podziwu lub zazdrości, spoczęły na niesionej przez kelnerkę tacy. Wskazujący palec wskazał filiżankę przeznaczoną dla

Carmeli, a wargi wydały melodyjny dźwięk, który musiał mojej dziewczynie włączyć dzwonek alarmowy.

— Proszę poprosić „mojego” artystę—barmana, żeby mi przygotował „moją” kawę z jajkiem!

Następnie zaczesła palcami włosy, potrząsnęła głową i majestatycznie weszła na antresolę. Przysunęła fotel do stolika, usiadła wyprostowana jak przed fortepianem i szczupłe palce położyła na marmurowym blacie.

Składając zamówienie, Sylvana spowodowała, że kruche zawieszenie broni między mną a moją narzeczoną zamieniło się w mityczne jabłko niezgody. Od jej wejścia minęło zaledwie kilka minut, ale to wystarczyło, by wyostrzone zmysły Carmeli przypomniały jej o moim milczeniu i przekładanych terminach powrotu. Zbyt dobrze ją znałem i wiedziałem, że każe mi wypić truciznę aż do dna, zwłaszcza że trzy następne uwodzicielki pojawiły się na antresoli.

— Właśnie do tego służy prawdziwy mężczyzna — oznajmiła Diane. — Powinien nas otaczać ciepłem w najzimniejszych momentach życia. W Wigilię Anne Sibylle — znowu ona! — bez pardonowo oznajmia mi przez telefon: „Jeśli J.J. wyrazi zgodę, produkcja może ruszyć”. Mówi bardzo szybko. „Prześlę ci iks franków — nie bardzo rozumiem, dlaczego tyle — aby zablokować twój scenariusz na rok”. Wolę nie udzielać odpowiedzi, najpierw muszę się naradzić. Oddzwaniem, aby zakomunikować, że po pierwsze — powierzę jej scenariusz najwyżej na sześć miesięcy, a po drugie — dostanie go za sumę trzykrotnie wyższą od zaproponowanej. Myślałam, że połknie swoją komórkę. „Ależ... ja nie mam takich pieniędzy!” — zawyla, gdy odzyskała oddech. Mówię, że i tak zaproponowała mi jedną dziesiątą, powtarzam: jedną dziesiątą wartości scenariusza. Wyobrażacie sobie? Zamrozić moją pracę na cały rok za takie marne pieniądze! Nie mówiąc o tym, że podeptała moją godność aktorki przez jakąś J.J.! Gdybym nie miała Borysa obok siebie, dostałabym zawału.

— Wesołych świąt! — powiedziała ironicznie Lily. — Ani książkę małżonek, ani moi dworzanie nie potrafią mnie otoczyć mięciutkim kokonem bezpieczeństwa. Jedyne miejsce, gdzie naprawdę jest mi dobrze, to dom moich rodziców. Pojechałam więc do La Baule z Patrickiem i małym Jule-

sem na dwa dni świąt. Tam czuję troskę, ciepło i zaufanie. Potrzebuję tego tak samo jak mój syn, który odnajduje w domu dziadków prawdziwie rodzinną atmosferę. Niestety, taka doskonałość nie wywołuje jedynie pozytywnych efektów. To nieprawda, że tylko nieudane małżeństwa źle wpływają na dzieci. Przez całe życie próbowałam stworzyć równie idealny związek. Im się udało już za pierwszym razem, a ja desperacko wiele razy usiłowałam osiągnąć ten niedościgły ideał. Kiedy się orientowałam, że się pomyliłam — zrywałam. Zawsze zaczynam od zera, poszukuję czegoś niemożliwego w nowych związkach, łudząc się, że w końcu mi się uda. Gonię, zmieniam partnerów, chcę zdobyć ten niedostępny szczyt i przez kolejne doświadczenia odnaleźć tę jedyną przygodę moich rodziców. Właśnie tak toczy się moje życie.

— Ty potrzebujesz powietrza, Lily — przerwała Ilona. — Nie sądzę, żeby podobny związek przyniósł ci satysfakcję, nawet gdyby udało ci się go stworzyć. Musiałabyś uśmiercić kawałek siebie samej. To nie dla ciebie. Zresztą dla większości ludzi też nie. Chęć połączenia życiowej pasji z małżeństwem i trwanie w związku na siłę, aż do końca, stwarza pokusę całkowitego podporządkowania sobie drugiej osoby. Poznałam to na Ukrainie — co prawda w innym wymiarze — widziałam różne niktzemności i nieszczęścia. Dyktatura miłości jest równie groźna jak zdemaskowana dzisiaj dyktatura proletariatu.

— Wszystkie mamy skłonność do szukania w mitycznym związku rozwiązania naszych problemów — oznajmiła Sylvana.

Jej własny związek miał właśnie powstać z ruin, kiedy pojawił się „mściciel” o imieniu Salim. Zadawała sobie pytanie, co robić, gdy dwóch mężczyzn pragnie spędzić z nią święta i sylwestra? Na szczęście między Gwiazdką a 31 grudnia jest cały tydzień, więc można to jakoś pogodzić: z jednym przeżyć święta, a z drugim sylwestra: Boże Narodzenie z Salimem — powiedzieć Laurentowi o dobroczynnym koncercie w domu dziecka na prowincji — sylwester z Laurentem — Salim dowie się o niespodziewanym najeździe krewnych.

— Właśnie przebyłam pierwszy etap biegu z przeszkodami, choć w ogóle nie jestem do tego przygotowana — stwierdziła Sylvana.

— Wygrałaś?

— Bezdyskusyjnie. Spotkanie było niesamowite. Byliśmy z Salimem w kawiarni i wyszliśmy w noc: noc czarną i białą, lodowatą czerń pełną białych, fruwających śnieżynek. Kędzierzawe włosy Salima w jednej chwili pokryły się bielą. I tam, na puszystym chodniku, przeżyłam jedną z najbardziej wzruszających chwil naszej znajomości. Mój Nubijczyk zatrzymał się, spojrzał na mnie i przyciągnął do siebie. Trzymał mnie wystarczająco długo, bym poczuła, jak jego ciepło i czułość przenikają do mego wnętrza. Przekazał mi tym gestem drżące w nim uczucia. Wszystko można przekazać jednym dotykiem! Zaufanie nie potrzebuje słów. Jak długo trwalibyśmy w tym uścisku? Straciliśmy rachubę czasu. Znaleźliśmy małą kubańską restaurację w stylu przedrewolucyjnym. Ładne preludium przed jego wyjazdem na wyspę. *Come with me to Havana* — namawia. „W tej chwili to niemożliwe” — odpowiadam, nie wspominając o powrocie Laurenta. A on, jakby czytał w moich myślach. Pyta, jak się mają sprawy z moim narzeczonym. *En stand-by* — „w zawieszeniu”. *Sospesa* — jak nazwa kawy. Jego duma południowca nie znosi niejasnych sytuacji. Uprzedza, że jeśli Laurent i ja dojdziemy do porozumienia, to on się usunie. Bardzo uważam, by nie powiedzieć za dużo. Nie jest naiwny: radzi mi zerwać definitywnie. „Dlaczego? Czy masz dla mnie jakąś propozycję?” — pytam. Podniecenie przeszkadza mu w kontynuowaniu rozmowy. Jestem jego głodem, a on — moim pragnieniem. Przez całą kolację, rzucając monosylabami, pozwalamy nieść się pożądaniu.

— Dostałam dreszczy — zachrypiała Lily. — Jakbym to sama przeżywała.

Carmela wybrała ten właśnie moment, gdy i we mnie obudziły się zmysły, by zaaplikować mi zimny prysznic.

— Skoro jesteś aż tak zajęty — zadrwiła — to wracam do hotelu.

Pomogłem jej włożyć palto i szal na głowę, przepaszając, że nie mogę nią się zająć teraz, gdy pracuję. Odprowadziłem ją do drzwi i obiecałem, że spędzimy razem wieczór.

Kiedy wróciłem na swoje miejsce, w opowieści nastąpił zasadniczy zwrot; z tonacji ledwo słyszalnych dźwięków mogłem wyczuć temperaturę

cicho wypowiedzianych słów. Zostawiłem Sylvanę przy kubańskim stoliku. Odnalazłem ją w toalecie dla *senoras*, zajętą szczotkowaniem włosów. Z pochyłoną do przodu głową czesała swoje długie loki, potargane wiatrem, kiedy nagle tajemnicze ramię schwyciło ją w tali. „Salim!” — krzyknęła. Byli tylko we dwoje. Podczas gdy jedną ręką delikatnie zamykał jej usta, drugą, bardziej stanowczą, pociągnął do kabiny. To ciasne pomieszczenie, gdzie zamek nie działał i trzeba było przytrzymywać drzwi nogą, gdzie kolejne warstwy zimowych ubrań stawiały opór, gdzie przychodziło się w zupełnie innym celu — to miejsce przekształciło się w różany ogród pełen wzajemnego pożądania. Tam dopadła ich wyzwolona wolność, z dala od nakazów i zakazów, a wątle drzwi oddzieliły ich od świata i uczyniły współnikami tajemnicy. Salim i Sylvana poddali się bez reszty nawalnicy rozszalałych zmysłów; kobieta pożądała mężczyzny równie mocno, jak on jej pragnął. Nie myśleli o wspólnej przyszłości, o przyszłych porankach i nocach. Robili to dla tej jednej chwili, właśnie teraz, *just for now*, natychmiast. *Are you coming?* O tak! *Yes, my love. Come to me, baby* — i do diabła z całą resztą. Dziki uścisk, w którym odczucia boskie i diabelskie znalazły swoje miejsce, powoli zmieniał się w delikatną pieśczętę.

— Dwa serca w toalecie! — gorączkowała się Lily.

— Po zakończonej bitwie uśmiechnął się do mnie — kontynuowała Sylvana. — Przez szparę w drzwiach sprawdził, czy droga wolna, i zaczekał na zewnątrz, aż uporządkuję ubranie i myśli. Poprawiłam makijaż, przyjąłam odpowiednią postawę i przeszłam przez salę z podniesioną głową, z większą godnością niż kiedykolwiek indziej. Podał mi futro i znów zanurzyliśmy się w czarno—białą noc. Zrobiło się jeszcze zimniej, przyspieszyliśmy kroku, doszliśmy do chińskiego baru w hotelu. Atmosfera jak w Szanghaju: głębokie klubowe fotele, drewniane, bambusowe story i wentylatory na szerokich nóżkach. *Where is the bathroom?* „Gdzie jest sypialnia?” — dopytuje się niecierpliwie mój dyplomata. Błagam go, śmiejąc się do łez: *Stop, Salim, please!*

— A nasze inicjały? Dlaczego dzisiaj ich nie ma? — pytała Sylvana, wspierana energicznie przez przyjaciółki, które domagały się swoich S, D, I i L, napisanych ciemnym kakao na białej śmietance, jak czegoś, co im się należy.

Po raz pierwszy chciałbym, żeby ich tu nie było. Znalazłem się niczym w kleszczach między ich kapryśnymi, prowokacyjnymi żądaniem i wymaganiami Carmeli. Ostatnie dni nie były dla mnie łatwe. Bezwstyd uroczych przyjaciółek, tak kontrastujący ze skromnością mojej *ragazzy*, powiększał zamęt w biednej głowie. Pod wpływem zdumiewających opowieści paryżanek zrozumiałem, że kobiety lubią seks, a ich nieskrępowane wynurzenia sprawiły, że już nie wiedziałem, co myśleć o zachowaniu naszych dziewcząt z Południa. Na skutek tradycyjnego wychowania, przekazywanego z matki na córkę, całkowicie różniły się od tych, z którymi się tu zetknąłem. U nas dziewczyny „włóczące się”, kokietujące i oddające swoje ciała ot tak, dla przyjemności, były stracone. Dobrze wychowane, jak moja narzeczona, traciły dziewictwo tylko po ślubie lub co najwyżej po zaręczynach.

Siedem wieczorów z moją neapolitanką jeszcze bardziej mnie sfrustrowało. „Konkretnie?” — spytała pewnego razu, chcąc poznać me zamiary. Czy oczekiwała ode mnie obietnicy, deklaracji, aby pozwolić mi przyjść do hotelowego pokoju lub samej zjawić się w moim mieszkanku? Wyziębione wiatrem ulice i zaśnieżone ogrody Paryża nie były wymarzoną gniazdkiem miłości. Mieliśmy do dyspozycji jedynie restauracje, kawiarnie, taksówki i sale kinowe, w których Carmela pozwalała na to, co było przewidziane dla pierwszego etapu relacji między chłopakiem a dziewczyną: mogłem dotykać „strefy” między czołem a policzkiem. Tylko jeden raz w ciemnej sali zgodziła się na przejście do drugiej „strefy”: od podbródka do pasa. Trzecia „strefa” pozostawała w sferze marzeń. Nie mogłem jej zaciągnąć do toalety i — używając słów Sylvany — magiczną pałeczką zamienić to miejsce w różany ogród. Nie miałem odwagi Nubijczyka. Byłem zafascynowany wolnością paryżanek i przytłoczony surowością neapolitanki, skazany na pasywność wobec tamtych kobiet i niemożność działania wobec swojej dziewczyny — a to wszystko wpędzało mnie w coraz większe

przygnębienie. Rozdzwięk między dawnymi wartościami a tymi, z którymi tu się zetknąłem, stawał się nie do zniesienia.

Kapryśna skarga czterech uwodzicielek nie mogła, oczywiście, ująć uwagi Carmeli. Chcąc lepiej kontrolować sytuację, zajęła sąsiedni stolik. Kiedy już złożyły zamówienie, poderwała się z kanapki, wśliznęła za bar i uprzedzając Gracieuse, złapała przygotowaną tacę z czterema *cappuccino*.

— Pomogę ci, Ottavio!

To był bardzo zaborczy gest. Zanim zdążyłem zareagować, okrążyła kontuar i weszła na schody prowadzące na antresolę. Potem wypadki potoczyły się niezwykle szybko. Usłyszałem hałas tłuczonych naczyń, przewracanych foteli, wściekłe okrzyki. Dzika postać przebiegła przez salę jak strzała i zniknęła w chłodzie poranka. Carmela nie przepuściła okazji. Wyłała na rywalki całą dawkę nagromadzonej w ciągu tygodnia zazdrości. A mnie wprawiła w stan straszliwej konsternacji i postawiła w upokarzającym położeniu. Nienawidziłem spód—nic—spodni, kartek pisanych na ukos, przyczep motocyklowych, przysłówka „konkretnie” i upuszczanych tac. Nienawidziłem Carmeli.

Powinienem był utopić się w filiżance kawy, jak mi to zasugerowała zaraz po przyjeździe. I tylko groźba, że nie zobaczyłbym więcej moich czterech bogiń, nie pozwoliła mi uciec i zniknąć w niebycie. Ogarnęło mnie przerażenie. Czy po tym incydencie nie opuszczą na zawsze „Cappuccino”? Właśnie tego chciała moja *ragazza*: przepędzić nieodwołalnie niebezpieczne klientki.

Odzyskałem zmysły na tyle, aby zobaczyć, że Gracieuse panuje nad sytuacją.

— Wzięłam byka za rogi — powiedziała do mnie.

Bardzo uprzejmie przeprosiła klientki, pozbierała filiżanki, wytarła plamy, zaniosiła dwie marynarki i szal do ekspresowej pralni, zapewniając, że będą gotowe za pół godziny. Następnie podała ofiarom agresji cztery *cappuccino*, uzupełnione czterema *tiramisu* — wszystko na koszt firmy.

— Tam na górze one myślą, że to był wypadek — pocieszyła mnie. — Ale ja wiem, że ta twoja neapolitanka zrobiła to celowo. Nie dam się złapać na pożary.

Zabawne przejęzyczenie Gracieuse było dla mnie najpiękniejszym prezentem gwiazdkowym. Odprężyłem się. Katastrofa została zażegnana. A kawowy prysznic pomógł moim ulubionym klientkom powrócić do równowagi. *Tiramisu* natychmiast rozwiązało im języki.

Zacząła Ilona:

— Kalendarz mojego życia seksualnego zawsze jest związany z feriami szkolnymi, od kiedy mieszkam w Paryżu. Jestem więc strefą F, jak „ferie”.

— Strefa F? — odparowała Lily. — Myślałam raczej, że jesteś w magicznym punkcie G!

— Kochane, zróbcie coś z tą kobietą! Wyrzućcie ją! No dobrze, może to wpływ nowego roku. Uniwersytet zamknięty, moje córki na zimowych wakacjach, więc moje libido mogło wreszcie powrócić. Nowy rok! Ani grama truflí czekoladowych, ani kęsa mrożonego kasztana! Koniec ze słodyczami!

— A twój przemysłowiec z Północy?

— Jutro ma przyjechać do Paryża. Potem odwiedzi jakiegoś antykwariusza na prowincji. Kolekcjonuje krzesła Thoneta; ma bzik na punkcie łukowatego drewna. Zaproponował, żebym z nim pojechała. A tobie, Lily, jak się udał plan podbojów?

— Służbowy sylwester spędziłam w Londynie, gdzie mój dom mody właśnie otworzył kolejny wielki sklep — światowy sztandar naszej firmy po paryskim butik na Saint—Germain. Jeszcze jedno gigantyczne święto na dwa tysiące osób, gdzie nikogo nie znasz. Pracowałam trzydziestego pierwszego grudnia cały dzień, pokazując to siedlisko francuskiego luksusu angielskiej prasie. Byłam na nogach od szóstej rano. Brzydka, zmęczona i potargana, miałam tylko jedno marzenie: wrócić do hotelu i zasnąć. „Tego nam nie zrobisz!” — zaprotestowali moi współpracownicy. Wepchnięto mnie do przymierzalni, ubrano w liliowe wdzianko, szminką w tym samym kolorze pomalowano usta i w drogę, moja piękna! Światowe życie czeka! Któraś z koleżanek ciągnie mnie za ramię: „Chodź, chcę ci kogoś przedstawić. To Jafar, pakistański książę”. Usiłuję protestować, ale za późno. Ujmuję miękką dłoń Pakistańczyka w białej tunice; pełno ich na ulicach

Londynu. *My name is Lily* — przedstawiam się z okropnym akcentem, spowodowanym zmęczeniem.

— *Mi chiamano Lily* — nazywają mnie Lily... — z antresoli doszedł mnie śpiewny głos Sylvany. Trzy przyjaciółki natychmiast zaprotestowały.

— Mogę mówić dalej? Biała tunika jest podniecona: *Oh, Lilac! Yourrr name perrrfumes the night*. Moje imię „rozpach—nia” noc — tym lepiej, bo w nawale przygotowań zapomniałam się uperfumować. Podczas całego przyjęcia słyszę tylko jego gardłowe „rrrrr”. Następnego dnia izmailita zjawia się w sklepie z ogromnym bukietem bzu. Koniecznie musi się ze mną zobaczyć. *Wherrre is Miss Lilac? I want to meet herrr*. Nie ma szczęścia, już siedzę w samolocie do Paryża. Dostaje numer do firmy i bombarduje mnie telefonami. Miałam kilka dni urlopu, więc dowiedziałam się o tym po powrocie do pracy. Odsłuchuję na sekretarce: *This is Prrrrince Jafarrrr. How arrre vou my bunch of lilacs?*

— „Moja gałązko bzu” — roześmiała się Ilona. — Od dzisiaj będziemy do ciebie tak mówić.

— Nikt przedtem tak mnie nie nazywał, przysięgam! Wczoraj przesłał mi faksem wszystkie swoje numery telefonów: do Londynu, Nowego Jorku, Los Angeles, Cannes, Davos, Portocervo, Nairobi, Islamabadu — chyba tuzin. *Cali me back, please*.

— I co, zadzwoniłaś do niego?

— Nie.

— Na co czekasz?

Przyjaciółki objęły się ramionami, zakołysały w prawo i lewo, jak w jakimś rytualnym tańcu. Chór na trzy głosy zaintonował coś, co brzmiało jak psalm:

— Jafarrrr... Jafarrrr...

— Salim, Jafar — oto ucieleśnienia orientalnych pragnień! — zauważyła profesorka języków orientalnych. — Najlepsze połączenie wschodniego ciała i erotyzmu!

Ilona, która sama przybyła z Europy Wschodniej, długo opowiadała o zafascynowaniu Zachodu cudem o nazwie Orient. Mówiła o fikcji i mirażu, o efekcie lustra, w którym odbijają się i spotykają kultury wschodnia i za-

chodnia. Co urzekło człowieka Zachodu? Wspaniały raj sztuki miłosnej, ziemia obiecana dla szukających rozkoszy, całej tej inności, tak trudnej do osiągnięcia.

— To nasza odwieczna tęsknota za utraconym rajem — rozmarzyła się Lily.

— Głód inności — sprecyzowała Ilona — jest w rezultacie poszukiwaniem własnego alter ego, zapomnianej części nas samych; poszukiwaniem własnej tożsamości, a jednocześnie odmienności.

— Jeśli dobrze rozumiem, jest to syndrom opowieści *Tysiąca i jednej nocy* — zauważyła Diane. — Sylvano, a co się dzieje z twoim mężczyzną Orientu?

W sylwestra była zmuszona opuścić Salima i zająć się Lau— rentem, tak jak obiecała. I bardzo szybko pożałowała swojej decyzji. Ledwo przekroczyli próg mieszkania wydawcy, Laurent zapomniał o danych obietnicach i zanurzył się w oparach alkoholu.

— Nadchodzi północ, muzyka cichnie, światła gasną: pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... znów robi się jasno, muzyka gra, wszyscy sobie składają życzenia: Szczęśliwego Nowego Roku, *Happy New Year*, *Buon Anno*. Wszyscy mnie całują, oprócz niego.

Laurent zniknął. Sylvana znalazła go, pijanego do nieprzytomności, w gabinecie. Nawet nie był w stanie jej zobaczyć. Jeszcze raz dała się nabrać! Wymknęła się z przyjęcia, wzburzona do żywego, zostawiając za sobą opary alkoholu. Zamknawszy drzwi na cztery spusty, w łóżku płakała z wściekłości. Koniec! Żadnej nowej szansy. Wyrzuciła naręcza mimozy i przez całą dobę topiła we łzach swoją bezgraniczną naiwność.

— Dlaczego chcesz, żeby ludzie się zmienili? — filozofowała Ilona.

Skończyło się na tym, że, szukając pocieszenia, Sylvana zadzwoniła do hotelu Salima. Spał. Był w okropnym humorze. Zadzwoni do niej później. Ale tego nie zrobił. Ani nazajutrz, ani następnego dnia. To było oczywiste. Nie uwierzył w ani jedno słowo jej bajeczki o rodzinnym sylwestrze. Zrozumiał, że znów pojawił się narzeczony, i wycofał się z jej życia, tak jak uprzedzał. Na drugi dzień miał wyjechać na Kubę. Mogła go stracić na zawsze. Zadzwoniła więc jeszcze raz: „Chcę cię zobaczyć, Salimie”.

Spotkanie w hotelowej restauracji w stylu empire przebiegało w atmosferze napięcia, chłodu, dystansu. Ciszę przerywała Sylvana zdawkowymi zdaniem, desperacko próbując skierować rozmowę na ważny dla niej temat.

— Może to wpływ wystroju sali? Rozmawialiśmy o... Napoleonie, wyobraźcie sobie! Pouczył mnie, że gdyby cesarz miał armię Nubijczyków, zawojowałyby całą planetę. Podobno sam tak powiedział. Jest to naród wojowników, prawdziwych *fighters*. Taki był klimat spotkania! Pytam: „Czy ty też jesteś jednym z nich?”. Odpowiada, że tak długo się do tego przygotowywał, że powinien już być gotowy. Dalej drażę to, co jest dla mnie najważniejsze: „Czy walczyłeś już o kobietę?”. *Against a woman?* „Nie, nie przeciwko. O kobietą”. Nie dopuszczam do zmiany tematu. „Byłbyś gotów walczyć o mnie? Z innym mężczyzną?”. Kiedy sytuacja staje się zbyt skomplikowana, bierze serwetkę, wachluje nią powietrze i oznajmia: *I drop it*. Oto los, który mi szykuje: odpuszcza sobie. Zostawia mnie. Śmieję się prowokująco: „Czy to właśnie nazywasz *fighter* — wojowniczością?” — pytam. I zaraz potem, bardziej ugodowo: „Co się dzieje, Salimie? Zmieniłeś się”. *Not me. You changed* — odpowiada. To ja nie jestem *straght* — prostolinijna, mówi, wyprostowany, tnąc powietrze lekkim ruchem ręki. Wstajemy. Kieruję się do wyjścia. Koniec pięknej historii. Dziękuję ci, Laurent. Udało ci się pozbyć Salima. Wbrew wszelkim oczekiwaniom Nubijczyk ciągnie mnie do windy, jak tamtego wieczoru do toalety. *Dropping*, porzucenie, nie nastąpi więc tak od razu. Jadąc na górę, unikamy spojrzenia. W pokoju chłód, napięcie i dystans powoli znikają. Następuje cudowne odnalezienie się. Kocha się ze mną, patrząc mi w oczy i pieścąc moją twarz. Potem bierzemy wspólną kąpiel w wannie pełnej piany. Postanawiam, że to najważniejszy moment do wyjścia. *Dropping* — to ja go porzucę, nie on mnie. Mówię sobie, że lepiej rozstać się w takiej uroczej chwili niż w stresie zimnego poranka, kiedy on, już rozjaśniony kubańskim słońcem, pojedzie na lotnisko. A ja wrócę zapłakana do lodowatej atmosfery pustego mieszkania. Bez słowa wychodzę z wanny. Wracam do łazienki opatulona futrem; jego nagie ciało lśni od kropelek wody. „Wolę teraz powiedzieć ci do widzenia, Salimie” — mówię. Jego oczy ciskają błyskawice. Opanowuje się, opancerza. Rzuca *good bye* lodowatym tonem. Próbuje

złagodzić swoją decyzję, więc dodaje: „Będzie mi ciebie brakowało. Nie zapomnij o mnie”. *See you* — odpowiada wojowniczym tonem. Uśmiecham się do niego i odwracam plecami jak królowa.

— Nie zapominaj, że masz przed sobą prawdziwego króla — zauważyła Ilona. — A ty podeптаłaś jego koronę.

— To prawda — zgodziła się Diane. — Podeптаłaś jego męskość, co w jego kulturze jest równoznaczne z kastracją.

— A ja się z tym nie zgadzam — przerwała Lily. — Ta sytuacja musiała go niesamowicie podniecić. Po raz pierwszy trafił na taką kobietę jak ty. Jeśli chcesz go do siebie przywiązać, zrobiłaś dokładnie to, co należało.

19

Kiedy tylko pojawiła się Lily z kaskiem przy biodrze, trzy przyjaciółki rozpoczęły swój orientalny taniec.

— Jafarr... Jafarr... Oto kiść bzu...

Przechodząc obok baru, dołączyła do zabawy sugestywnym ruchem ramion.

— Izmailita zadzwonił — oznajmiła, siadając. — *Don't be afrrrraid, Lilac* — powiedział mój prrrince Jafarr. — *I am a gentleman.*

Ilona od razu przetłumaczyła:

— Niech się pani nie obawia, Lily, jestem...

— Wystarczy, zrozumialiśmy! — zawołały chórem. — I co?

— I nic.

— Jak to: nic? Chyba go tak nie zostawisz?

— Nie wiem.

— Ależ ona jest ekstrawagancka! Całe życie szuka wyśnionego księcia, a kiedy wreszcie trafia jej się prawdziwy, chce go zostawić!

— Pomyślcie, że jestem zerem, ale... boję się.

— Możesz się nie bać, jesteśmy z tobą!

— Prywatne samoloty, jachty, pałace, zamki, stajnie — to nie dla mnie.

— Pomyśl o przyjaciółkach! — zaprotestowała Diane. — Zaprosisz nas na rajskie wakacje do jednej z twoich licznych rezydencji... Wyślesz nam kolekcję burnusów w najrzadszych kolorach...

— Tak nie trzeba do niej mówić — przerwała Ilona. — Rozdasz swoją fortunę biednym... Zaangażujesz się w akcje humanitarne... Tylko takie argumenty mogą do niej trafić.

— Jestem robakiem — zajęczała Lily. — Małym, biednym robakiem...

Zdegustowane, odłożyły na razie sprawę Lily i zajęły się problemami Sylvany. Nie miała wiadomości z Kuby. Zresztą pianistka ich się nie spodziewała. „Wyobrażacie sobie? Pewnie go nie widać spod Kubanek”. Koleżanki zwróciły jej uwagę, że taki wojownik woli rzucać koło ratunkowe Europejkom, a nie Afrykankom. Nieważne. Sylvana była pewna, że straciła Salima. Przyjaciółki nie wierzyły.

— Najbardziej mnie w nim niepokoi — powiedziała, jakby chcąc za wszelką cenę znaleźć jego słabostki — skłonność do grobowego milczenia. Jest radosny, komunikatywny, szarmancki, cięty w języku, a chwilę później wchodzi w swoją skorupę i w niej się barykaduje. Całkowicie się zmienia. Z zainteresowanego rozmową i ożywionego przeistacza się w kogoś nieobecny, obojętne, ponurego i lekceważącego. To takie trudne we wzajemnych kontaktach. Każde jego odłożenie słuchawki odbieram jako zagrożenie, stratę. „Gdzie jesteś, Salimie?” — spytałam go pewnego razu, machając mu dłonią przed oczami. *I was in an other world. Sorry. I am a day—dreamer* — odparł. Dlaczego śni, kiedy jest ze mną?

— Jeśli dobrze rozumiem, jest jednak miejsce, gdzie twój uspiony marzyciel powraca na ziemię. Tym miejscem jest łóżko — zauważyła Ilona.

— To prawda — przyznała Sylvana. — Przy zapalonych świecach staje się innym człowiekiem. Zrzuca skorupę samokontroli razem z ubraniem dyplomaty, starannie złożonym na krześle, i pozwala ujawnić się uczuciom. I wtedy szybuję w innym świecie. Lepiej jednak, żeby znalazła się na ziemi. Bo już go chyba nie zobaczę...

Ilona zaproponowała jej „rzucenie” kart. Tym razem Sylvana nie dała się prosić.

— Czy chcesz, czy nie — powiedziała ukraińska wróżka po starannym obejrzeniu kart — i tak się spotkacie. Możesz postanowić inaczej, ale niczego nie zmienisz. On o tobie myśli — to absolutnie bezdyskusyjne. Co mówię! On myśli tylko o tobie. Jeszcze nigdy tak bardzo jak właśnie teraz. Ciekawe jednak, że odbieram go trochę jak... człowieka—wilka, który zwierzył ofiarą i zbliża się do niej sprężystym, bezszelestnym krokiem, a potem znika w swojej norze.

— Mężczyzna jest wilkiem dla kobiety! — wykrzyknęła Lily.

— Bardzo tajemniczy — kontynuowała Ilona — wręcz nieufny, zwłaszcza w stosunku do kobiet. Niczego nie wyjawia. Uchyła się od odpowiedzi. Uważa na to, co mówi. Ma zapieczętowane usta. Czy mówi ci czasem o swojej pracy? Nigdy? Nie jestem zaskoczona. Twój człowiek—wilk nie jest taki całkiem biały.

— O nie! — przerwała Lily. — Jest raczej kawą z mlekiem!

— *Cappuccino* — przypomniała Diane.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Ilono? — zaniepokoiła się Sylvana.

— Nic ponad to, co powiedziałam — oświadczyła wróżka, zbierając karty. — Co on robi na Kubie?

— Wyjechał na wakacje. Nawet mi zaproponował, żebym mu towarzyszyła.

Ilona zmieniła temat.

— A ja wybrałam się z Gaetanem, co prawda nie na Kubę, ale do Ca bourga, do tej słynnej antykwariuszki.

Wyjechali na jeden dzień. Spotkali się w paryskiej garsonierze przemysłowca i wspólnie zjedli śniadanie przed wyruszeniem w drogę. Ilona bardzo się spóźniła. Melodie i Serenade, które przebywały na zimowych wakacjach w górach, przez godzinę zdawały jej telefoniczną relację ze swoich narciarskich wyczynów. Przemysłowiec ją zaskoczył: zmieszany, czekał na nią przez trzy kwadransy na schodach. Zszedł na dół, bo nie był pewny, czy podała jej właściwy kod do drzwi wejściowych. Ilona uznała, że to ogromnie miłe z jego strony i zaproponowała natychmiastowy wyjazd, bez wstępów, bez rogalików. Miał zmartwioną minę. Podczas drogi wyczuła, że jest zakłopotany. Jakby mu coś leżało na sercu i w żaden sposób nie mógł się tego

pozbyć. W restauracji trochę się odprężył. Nic nie mogło jej zadziwić. Nawet bransoletka, którą kupił u jubilera na placu Vendôme w Paryżu, a którą wsunął jej na rękę. Dlaczego postępowanie tego człowieka było tak łatwe do przewidzenia? Od pierwszego słowa odgadła treść jego starannie przemyślanej deklaracji. Do tego nie potrzeba być wróżką; znała go przecież od wielu lat. Nowością było jedynie to, że zdecydował się na wyznania. I na prezenty. „Dlaczego teraz?” — spytała tylko. Co mogło to zmienić w niej? W nim? Dlaczego zaryzykował kiedyś ochłodzenie ich kontaktów? Przez zbytnią ostrożność? Odpowiedział, że to z szacunku dla jej prywatnego życia. Z czystego egoizmu bał się zniszczyć jej poprzedni związek z dziennikarzem. Takie tłumaczenie bardzo spodobało się Ilonie. Jej eksnarzeczony miał przecież manię destrukcyjną.

W antykwariacie pomogła mu wyszukać kilka jego ulubionych krzeseł, zaprojektowanych przez Michaela Thoneta w połowie ubiegłego wieku. Ucieszony pełnym skarbów bagażnikiem, przez całą powrotną drogę trzymał ją za rękę. „Nie jestem hazardzistą” — oświadczył przed jej domem. Złożyła lekki pocałunek na jego zimnych, nieruchomych wargach. „Nie jestem latynoskim kochankiem” — dodał, gdy wysiadała. Zbędna precyzja!

20

— O wilku mowa... — roześmiała się Sylvana. — Szkoda, że nie ma z nami Ilony. Karty powiedziały prawdę: Salim i ja zobaczymy się znowu.

Tego dnia, gdy zatrzymał się na chwilę w Paryżu między Hawaną a Wiedniem, była całkowicie przekonana, że to już koniec. Dzięki niedyskrecji swojej uczennicy Lisy dowiedziała się, że Salim spędził dobę w Paryżu. Lisa powiedziała, iż po spędzonym z nią wieczorze miał następnego dnia wrócić do Austrii. Sylvana nie chciała sterczeć przy telefonie. Przyjęła propozycję dyrektora wytwórni płytowej i pojechała na weekend do jego domu na wsi. Nie mogła się jednak powstrzymać, żeby nie sprawdzić automatycznej sekretarki. Postanowiła nie zobaczyć go więcej, ale pragnęła, by zadzwonił. Czuła dziwne, bolesne klucie w sercu. Przez cały weekend

taśma sekretarki pozostawała głucha. Kiepskie dla niej było pocieszenie, że to ona go porzuciła wtedy, w Paryżu, jak królowa.

Po powrocie do domu czekała ją boska niespodzianka. Usłyszała jego głos na taśmie. Serce skoczyło jej z radości. *Hi, Sylvana, this is Salim. Just telling you hallo. I am back in Vienna. I will try to call you again. Otherwise you can call me at home tonight or tomorrow in my office. Bye.* — „Cześć, Sykano, tu Salim. Dzwonię, żeby ci powiedzieć: witaj. Wróciłem do Wiednia. Spróbuję znowu do ciebie zadzwonić. Ewentualnie ty możesz zatelefonować wieczorem do mnie, do domu, lub jutro do biura. Cześć!“. Odtwarzała nagranie pięć razy, wsłuchując się w poważny głos kochanka, tłumacząc tekst słowo po słowie i delektując się każdym śladem zmysłowości. Wtedy zadzwonił telefon. To on! Ciepły, rozgadany, radosny. Zaczął ze szczegółami opowiadać o pobycie na Kubie, gdy rozbłysło światelko drugiego połączenia. Uczennica. „Mam na linii Wiedeń, Liso“ — przeprosiła Sylvana. „Salim? Właśnie chciałam przekazać pani wiadomość, Sykano. On jest w Paryżu“. „Co?!“. „Tak, przyleciał wczoraj rano. Skomunikował się z moim ojcem“. „Zaczekaj. Zaraz sprawdzę“. Sylvana przerwała połączenie z Salimem, by natychmiast zadzwonić do Austrii. Był w Wiedniu. Co ta Lisa opowiada? Pocieszona, powiedziała mu, że niedługo będzie miała serię koncertów w Europie Wschodniej i będzie musiała przejechać przez Wiedeń. Bardzo się z tego ucieszył.

Potem połączyła się z Lisą. Uczennica potwierdziła, że Nubijczyk zatrzymał się na dobę w Paryżu, ale bardzo się spieszył. Musiała chyba pomylić dzień jego wyjazdu. Sylvana poczuła, że drętwieje: Co robił przez całą dobę w Paryżu? Dlaczego nie próbował się z nią spotkać? Lisa powiedziała, że starał się odwiedzić jej ojca w szpitalu.

— Igora? — zdumiała się Lily. — Co mu się stało?

— Bolesny stan zapalny ust. On nie chce o tym mówić. Nasz ulubiony dyrygent musiał przedłużyć swój pobyt w Słowacji, gdzie przewożono go z jednego szpitala do drugiego. Teraz wrócił do Paryża na operację.

— Ilona jest niebezpieczna! — wykrzyknęła Lily. — Przewidziała niemiłe wydarzenie, które zatrzyma go w ojczyźnie. Popatrzcie, właśnie przyszła! Nic jej nie mówcie! Zobaczmy, co powie.

Wspaniały rudzielec został natychmiast zaatakowany przez dwie przyjaciółki, domagające się postawienia kart Igorowi.

Ilona wyjęła karty i oznajmiła z całym przekonaniem, że dyrygent wciąż myśli o Lily, po czym wyjaśniła:

— Widzę go leżącego, otoczonego ludźmi w bieli — bez wątpienia lekarzami. — Zasepiła się. — Z Igorem wcale nie jest dobrze — dodała.

Sylvana wyjęła telefon komórkowy i wystukała numer szpitala, w którym przebywał jej przyjaciel. Odeszła od stolika na dziesięć minut. Kiedy wróciła, była wyraźnie wzburzona.

— Mogłam z nim rozmawiać zaledwie przez parę sekund. Ten cudowny gigant został zredukowany do paru bolesnych, ledwo zrozumiałych oddechów. „Mam ostrza żyłek w gardle” — wyszeptał. A jednak, choć z ogromnym trudem, zdołał zapytać: „Co słyhać u figlarnej Lily?”. Jutro będzie operowany. Ma raka podniebienia.

— To straszne! — jęknęła wstrząśnięta Lily. — Wyślę do niego parę słów.

— Niestety to wszystko, co można teraz dla niego zrobić — oświadczyła Sylvana. — Rozmawiałam z jego córką. Nie pozwala go odwiedzać.

— Można tylko o nim myśleć i modlić się — rzekła Ilona.

Pojawiła się Diane niczym piękny poranek. Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak promiennej. Wenecka blondynka o florenckiej karnacji. Żaden smutek, żaden cień nie przysłaniał jasności spojrzenia. Zwykle pełna rezerwy i powściągliwa, słuchająca w milczeniu przyjaciółek, opowiadała tylko o sprawach dotyczących pracy — dziś wydawało się, że jest gotowa otworzyć swe serce. Byłem zaskoczony. Sądziłem, że nie przypadkiem aktorka wybrała słowa innych ludzi, by wyrażać swoje emocje. Własnych słów używała jedynie wówczas, gdy pisała scenariusze. Dlatego zupełnie jej nie poznawałem. Mówiła jak nigdy dotąd. Jej elokwencja nie uszła uwagi przyjaciółek.

— Można by pomyśleć, że podpisałaś kontrakt — zauważyła Ilona.

— Tak — przyznała Diane. — Ale nie na *Oczy jak węgle*. Będę grała w teatrze we francuskiej adaptacji sztuki Goldoniego *Sklepek z kawą*.

Serce mocniej mi zabiło. Ta obyczajowa komedia z tysiąc siedemset pięćdziesiątego roku była moją książką do poduszki. Napisana przez weneckiego twórcę komedii dell'arte w czasach, kiedy dzięki bliskim stosunkom między królestwem Neapolu a Republiką Wenecji ten egzotyczny napój zaczął robić karierę w obu miastach. Nie tylko w szlacheckich i arystokratycznych rodzinach przyjął się zwyczaj kończenia posiłku filiżanką kawy. Czarny nektar stał się, wraz z lodami, stałym elementem neapolitańskiej gastronomii. Jak grzyby po deszczu pojawiały się pierwsze kawiarnie, do których przychodziła elita Wenecji i Neapolu, pisarze i politycy, szukając w aromatycznym napoju intelektualnej podniety. A prości wyrobnicy szukali w ruchomych kawiarniach na kólkach nowej energii do pracy. Oczywiście gatunek kawy dla bogatych nie miał nic wspólnego z ciemnym płynem, serwowanym biedocie.

— Uwielbiam tę sztukę — powiedziała Diane. — Bo dla Carla Goldoniego napój filozofów był także napojem durniów.

— Dzięki temu trochę oderwiesz się od Brazylii — zauważyła Sylvana.

— Nie całkiem. Brazyliia wciąż się za mną ciągnie, i to w najmniej oczekiwany sposób.

Nie umiem wyrazić wszystkich odcieni tonów i zmian rytmu wypowiedzianych słów. Była prawdziwą aktorką, a oczarowane koleżanki słuchały jej opowieści jak najpiękniejszej bajki: Była sobie raz siedemnastoletnia dziewczyna o imieniu Diane. Biała i niewinna, jak rodząca się Wenus. Jeszcze nie wyszła z morskiej piany, ale opuściła wzorowe liceum po maturze zdanej na same piątki. W sąsiedztwie mieszkał śliczny chłopak. Miał na imię Jean Paul, lecz ona, jej siostry i matka mówiły o nim „Brazylijczyk”, bo choć rodzice byli Francuzami, on urodził się w Sao Paulo. Kończył studia w Paryżu i mieszkał w niewielkim pokoju z osobnym wejściem, na ostatnim piętrze tego samego budynku. Każdego ranka przechodził pod oknami Diane, idąc na uniwersytet. Pewnego dnia zagadnął ładną sąsiadkę. I tak zaczęła się idylla przy pełnej aprobachie matki, która widziała w nim młodego człowieka mającego same zalety: przystojny, skromny, błyskotliwy, z doskonałej rodziny i szaleńczo zakochany w Diane. Jego jedyną wadą — co okazało się dla niego fatalne — było to, że za bardzo podobał się jej mamie,

która widziała w nim idealnego zięcia. A że w dziewczynie tkwiło ziarno młodzieńczego buntu, uznała, iż najlepiej będzie pokrzyżować plany matki, znaleźć sobie innego narzeczonego — takiego, który z pewnością mamie nie przypadnie do gustu. Kiedy Jean Paul się o tym dowiedział, wyprowadził się i zniknął z jej życia.

— Aż do wczoraj — zwierzyła się Diane. Jean Paul zostawił cztery wiadomości na sekretarce mojego agenta. Drugą nagrał natychmiast po pierwszej jako dalszy ciąg przerwane go zdania. Tak samo postąpił z informacją trzecią i czwartą. Wszystko po to, abym zapamiętała choć jeden z jego trzech numerów telefonu w Stuttgarcie, Paryżu i Sao Paulo. Cztery wiadomości po dwudziestu pięciu latach milczenia! Przypuszczam, że jest to jakaś bardzo pilna sprawa, ważniejsza niż zawodowa. Nie wiem dlaczego, ale myślę, że chodzi o jakiś problem zdrowotny. Dzwonię do Stuttgartu. Odzywa się delikatny i skruszony głos: „Pamiętasz mnie? To było w...” „Jean Paul, czy stało się coś złego?”. „Nie, nic. Po prostu bardzo cię chcę zobaczyć”.

21

Sylvana skrzyżowała nogi na barowym stołku i szerokim, okrągłym gestem zebrała gęste włosy na prawą stronę, pozwalając kilku lokom swobodnie opaść na lewe ramię i pierś. Zbliżyła wargi do brzegu filiżanki i melodyjnym głosem zwróciła się do swojej najlepszej przyjaciółki, która właśnie weszła i zajęła miejsce obok niej:

— Powiedz mi, Lily, tylko szczerze, czy ja wyglądam na dziwkę?

Zagadnięta odpowiedziała gromkim śmiechem.

— Trzy dni temu siedziałam, zupełnie tak jak dzisiaj, w hotelowym barze w Moskwie. Czekałam na samochód, który miał mnie zawieźć do teatru. I wtedy jakiś typ, siedzący obok, zwrócił się do mnie po rosyjsku. Byłam zdenerwowana jak przed każdym recitalem i zaniepokojona spóźnieniem kierowcy. Więc wściekła, odwróciłam się do typa plecami. A on wyjął banknot pięćsetdolarowy i ostentacyjnie położył na kontuarze. Kom-

pletnie mnie to zaskoczyło. „Nie jestem dziwką!” — mówię po francusku, następnie po angielsku. Nie rozumie, bo zna tylko rosyjski. I wiesz, co robi?! Kładzie przede mną kolejny banknot o tym samym nominale!!!

Lily nie mogła opanować wesołości. Do nich dołączyła Diane, która w tej chwili wkroczyła do kawiarni, i wszystkie trzy, śmiejąc się, poszły na antresolę do swojego stolika.

— To jeszcze nie koniec — kontynuowała Sylvana. — W drodze powrotnej do Paryża przesiadam się w Wiedniu. To moja druga wizyta w domu Salima. I tak jak poprzednia bardzo miła. Wita mnie czuły, troskliwy, uważający. *I have missed you* — mówi. Patrzą na niego z ukosa: „Tęskniłeś? Pomimo Kubanek?”. „Trudno znaleźć choćby jedną, powyżej czternastego roku życia, która nie byłaby *jinetera*” — odpowiada. „Czym?”. *A whore* — precyzuje. *What?* prostytutką. *Disgusting*. Według mnie trochę zbyt pochopny osąd. Długi pocałunek, taki sam jak w paryskim kinie, kończy naszą rozmowę.

— Dobrze pamiętam — roześmiała się Lily. — On ssał twoją górną wargę, a ty jego dolną.

— Powiedziałaś wam o tym? No cóż, właśnie zaczęliśmy odnajdywać się wzajemnie, kiedy zadzwonił telefon. Rozmawiał po arabsku, wtrącając od czasu do czasu angielskie słowa. Wychwytyuję *dangerous gambie*. O jakie „niebezpieczne gry” może chodzić? Rozmowa przedłuża się w nieskończoność. *I am sorry* — mówi, zasłaniając ręką słuchawkę. Korzystam z sytuacji i idę do łazienki, by zrobić sobie musującą kąpiel. Chcę rozpocząć nasz romans dokładnie tak samo, jak się wtedy skończył w łazience paryskiego hotelu. Wyciągam się w wannie; woda ostygła, piana zniknęła. A on wciąż tkwi przy telefonie. Wycieram się, naciągam rajstopy i wkładam biustonosz. Otwierają się drzwi. Salim najpierw ogarnia mnie płonącym wzrokiem, a następnie, rozgorączkowany, gwałtownie rozbiera. „Załóż buty” — mówi przytłumionym głosem. Wkładam pantofle i podwyższona o dwanaście centymetrów obcasa, przyparta do umywalki, czuję własną, uległą pupę, obracającą się dookoła jego „odkrywcę”, „zagłębiacza”, „szperacza”, „bicza” — jak opisują to arabskie księgi erotyczne; rysuję biodrami odwróconą ósemkę. *Nice! Sexy!* — szepce mi w i, Ruchy mojej miednicy

prowadzą go na szczyty, gdzie roz/dzone powietrze utrudnia mu oddech. Wstrząsa nim m tyczna burza. Porażony, opada na moje plecy. *I am death* — dusza z siebie, unicestwiony. Wcale nie jest taki martwy p^j prysznicem odżywa. W strugach ciepłej wody pozwalam zeh mnie namydlił, powoli i dokładnie. Palce eksperta nie omijają żadnego zakamarka. Tym razem ja, odurzona parą, przekra czam półprzeźroczysty opar i ciągnę go na zatracenie.

Sylvana wzięła potężny łyk *macchiato*, żeby znów powrócić na ziemię.

— Na czym skończyłam? Już wiem. Kiedy w końcu doszliśmy do siebie, postanowiliśmy zjeść obiad. *Are you going to wear those shoes!* — Salim jest zaniepokojony butami, które jeszcze niedawno o mało go nie zabiły. „Dlaczego nie? Bardzo dobrze mi się w nich chodzi” — odpowiadam i robię pokaz, spacerując po pokoju. Moja demonstracja jest przekonująca i bardzo seksowna; za bardzo seksowna. *Yienna is a wery conservative town* — uprzedza. „To nie Wiedeń jest konserwatywny, tylko Salim!” — śmieję się. Wystarczy, żebyśmy wpadli na jakiegoś tępego znajomego, tłumaczy, a już następnego dnia w całym ONZ—cie będą gadać: „Wiesz, Salim pokazuje się z...” „Z dziwką?”. Właśnie! Poprzedniego dnia moskwianie, teraz wiedeńscy. Moje szykowne pantofelki *made in Italy* są bardzo dziwnie oceniane na wschodzie Europy. Przesyłam mu najbardziej niewinny uśmiech. „Wystarczy podnieść oczy na wysokość mojej twarzy, żeby z niej wyczytać, iż nie jestem dziwką” — zapewniam. Ale jego zdaniem to nie na twarz się zwykle patrzy.

— Uważaj — ostrzegła Lily. — Zaczyna się od butów, a kończy na czadorze — długiej, zakrywającej wszystko, arabskiej szacie.

— Masz rację, skończyło się pod prześcieradłem. Usnęliśmy, leżąc na boku: jego płaski brzuch na moich biodrach, moja pupa, *bottom* na jego „biczu” z bajek *Tysiąca i jednej nocy*, splątane kolana, cztery ramiona wyciągnięte w tym samym kierunku i splecione palce.

— Szczęście ci służy — stwierdziła Diane.

— Moje marzenie to spędzić z nim trzy dni w łóżku: spać, śnić, śmiać się, rozmawiać, kochać się i nadal się nawzajem odkrywać. Niestety, po śniadaniu musieliśmy się rozstać. Ale na śniadanie przewidział to wszystko, na

co miałam ochotę podczas pierwszej wizyty: herbatę Earl Grey, miód, *musli* i jogurt. Wskoczył do biura, obiecując, że za godzinę wróci i odwiezie mnie na lotnisko. Czekając, otworzyłam leżącą na niskim stoliku książkę. Zakładką była karta pokładowa Hawana—Paryż. Data jego powrotu była dokładnie taka, jaką mi podała Lisa.

— Więc skłamał. No i?

— No i nic. W samochodzie panowała przyjemna atmosfera, jak w łagodny wiedeński poranek pod koniec stycznia. Wiemy, że wkrótce znów się zobaczymy. Moje *tournee* po Europie Wschodniej zaczyna się w przyszłym tygodniu. W pewnej chwili pyta mnie, czy spotkam się z narzeczonym w Paryżu. Mówi to lekkim tonem, ale pytanie jest poważne. Wysłałam mu niewinny uśmiech z zapewnieniem: „Od kiedy cię poznałam, Salimie, nie dotknął mnie żaden mężczyzna”.

— Kłamczucha! — powiedziała Lily.

— Wzrok Salima powiedział mi to samo. Śmiejąc się, zaprotestowałam: „Ja nigdy nie kłamię!”. „Z jednym wyjątkiem” — poprawia mnie natychmiast. Szybko odbijam piłeczkę: „Ty też”. *Me?* — uśmiecha się. — *Give me an example.* „Nie, najpierw ty podaj przykład!”.

I tu kompletnie mnie rozbija. Pyta, czy naprawdę myślałam, że uwierzy w mojego „rodzinnego” sylwestra. Moja riposta jest błyskawiczna. „A twoja data powrotu z Kuby?”. Uśmiecha się. Jesteśmy kwita. Wsiadamy z samochodu z czystym sumieniem, jak sprzed konfesjonału. Nie będzie już żadnego niedomówienia podczas kolejnego spotkania. *See you soon* — szepce. „Naprawdę wkrótce” — odpowiadam.

Sylvana dokończyła kawę.

— No dobrze. Wystarczy. Diane, spotkałaś swojego Brazy— lijczyka? Tego z dawnych czasów?

— Erotyczna pamięć mężczyzny jest zadziwiająca — odpowiedziała Diane. — Po dwudziestu pięciu latach mój wizerunek pozostał nietknięty. Ja tego nie rozumiem.

— Chcemy wszystko wiedzieć od samego początku! — domagała się Ilona, która właśnie dołączyła do pozostałych.

Diane potrafiła trzymać słuchaczy w napięciu. Zaczęła od opisu, jak się przygotowywała do spotkania. Mówiła o stroju, który najpierw skompletowała w wyobraźni, potem obejrzała na ramiączku, a następnie na sobie z dziesięć razy. O swojej sprzeczce z Borysem, wywołanej jej zdenerwowaniem. O czułym pogodzeniu się następnego ranka, aby nie pytał, dokąd wychodzi. O monsturalnej tremie niczym podczas egzaminu na wydziale aktorskim, zdany zresztą z doskonałą lokatą. Ale wtedy była taka młoda,...

Mieli się spotkać w barze—restauracji. Spóźniła się pięć minut. On — dziesięć. Siedząc na wysokim stołku, zauważyła sylwetkę dawnego „narczonego” poprzez szkło obrotowych drzwi: mężczyzna wysoki, wyprostowany, włosy zaczesane do tyłu, posiwiałe, ale wciąż bardzo gęste. Stał w pełnym świetle, a potem zniknął w obrotowych drzwiach i w ciemnościach. Rozejrzał się po sali i wyszedł! Konsternacja. Jean Paul jej nie poznał! Przeżyła najokropniejsze pięć minut w swoim życiu. Czyżby aż tak się zmieniła? Czy — nazywając rzeczy po imieniu — tak się zestarzała? Jej naturalny narcyzm otrzymał tęgi cios. Czy warto było tak ryzykować? Straszne odkrycie. Niestety, boleśnie oblała egzamin. A w dodatku on pozostał sobą. On zdał! Gratulacje! Trochę posiwiał, może odrobinę przytył, nie mogła tego zauważyć pod płaszczem. Ale musiała przyznać, że poznała go natychmiast, pomimo refleksów światła w obrotowych drzwiach. Stwierdziła też, że pozostał nadal pięknym mężczyzną, tak jak kiedyś był pięknym chłopcem.

— A przecież pięknie wyglądasz! Naprawdę jesteś tip—top — zauważyła Lily.

Diane też tak myślała. Tego wieczoru również. W panice wyjęła puderniczkę, by sprawdzić, czy nagle nie posiwiała, czy delikatne bruzdy wokół ust przypadkiem się nie pogłębiły; a może niezauważenie obwisł podbródek?! Małe lusterko w kształcie serca chyba nie kłamało: widok, który w nim ujrzała, upiękuszony szczególnie twarzowym światłem, nie mógł jej bardziej usatysfakcjonować. Poczulem nagle ogromną chęć pocieszenia tego niezwyklego kwiatuszka narcyza o imieniu Diane, rysując „D” na jej *macchiato*.

— Wyobraźcie sobie moją ulgę, gdy usłyszałam: „Ależ to ona!”. Chowałam puderniczkę. Jean Paul stoi przede mną. Z uśmiechem tłumaczy: „Kiedy wszedłem, powiedziałem sobie: Nie, to nie może być ona. Jeden szczegół się nie zgadza...” Nagle sobie przypominam. Na osiemnaste urodziny matka zafundowała mi nowy nos, bo kiedyś na szkolnej przerwie zabłąkana piłka zdefasonowała go kompletnie; miałam wtedy jedenaście lat. Pewna wstrętna smarkuła tak mnie urządziła. „Szkoda, bardzo lubiłem twój rasowy nosek” — żałuje mój były narzeczony, dobijając mnie jeszcze bardziej. Na szczęście wszystkie spojrzenia męskie i damskie — w tym wypadku to naprawdę bardzo ważne — zatrzymują się na mnie, gdy przechodzę przez salę do wybranego stolika. Odzyskuję pewność siebie. Jestem profesjonalistką — wyszukuję miejsce, gdzie światło kinkietów jest rozproszone. Jesteśmy razem: on, ja i nasza młodzięcza miłość. Mój idealnie prosty nos nie przeszkodzi w odnalezieniu dziewczyny, którą wówczas byłam.

Diane miała prawo do terapii po przeżytych wstrząsach. Najpierw wymienili uwagi o ostatnich dwudziestu pięciu latach życia. O swoich związkach małżeńskich. O jego dzieciach i jej poronieniach. O interesach i sukcesach po jednej stronie Atlantyku, a także o karierze artystycznej i niepewności — po drugiej. Powiedział, że widział wszystkie filmy z jej udziałem. „Może wyglądam topornie, ale mam duszę artysty” — wyznał. Odparła: „A ja odwrotnie. Mam artystyczny wygląd, ale w środku bywam toporna”. Rozmowa toczyła się wartko. Najwięcej czasu poświęcili Brazylii. Bo to temat, który fascynował ich oboje. Diane mówiła o swej miłości od pierwszego wejrzenia do kraju, o nauce portugalskiego przez telefon, o reportażach filmowych i scenariuszu, którego akcja rozgrywa się właśnie tam. Przyniosła mu jeden egzemplarz. I nagle zrozumiała, skąd się bierze jej fascynacja. To się zaczęło pewnego wieczoru w filmotece, gdzie Jean Paul odkrył dla niej *Czarnego Orfeusza*.

— W końcu wróciliśmy do osobistych tematów. Jean Paul więcej mi opowiedział o sobie przez ten jeden wieczór niż podczas kilku miesięcy naszej idylli. Dowiedziałam się, że bardzo go dotknęła moja zdrada. Długo cierpiał po rozstaniu. I nigdy o mnie nie zapomniał. Niesamowite!

Wszystko, co go we mnie uwiodło w tamtych czasach, w jego pamięci pozostało nietknięte.

— Diane, niezapomniana i niezatarta! — przyklasnęła Lily.

— Mężczyzna jest zdolny odtworzyć dokładnie, nie pomijając żadnego szczegółu, przebieg jakiegoś spotkania. I przeżywać go na nowo, nawet po wielu latach — zauważyła Ilona.

— W każdym razie nie ma lepszej kuracji upiększającej — podsumowała Diane — niż wiadomość, że mężczyzna o pięknej i tajemniczej urodzie, dumny i nieśmiały, z którym połączyłaś się tylko na małą chwilę i który nie traktował cię zbyt poważnie, a ty zostawiłaś go bez skrępowań — marzył o tobie przez całe życie! Mogę wyrzucić puderniczkę. Spojrzenie takiego mężczyzny nie może kłamać. Przy nim czuję się niezniszczalna! Nie muszę się ratować różem do policzków. Wargi i piersi pulsują pod jego spojrzeniem, oczy się rozświetlają, a ruchy nabierają gracji. Cudowne uczucie! Widzę, że i on jest wzruszony. Na ulicy bierze mnie pod ramię, chwyta moją dłoń i spleta nasze palce. Znów mam siedemnaście lat. „Umknęło nam coś bardzo ważnego” — mówi, żegnając się pod moim domem. Zostaję sama ze scenariuszem *Oczy jak węgle*, bo zapomniał go wziąć.

22

Już nie wiedziałem, która z nich bardziej mnie intryguje: Sylvana czy Diane? To tylko pogłębiało moje uczucie zażenowania. Czy pociągały mnie te kobiety, czy może ich historie? Trzeba przyznać, że miłość im służyła. Kochające i kochane, jaśniały wewnętrznym blaskiem. Żar, jaki wzbudzały w swoich kochankach, budził się także we mnie. Ciekawe, że im mniej mnie zauważały, tym bardziej stawały się mi bliższe. Mogłem ogrzać się w ich blasku, nie ryzykując, że się przy tym oparzę. Tak sobie przynajmniej tłumaczyłem, choć wcale nie byłem o tym do końca przekonany. A z piątku na piątek moja temperatura rosła.

Doszedłem do takiego stanu, że podniecał mnie widok ziarenka kawy. Matowobrazowe, owalne, wypukłe, zaokrąglone, z podłużną szczeliną,

ukrytymi zakamarkami, oszłamiającym zapachem — wcale nie miało niewinnego kształtu. Przypomniałem sobie, że kiedy byłem mały, zebrałem się na odwagę i zadarłem spódniczkę pewnej bezczelnej dziewczynce. I jakie było moje zdumienie, kiedy u nasady jej ud odkryłem nie diabła, jak twierdzili moi świętoszkowaci koledzy, ale dziesięciokrotnie powiększone ziarenko kawy! Ta „rzecz” nie wydała mi się wcale straszna, raczej całkiem apetyczna. Od tamtej pory widok kawy kojarzył mi się z tym źródłem radości i życia. Piękna płeć całkowicie zasługiwała na takie miano. Jej cztery piątkowe przedstawicielki, wcale o tym nie wiedząc, ofiarowywały mi swój owoc kawowego krzewu wraz z uczuciami i emocjami jako premią. Słyszeć, nie widząc, czuć, nie dotykając — to była moja cena płacona za radość, jaką dawała mi ich obecność na antresoli „Cappuccino”. Nawet jeśli to, co działo się w ich sercu, nie dawało powodów do radości.

Figlarna Lily nie miała dzisiejszego ranka brzoskwiowej cery. Po sprzeczce z mężem nie mogła zmrużyć oka przez całą noc. W restauracji na ich stoliku wylądowała nagle kostka cukru. Patrick podniósł ją i odrzucił do nadawcy. A raczej do „nadawczym”. Kobieta chyba dobrze знаła męża Lily. Między stolikami nawiązała się rozmowa, z całkowitym pominięciem żony, która zaraz po powrocie do domu zasypała Patricka gradem pytań o sąsiadkę rzucającą cukrem. Jego odpowiedzi w stylu: „To ciebie nie dotyczy”; „Nie wyrównuję z tobą żadnych rachunków”; „Mam prawo do swojej prywatności”; „Nie zamierzam odciąć się od przeszłości”; „Moje życie nie zaczęło się w dniu, kiedy cię poznałem” — doprowadziły ją do prawdziwej furii. Miała ochotę rozbić mu na głowienie tylko kostkę cukru, ale całą swoją wściekłość; razem z zastawą nieudanego obiadu.

— To już postanowione! Będę miała romanse — zaanonsowała Lily piątkowemu zgromadzeniu.

— Myślałam, że już je miałaś — zauważyła Sylvana.

Lily policzyła na palcach.

— Homoseksualista — Aldo, kolekcjoner — Johnstone, „fruwający” — Flavio, chory — Igor, miliarder — Jafar i nieznajomy — ten z kart Ilony — mąż przyjaciółki...

Zapadła głucha cisza. Za późno, żeby ugryźć się w język. Lily kończyła pośpiesznie:

— Przykro mi, ale suma tych ponętnych miłostek nie stanowi nawet jednej prawdziwej miłosnej przygody. To wszystko pozostaje w sferze wirtualnej.

Sylvana nie mogła nie zapytać.

— Mąż przyjaciółki? Jakiej przyjaciółki?

— Nie mąż. Narzeczony. A raczej były narzeczony.

— Mówisz o Laurencie?

— Tak, ale nie można mieć do niego pretensji. Nie był wtedy w normalnym stanie. To się zdarzyło w okresie waszego rozstania. Nie jestem nawet pewna, czy pamięta, że mnie podrywał. Jeśli o mnie chodzi, mam żelazną zasadę: mąż przyjaciółki jest nietykalny. Słowo! Prawdziwe jak to, że będę miała kochanków. Przysięgam i biorę was wszystkie na świadków. Pójdę jak Patrick „zaczepnąć świeżego powietrza”. I kiedy mówię „zaczepnąć”, dobrze wiem, o czym mówię. A on nic nie będzie mógł mi zarzucić. Na obronę użyję jego własnych sformułowań: „Každy na swoim terytorium”. I niech nie próbuje wkroczyć do mojej „prywatności” ze swoimi „podejrzeniami”, „oskarżeniami”, „policyjnym przesłuchaniem” i „uwagami moralisty”. Wprowadzę zakaz „śledzenia” mnie „oczami gliny”. W imię świętego, cholernego „respektu dla drugiej osoby”!

— Uspokój się, Lily! — napomniała Ilona. — Jeszcze nigdy nie widziałam cię w takim stanie.

— I ta jego słynna „wolność” — kontynuowała Lily coraz bardziej zalamującym się głosem. — Robi z niej wielką aferę, od kiedy go jej podobno pozbawiłam. Powiedziałam mu, że może ją sobie odebrać w każdej chwili. Bo ja już to zrobiłam!

— Ach tak? — zdziwiła się Sylvana. — Przestałam nadążać za tokiem twojego opowiadania.

— Bo ja sobie wymyśliłam faceta. I nie wczoraj. To było w czasie, gdy chciałam zasiać wątpliwość. Niby od niego przysyłałam sobie wspaniałe kwiaty, które kosztowały mnie fortunę. Zostawiałam tu i tam kieliszki i niedopałki przed powrotem Patricka do domu. W jego obecności odma-

wiałam przez telefon pójścia do restauracji na obiad. Kupowałam bransoletki, którymi dzwoniłam mu przed nosem. A w końcu wczoraj dałam imię mojemu panu X — Aleksander.

Huragan szalonego śmiechu wybuchnął na antresoli.

— To działało! Patrick zaczął zadawać mi pytania. Musiałam improwizować. Znalazłam X—owi zawód: adwokat. Wiem, że to niezbyt oryginalne. Stan cywilny: rozwiedziony, z wyłączną opieką nad dwunastoletnim synem, żeby brzmiało prawdziwiej. Miejsce zamieszkania: Marais, dwa kroki od nas. I oczywiście coś wspólnego: dziesięć lat wytrwałych, choć nieskutecznych zalotów.

Trzy przyjaciółki dosłownie skręcały się ze śmiechu.

— Musisz koniecznie nam go przedstawić, tego Aleksandra! — domagała się Sylvana. — Z pewnością ci go nie pode— rwiemy. Słowo! Mężczyzna przyjaciółki jest nietykalny!

— W dniu, kiedy ty przestaniesz być zazdrosna, uczucie to obudzi się w Patricku. Gwarantuję! — oznajmiła Ilona.

— Ten dzień będzie oznaczał, że już go nie kocham — westchnęła Lily i otrząsnęła się. — A może powiedziałaś mi jeszcze coś o moim przyszłym? O tym opatrnościowym facecie, którego mi za każdym razem przepowiadasz. Jak będzie wyglądał ten nieznajomy? Niech będzie... XXL, tak jak nazwa kodu: XXL.

Rudowłosa Ukrainka nigdy nie dawała się długo prosić, gdy chodziło o przepowiadanie. I tym razem zaraz rozłożyła karty. Nie miała żadnych wątpliwości co do przyszłości Lily: w jej życiu miało się coś ważnego wydarzyć. W wyciąganych kartach Ilona wciąż widziała wysokiego, szczupłego i ciemnowłosego mężczyznę, który zbliżał się z gibkością i żywiołowością kota. Ciepły, czuły, gwałtowny, miał ją odprężyć, otworzyć, rozwinąć, pogodzić z własną kobiecością i dodać jej skrzydeł...

— A gdyby to był Igor?

— Nie, to nie on. Ale niedługo będziesz miała od niego wiadomość — powiedziała Ilona, zbierając karty. — A także od innych „dobiegaczy”.

Lily, uspokojona nadzieją i kofeiną, poczuła się podniesiona na duchu. Można to było wyczuć w jej głosie, wyciszonym i mniej napiętym. A także

w sposobie słuchania — stała się otwarta i bardziej uważna. Lecznicze zalety seansu okazały się skuteczniejsze niż godzina psychoterapii; byłem o tym przekonany. Lily już spokojnie mogła słuchać opowieści o miłosnych perypetiach przyjaciółek.

Idylla Ilony i Gaetana posuwała się powolutku do przodu. Na pewno? Nie całkiem. Przedsiębiorca z Północy był na etapie uroczystych deklaracji, którymi bombardował Ilonę za pomocą faxu lub telefonu komórkowego w najmniej oczekiwanych momentach, na przykład gdy czekała z córkami na lotnisku przy taśmociągu na bagaże lub gdy pędziła schodami metra, by zdążyć na odjeżdżający właśnie pociąg. „Kocha mnie pani?” — to było najczęstsze pytanie, na które ze względu na niesprzyjające okoliczności nie była w stanie odpowiedzieć. Nie mógł zrozumieć tej sytuacji — on zawsze umiał znaleźć czas, aby powiedzieć, że uwielbia ją od zawsze. I że podczas wspólnej eskapady do Cabourga, kiedy wreszcie ośmielił się wziąć ją za rękę, poznał swoje największe uczucie. Najsilniejsze od dwudziestu lat! „Jak długo będzie mnie pani kochać?” — dręczył ją, nim zdążyła odpowiedzieć na pierwsze pytanie. „Jak długo będzie pan miły” — zapewniła. „Dlaczego ja?” — osaczał ją, coraz mniej pewny siebie. „A dlaczego nie pan?”. Mogła odpowiedzieć jeszcze gorzej: „Pan albo ktoś inny...”, bo jego natarczywość zasługiwała na taką odpowiedź. Ale Ilona wolała mu jej oszczędzić.

— Trzeba mu było odpowiedzieć: „dla pańskich pieniędzy!” — zasugerowała Lily. — To dziwne, jak człowiek na jego poziomie może zadawać pytania godne kucharki. Żaden szmatławiec nie zamieściłby tego w swojej „rubryce sercowej”!

Przez szacunek dla Gaetana i dobre serce Ilona postanowiła przełożyć na później swe wyznania.

— Czy ten twój prezes ci się nie podoba? — zapytała Sylvana.

— Ależ tak. Jednak myślę, że przede wszystkim podoba mi się jego stanowisko. Zrozumcie mnie dobrze: To mężczyzna energiczny, podejmujący ważne decyzje — i to mnie pociąga; przy tym świetny organizator i rzutki przedsiębiorca. Jedną ręką zarządza, drugą mnie obejmuje i jednocześnie toruje drogę przez tłum. Odpowiedzialny, potrafi wszystkim się zająć. Trzymając go za rękę, odnoszę wrażenie, że nic złego mi się nie

przytrafi. Że mogę na niego liczyć i znaleźć w nim wsparcie. To przeciwieństwo Armela. Czuję się przy nim bezpieczna i ufna. Ale gdyby oddzielić go od jego firmy — co wtedy zostanie? Zupełnie nie wiem i na razie nie chcę tego wiedzieć. Tymczasem sprawia mi przyjemność przebywanie w towarzystwie poważnego i eleganckiego mężczyzny, który ma dobry gust i władzę. Prawda, że czasem jest „przyciężki”, ale szlachetny. No i bardzo przejmuje się moimi sprawami.

— Wspólną słabostką nas, kobiet — zauważyła Diane — jest potrzeba ciągłej uwagi i nieustających zapewnień. Kiedy widzimy iskierkę zainteresowania w spojrzeniu mężczyzny, jesteśmy natychmiast gotowe go adorować. Nie dla niego samego, ale właśnie dla tego spojrzenia. Jakby tylko on mógł nas rozpalić lub zgasić. Jakbyśmy same nie potrafiły świecić wewnętrznym niezależnym blaskiem.

— Masz rację — zgodziła się Lily. — A gdy dostrzegamy coś niepokojącego w oczach mężczyzny, natychmiast rezygnujemy, wysiadamy jak z pociągu. I bezbronnie, za to z bagażem, i same stoimy na peronie...

— Na razie nie zadaję sobie zbyt wielu pytań — powiedziała Ilona. — Gaetan patrzy na mnie z taką czułością, że robi mi się ciepło na sercu. Otulam się tym jak watą. To wszystko, czego teraz potrzebuję. Kropka.

— A ja dostrzegam w spojrzeniu Salima raczej osobowość „zwycięzcy” niż „wojownika”; cudowność Maura, emanującą z jego postawy i gestów. Wyzwała to we mnie ogromne pokłady kobiecości. Ten człowiek czyni ze mnie stuprocentową kobietę: wzniosł mnie na wyżyny, na które nigdy przedtem się nie wspierałam, i jestem mu za to nieskończenie wdzięczna. Za każdym razem rozkoszuję się chwilą, kiedy tkwiąca we mnie buntowniczką składa broń i całkowicie mu się oddaje. „Podobasz mi się bezgranicznie” — wyznałam mu ostatnio w Wiedniu. *Ten reasons!* — zażądał. — *One?* Nie miałam najmniejszych problemów z wyliczeniem powodów swojego nim zauroczenia. Mogłabym dodać do tego jeszcze dziesięć: „po pierwsze — męskość; po drugie — inteligencja; po trzecie — autorytet; po czwarte — dojrzałość; po piąte — umiejętność koncentracji; po szóste — wrażliwość; siódme i ósme — poważny głos i gładka skóra. Dziewiątym powodem jest to, że czuję się tak...”

— Kobieeeeeco! — dokończyły przyjaciółki.

— Czy zauważyłyście, dziewczyny — wtrąciła Lily — jak to samo pytanie: „Dlaczego ja?” zadane przez przedsiębiorcę i *Ten reasons* Nubijczyka, może wywołać zupełnie różne reakcje? Niemal oburzenie u Ilony i zachwyty u Sylvany?

— To prawda. Z Salimem gram cudowne *andante femminile*.

— Dobrze ci to służy. Jesteś kwitnąca, promienna, prześliczna i pociągająca. Trzeba często ci o tym mówić. To prawda, że „będziesz tym, co zobaczysz u mężczyzny — Bogiem, jeśli to Bóg, pyłem, jeśli to pył...”

— Żeby już skończyć z dziesięcioma powodami — podjęła Sylvana — to on sam sformułował ostatni: *Ten — because you like to make love to me*. Ja także zażądałam, by w dziesięciu punktach podał, dlaczego mnie kocha. *One* — odpowiedział — ponieważ umiem stać na jednej nodze, nie tracąc równowagi; *two* — ponieważ uwielbiam szampana...” I tak dalej, zabawne powody, które wywoływały u mnie ataki śmiechu. Prawda, że mężczyźni niezbyt umieją wyznawać uczucia; to raczej domena kobiet i poetów, no ale jednak! Doszedł do ósmego: *Eight — because you are beautiful; nine — because you are a very nice person; ten — because I love to fuckyou!*

— Piękna, miła i namiętna. Brawo! No i co z tym *fuck*? Pieprzyliście się? — sprowokowała Lily.

— Lepiej niż kiedykolwiek. Podczas zmagania, tuż przed jego wystrzałem, powtórzył trzy razy: *I love it, I love it, I love it*, a potem było jakieś szybko wypowiedziane zdanie. Po angielsku? Arabsku? Nie umiem powiedzieć. Tuż przed zaśnięciem powiedziałam mu: *I love this man*, a on jak echo powtórzył: *I love this woman*.

Podczas gdy Sylvana kontynuowała opowieść, jej przyjaciółki udawały, że grają na skrzypcach *andante femminile*.

— Rano po przebudzeniu poprosiłam, by powtórzył to pośpieszne i niezrozumiałe zdanie. Powiedział, że już nie pamięta. Nalegałam, ale nie mogłam wyrwać z niego ani słowa. Po raz kolejny Salim opuścił kurtynę, równie gęstą jak *haboob*, żółty mur piasku, który pustynne burze w jego rodzinnym kraju wznoszą na wysokość tysiąca metrów.

23

Nie wiem, kto to spowodował, że tabliczka z napisem „Reserve” zniknęła ze stolika pięknych klientek, które tego piątku musiały usiąść po przeciwnej stronie antresoli, obok drzwi do toalety. Byłem tym zasmucony bardziej niż one. Z dala od mojego wzroku i słuchu umknęły mi na długi tydzień. Ta piątkowa godzina zajmowała mnie potem przez cały dzień — co mówię — przez siedem dni! A teraz, jakby mi zabrakło powietrza, poczułem, że osuwam się w czarną jamę, z której nie mogło mnie wydostać żadne *cappuccino*.

Przygotowując im kawę, wpadłem na pomysł zaznaczenia mojej obecności, skoro tamtej przyjemności byłem pozbawiony. Postanowiłem rysunkami zastąpić inicjały, którymi dotychczas ozdabiałem ich kawy: koniec z „S”, „D”, „L” czy „I”. Przygotuję im czarne *macchiati* przystrojone miniaturkami z orzecha i śmietany! Studia w akademii miały mi się w końcu przydać, choć w tak skromnym zakresie, na stanowisku paryskiego barmana. Pobudziłem wyobraźnię i włożyłem cały mój talent i sztukę w to śmieszne zadanie, które oznaczało nie tylko odzyskanie własnej tożsamości, topionej w hektolitrach parzonej kawy, i ich piątkowych opowiadań, wciągających mnie bez reszty. Miało to być także przejście do aktywności po tylu biernych miesiącach. Podnieciła mnie możliwość „zabrania głosu”, co prawda tylko na poziomie przedszkola; jednak nawet tak ubogi język znaków lepszy był od ogarniającego mnie uczucia wyobcowania. Trzonkiem łyżeczki narysowałem koronkowy liść dębu dla Sylvany, bo *sylva* to leśna królowa; serce przebite strzałą dla Diane, boginki polowania; dzwoneczek dla Ilony, wróżki przepowiadającej przyszłość, i bobasa z włosami jak moje uczesany na jeża dla Lily. Dlaczego? Sam tego nie wiedziałem. Jeszcze raz rzuciłem zadowolonym okiem na moje kompozycje i ustawiłem je na tacy razem ze szklankami z wodą i małymi neapolitańskimi czekoladkami. Wy tłumaczyłem dokładnie kelnerce, dla kogo jest przeznaczona każda porcja.

Podane przez Gracieuse cztery, artystycznie przygotowane *cappuccino* wywołały prawdziwy entuzjazm. Pełne zachwytów głosy moich muz dotarły aż do mnie za barem.

— Kto jest tym artystą?

— Chcemy poznać autora tych wspaniałych kaw!

— Prosimy na scenę piątkowego malarza!

— Mistrza *espresso*!

Tym razem nałożenie brązowego kaptura na nic by się nie zdało. Zostałem zdemaskowany. Nagle zrozumiałem, jak nieostrożnie postępowałem i jakie z tego wynikną konsekwencje. Oto miały zobaczyć głowę człowieka, który poił je czarnym napojem, sam upijając się ich historiami. Miały zobaczyć niedyskretne uszy słuchające ich opowieści. Stwierdzenie obecności takiego świadka położy kres ich zwierzeniom: koniec z erotyką piątkowych spotkań! Nasz romans trwał zaledwie sześć miesięcy. Przerwany w samym środku przez moją gadatliwość. Byłem kompletnie zbity z tropu, zwłaszcza że to ja sam, nędzny głupiec, dałem się zdemaskować. To ja napisałem słowo „koniec” i już nie miałem odwrotu. Brawo, Ottavio! Dostałeś sławy „piątkowego malarza”, jak dobrze powiedziały. Jednak najgorsze miało dopiero nastąpić.

— Wychodź z nory, krecie! — z wyjątkowym wdziękiem zachęciła mnie kelnerka. — Twoje klientki czekają. Masz szczęście. Są z gatunku ładnych.

Żeby tylko znów nie chlapnęła czegoś śmiesznego, chyba bym się udławił. Nie przepuściła jednak okazji.

— Piękne i przekształcone. Kiedy usłyszysz, jak rozmawiają, zobaczysz, jak bardzo można się przekształcić.

Pociągnęła mnie za bluzę i zmusiła do wejścia na stopnie antresoli. Miałem stanąć przed nimi po raz pierwszy. Zostałem przyjęty brawami.

— *Brawo, bravissimo!* Proszę wypić z nami *cappuccino* — zapraszały dobrodusznie.

— Bardzo paniom dziękuję — powiedziałem — ale to jest zabronione podczas pracy.

— Nie wydamy pana! Niech pan siądzie. Tylko na pięć minut! Jak pan się nazywa? Ottavio? Jakie ładne imię! Muzykalne. Pianistyczne. Jak oktawa. Niech pan wreszcie siada, Ottavio, to rozkaz!

Wróciłem na dół, by zrobić sobie *espresso*, w nadziei, że o mnie zapomną. Ale ponownie wezwany wróciłem do nich z filiżanką w ręku, skrępowany jak nigdy dotąd.

— Skąd pochodzi ten śpiewny akcent? Co pan robi w Neapolu? Mówiłam wam, że to artysta! Ma pan narzeczoną? Jak ma na imię? O la la! Z takim imieniem musi być równie piękna jak dzika! Myle się? Nie powinna zostawiać takiego ładnego młodzieńca w tym zgubnym mieście!

Bawiły się mną jak grzechotką. Człowiek — grzechotka! Oto pozycja, jaką zdobyłem, zdradzając się przeklętą dekoracją kawy. Lecz chociaż byłem onieśmielony, odczuwałem radość, że w końcu mogę je widzieć tak blisko, zobaczyć, jak piją moje „dzieło”. Zauważyłem, że żadna z nich nie słodziła kawy, oprócz Ilony, która musiała sobie powetować ograniczenia w Europie Wschodniej. I to, że Lily, rozpieszczone dziecko, zbierała czubkiem łyżeczki tylko puszystą śmietankę, zostawiając czarny płyn w filiżance. A Diane piła niczym wytrawny degustator wina: poruszała filiżanką jak kieliszkiem, a potem połykała małymi łykami. Sylvana podnosiła spodeczek w jednej, a filiżankę w drugiej ręce, gestem niezwykle eleganckim. Ilona piła szybko i łapczywie; stawiała filiżankę na spodeczku dopiero wtedy, gdy była pusta.

Jedna z nich obserwowała mnie wyjątkowo uważnie — Lily. Rozbierała mnie otwarcie swoim szarostalowym spojrzeniem. Rzeczniczka prasowa nie miała zimnych oczu. W innych okolicznościach to spojrzenie nawet by mi schlebiało. Jednak teraz jego natarczywość zwiększało moje zażenowanie. A osiągnęło szczyty, gdy w najbardziej naturalny sposób podała mi swoją wizytówkę.

— Niech pan do mnie zadzwoni do domu mody, Ottavio. Przedstawię pana Johnstone'owi, projektantowi męskich ubrań. Za kilka tygodni organizujemy *casting* przed pokazem kolekcji. Ma pan fantastyczne warunki. — Zlustrowała mnie profesjonalnie: — Wysoki i dumny, ciemny i chudy, umięśniony i gibki, prawdziwy kot, włosy najeża i tajemnicze spojrzenie.

Pomineła milczeniem odstające uszy i mrugnęła do mnie łobuzersko: — To doda trochę śmietanki do pańskiej kawy.

Wstałem, podziękowałem i zaproponowałem, żeby się prze— siadły do przed chwilą zwolnionego „ich” stolika. Będą tam mniej skrepowane niż przy drzwiach do toalety. Następnie poszedłem tam, skąd nigdy nie powinienem był wychodzić.

Zapomniały o mnie, kiedy zniknąłem im z oczu. Czy zignorują moją kryjówkę pod balustradą, czy będą udawać? Słyszając ich rozmowę, zrozumiałem, że znów stałem się niewidoczny. A więc wyszedłem cało z opresji.

— Zawsze oceniam siłę wstrząsu dopiero po fakcie — westchnęła Sylvia. — Jestem zbyt zaaferowana, by coś powiedzieć, śmiać się czy działać. Samolot do Paryża był dla mnie odprężeniem; przestrzeń powietrzna sprzyjała adaptacji. Zawsze, kiedy opuszczam Salima, czuję się jednocześnie spełniona i unicestwiona. Wyjeżdżam pozbawiona siebie samej i przepełniona jego obecnością. Pełna i pusta. Już nie wiem, kim jestem. Wybucham...

— Kto zbyt wybucha... — wtrąciła Lily.

— Trudno mi dojść do siebie i skoncentrować na sobie. Nawet tego nie pragnę. Zbyt ciężko uwalniam się od tego, co właśnie przeżyłam. Potrzebuję okresu niepewności, błędzenia, żeby przejść z jednego świata do drugiego. Inaczej jest to zbyt brutalne. Lubię jeszcze trochę pospacerować po obłokach moich marzeń, pozwolić umysłowi, by powędrował tam, gdzie chce, zupełnie wolny. Ze wzrokiem zagubionym w chmurach, spoglądającym z okna samolotu, pragnę przedłużyć ten stan odrętwienia, kiedy wspomnienia przychodzą czasem z zadziwiającą precyzją. Czekam, aż świadomość sama do mnie wróci. Powolutku. Porozrzucane kawałki wracają na miejsce.

Niespełna dwie godziny lotu wystarczą, żeby wyjść z chaosu emocji, z mgły uczuć. Żeby uporządkować myśli.

— I serce w piersiach? — spytała Ilona.

— Niemożliwe! Moje serce jest jedyną częścią, która nie chce wrócić na swoje miejsce w tych puzzlach. Biję dla niego. Nic na to nie poradzę.

— Masz jakieś wiadomości? — dopytywała się Diane.

— Żadnych od mojego powrotu. Jestem chora z tego powodu. Być może wyjechał z misją.

— Zadzwoń do niego — poradziła Lily.

— Nigdy!

— Ja mogę to zrobić — zaproponowała Ilona. — Tylko żeby sprawdzić, czy jest w Wiedniu. I zaraz odłożę słuchawkę.

— Będzie lepiej, jeśli ja zatelefonuję — ofiarowała się Diane. — Jestem aktorką. Zrobię tak, jakby mi przerwano rozmowę. Powiem „Halo, Colette!” bardzo krzykliwym głosem.

— Pomyłka telefoniczna? Nie. Zobaczy na ekranie sygnał z Paryża i domyśli się, że to mój pomysł.

— Poczekaj! Pozwól mi działać.

Ilona wyjęła telefon komórkowy i wyszukała numer Armela, swojego byłego kochanka, reportera o skłonnościach samobójczych. Widziała go niedawno na konferencji prasowej i wiedziała, że jest w Freetown, w Sierra Leone. Ze zdumiewającą pewnością siebie poprosiła, by oddał jej małą przysługę: zatelefonował do przyjaciela przyjaciółki w Wiedniu, poprosił pana o nazwisko Tartempion lub jakiegoś innego, przeprosił za pomyłkę i zaraz do niej oddzwonił. „Jak naprawdę się nazywa ten przyjaciel przyjaciółki?” — dopytywał się Armel. Ilona podała mu imię, nazwisko, zawód i narodowość. Dziesięć minut później Sylvana otrzymała upragnioną wiadomość. Pan mówiący z silnym wschodnim akcentem odpowiedział bardzo grzecznie: *Sorry. I don 't know M. Tartempion. You have the wrong number.* A więc Salim był w Wiedniu! Sylvana nie ukrywała uczucia zawodu, ale szybko wytłumaczyła powód milczenia kochanka: To był człowiek, który dla pracy poświęcił wszystko. Prestiżowe stanowisko, które zajmował, zawdzięczał twardej walce, tym bardziej że pochodził z kraju trzeciego świata. Musiał więc pokazać, że talentem i pracowitością dziesięciokrotnie przewyższa tych, którzy urodzili się gdzie indziej, pochodzą z innego środowiska.

— Podobnie jest z kobietami — potwierdziła Ilona. — Muszą być lepsze niż mężczyźni, żeby awansować w takim samym stopniu jak oni.

Igor powiedział Sylvanie, że Salim pokonał wszystkich konkurentów i był uważany za gwiazdę w swojej dziedzinie. Pracę traktował jak posłan-

nictwo — oddał jej ciało i duszę. Życie osobiste złożył na ołtarzu międzynarodowych instytucji. Podejmował się misji długich, trudnych i niebezpiecznych, a także pracy opiniotwórczej, w której musiał wykazać się stanowczością. W efekcie przychodziły niespodziewane tryumfy i zwycięskie wygrywanie ostatniej szansy. To był prawdziwy *fighter* — wojownik. W tej bitwie sfera uczuciowa pozostała daleko w tyle za zawodową. Obowiązki służbowe wypełniały mu całe życie. Podczas ostatniego weekendu Sylvana w Wiedniu zostawił ją samą i pojechał do biura na dwie godziny, by dokończyć jakiś bardzo pilny raport. Z dwóch godzin zrobiły się cztery. Sylvana miała czas umyć i wysuszyć włosy, przejrzeć bibliotekę i kolekcję płyt, przeprowadzić inspekcję w łazience i szafach. Żadnych środków do demakijażu, śladu rajstop. Nie znalazła najmniejszego dowodu bytności kobiety. Mieszkał tu bardzo samotny człowiek.

— On jest jak misjonarz i pustelnik w jednej osobie — uzupełniła Sylvana.

— Chyba, że bestia się budzi — zauważyła Lily.

Zdenerwowana jego przedłużającą się nieobecnością, Sylvana musiała się zbierać do powrotu. Zadzwoiła na lotnisko, żeby zapytać o najbliższy samolot do Paryża. I powiedziała mu o tym. Jego odpowiedź uświadomiła Sylvanie, że popełniła błąd. Wziął ją w ramiona i spytał, kiedy przestanie zachowywać się jak nastolatka. On, zbliżający się do czterdziestki — młodszy od niej o kilka lat — jeszcze nie miał prywatnego życia! Nie stworzył domowego ogniska, nie ożenił się, nie miał dziecka: międzynarodowy wagabunda.

— Nigdy nie mieszkał z kobietą dłużej niż dwa dni, jestem tego pewna — oznajmiła Sylvana.

24

— Mówię sobie często: no tak, Lily, masz piękne, wspaniałe życie, uroczego synka, kochających rodziców, fascynującą pracę i wzorowego

męża. Więc czego w końcu szukasz? Za kim czy za czym tak gonisz? Dlaczego ciągle i bez wytchnienia uciekasz od tego, co masz? Znajdziesz na to jakąś odpowiedź, Ilono?

Przyjaciółka milczała, więc Lily zrobiła ręką gest, jakby chciała przegonić swoje pytania.

— Bo ja nie umiem — tłumaczyła kapryśnica — nie mogę się zatrzymać. Zawsze muszę mieć dwóch lub trzech mężczyzn, żeby się z nimi zmierzyć, nawet jeśli to jest „nie skonsumowane”... Zdrowieję, lecząc się kimś innym. Jedno zło wypędzam drugim...

— Złem czy samcem? — zażartowała Ilona.

— Zresztą, nie traci na tym Patrick, przeciwnie — dodaje to pieprzu naszym figielkom. Inni mnie erotyzują, a on z tego korzysta. Oczywiście, prowadzę różne gierki. Kiedy mam koło siebie kilku facetów, w stosunku do Patricka zachowuję rezerwę, mówię niezbyt jasno, milczę, stosuję wykręty. A gdy nikogo nie ma, udaję, że wokół mnie aż się kłębi.

— A obecnie, na jakim jesteś etapie?

— Miałam telefon od Aida, homoseksualisty. Byłam lodowata, więc zakończył rozmowę, prawie tonąc we łzach, patetycznym stwierdzeniem: „Piłka jest na twoim polu”. Drugi telefonował Flavio — rzymianin. Z nim gruchałam bezwstydnie i tak dobrze, że teraz ja będę musiała do niego zadzwonić, mówiąc, że „piłka jest w jego polu”. No i wreszcie telefoniczne ultimatum od księcia. Prrince Jafarr zakończył uroczyście rozmowę...

— *The bali s in yourrr courrrt!* — wyręczyła ją Ilona. — Przepowiedziałam ci, że wszyscy się odezwą. I co zamierzasz robić z tymi piłkami?

— Żonglować! Dobrze się zabawię z tą całą ekipą graczy. Spokojna i szczerza miłość wszystkich nuży: mężczyzna lubi wybiegi, manewry i różne strategiczne manipulacje. Teraz ja mam piłkę. Jesteście gotowi?

— Jakie to zabawne! — orzekła przyjaciółka. — Ty lubisz prowadzić grę, a mnie ona zmęczyła. Mam tylko jedno marzenie: zostawić im przewagę. Narzucałam się już dość piłek, rozegrałam wiele meczów. Zmagania siłowe mnie nie interesują. Przysięgnij, że nikomu tego nie powtórzysz, Lily,

ale moim najskrytszym pragnieniem, fantazją jest zostać kobietą—przedmiotem!

— Opatulona w wełnę przez włókiennika — dodała Lily.

— Nie ma nic lepszego niż kilimy, uwierzcie mi — zapewniła Sylvana.

— Proszę, przyszła Nubijka! — wykrzyknęła Lily.

— Właśnie zakończyłam *tournee* po Europie Wschodniej.

— Z sukcesem i przez Wiedeń. Można to wyczytać z twojej twarzy — zauważyła Ilona.

— Jak z partytury? Tak mi zawsze mówiono.

— A przywiozłaś nam przynajmniej te kilimy? — zażartowała Lily.

— Mogłabym. Mieszkanie Salima jest nimi wyłożone. Przywiózł ich mnóstwo z misji w Azji centralnej; szczególny sentyment mam do tego, który leży przed kominkiem.

— Widzę pewną scenę... — spróbowała Lily.

— Niczego nie widzisz! Zaczynam zwijać kilim, żeby mu zaserwować wyrafinowany numer — salsę taką, jaką tańczymy tylko my, Latynosi: *ca-liente*, zmysłową i prowokującą, przynoszącą stuprocentowy efekt. Salim daje się porwać, widać, że ma kubańskie doświadczenie. Tak naprawdę salsa działa tylko na dwie osoby: na nas podziałała bardzo szybko. Tańczymy po raz pierwszy od urodzin Lisy u mnie w domu. Zmęczona, rozwijam kilim, kładę się na nim i rozkoszuję ciepłem ognia z kominka. On w tym czasie idzie odświeżyć się do łazienki. Wraca, owinięty wokół bioder czerwonym ręcznikiem frotte. Oczami pieszczę jego brązowy jedwab skóry, gdy nastawia compact z bolerem i wrzuca polano do kominka. Ten mężczyzna podoba mi się poza granice zrozumienia...

— Zdałyśmy sobie z tego sprawę!

— Siada na kanapie, kładzie ramiona na oparciu i wyciąga swoje długie nogi. Wpatruje się we mnie intensywnie. Turlam się w jego stronę, on odrzuca ręcznik i...

— Bierzesz jego polano w usta... — ośmieliła się Lily.

Sylvana zamilkła i ta chwila wydawała się wiecznością. Jej zwierzenia urwały się, jakby zbite z tropu przez niespodziewaną reakcję przyjaciółki. Musiała schować twarz w dłoniach, bo kiedy przerwała mil-

czenie, wydała z siebie długie, urywane westchnienie, jakby wirujące powietrze wpadło jej do płuc, a potem nagle się uwolniło.

— Wybaczcie mi — powiedziała, wycierając nos w chusteczkę, podaną przez Ilonę. — Nie wiem, co mi się stało. Już mi się zdarzyło wybuchnąć przy nim płaczem, tuż po orgazmie. Moje emocje są czasem tak gwałtowne! Na samo wspomnienie...

— Nie powinnam żartować — przeprosiła Lily.

— Tym bardziej że na Wschodzie seks jest uznawany za świętość — dopowiedziała Ilona. — Nie tak jak w naszych, ju— dajsko—chrześcijańskich cywilizacjach, gdzie kojarzy się z grzechem, wyrzutami sumienia i pokutą.

— A pomimo to jest coś, co każe mu istnieć poza jakimkolwiek układem — dodała Lily.

— Masz rację — potwierdziła Ilona. — Według psychologów tym czymś może być wspomnienie z okresu prenatalnego, z pobytu w wodach płodowych. Według biologów to bodziec życia związany z ewolucją jednostki, a zdaniem mistyków — odwieczne dążenie do utraconego rajy lub ziemi obiecanej...

— W każdym razie było to niesamowite *sex—party!* — Sylvana zdążyła już dojść do siebie. — Chcecie wersję *hard* czy może *soft*?

Przyjaciółki nie ośmieliły się dokonać wyboru, więc pianistka zdecydowała za nie.

— *Deeply, deeply*, „głębiej” — zachęca mnie Salim, podczas gdy jego... „polano” — jak to nazwałaś, Lily — prze w kierunku podłogi to, co najgłębsze i najbardziej miękkie w moich ustach.

Zdecydowała się zaszokować swoje zbyt wścibskie przyjaciółki? W każdym razie wyznanie odjęło im mowę, a mnie pozbawiło koordynacji ruchów. Nacisnąłem po raz drugi guzik ekspresu i nowy strumień kawy polał się na już pełne filiżanki. Musiałem wszystko powycierać.

— Nagle odwraca mnie — podjęła na nowo Sylvana. — Siedzi za mną na brzegu kanapy, a ja klęczę jak do muzułmańskiej modlitwy: policzek na kilimie. Czuję, jak „polano” rytmicznie uderza w drzwi do ziemskiego rajy,

drzwi już szeroko otwarte, a potem się zagłębia, *deeply, deeply*. Aż do mojej *womb*...

— Twojej co?

— Macicy — przetłumaczyła Ilona.

— Żeby wessać się w nią łapczywie. Potem wysunąć się i znów wybijać rytm na moim świętym wzgórk. *My God, your arse!* — wpada w ekstazę; nie musisz tłumaczyć, Ilono! I znów zdobywa następne drzwi, te węższe. Kurczę się. Dla mnie nie jest to obowiązkowa czynność w grze erotycznej. *Don't move!* — rozkazuje mi delikatnie. Nie ruszam się. On cierpliwie czeka. Powoli się rozluźniam, pełna ufności. Delikatnie wsuwa jasek między kilim a mój policzek, niedostrzegalnie zdobywając teren. W końcu całkowicie oddaję się jego pragnieniom: jest na zdobytym terenie. *Deeply, deeply*. Zwyciężył!

Sylvana wypita *cappuccino* w nabożnej ciszy. Żadna ze słuchaczek nie ośmieliła się skomentować jej bezwstydných zwierzeń, dodała więc:

— Później, wieczorem, spotkaliśmy się w kuchni. Włożył stary *T-shirt*, na biodrach miał zwinięty ręcznik, a na nogach grube skarpetki. I muszę wam powiedzieć, dziewczyny: nawet w tym dziwacznym stroju zachował godność. To wielka klasa. Coś, co mnie głęboko wzrusza...

— *Deeply*... — zaryzykowała Lily.

— Milczący i skoncentrowany, gotuje potrawę swego kraju na bazie fasoli, cebuli, czosnku, jogurtu, pomidorów, cytryny. Każde z nas ma swój udział: ja salsę *caliente*, on sos z kminku. Patrząc na niego i utwierdzam się w przekonaniu, że nie można mu się oprzeć. W tym zabawnym ubraniu i w oparach z rondli nadal pozostaje wielkim panem. A przy okazji: jego nubijskie danie to wyjątkowy przysmak.

— Musisz dać nam przepis! — zażądała Ilona.

— Po tej wspaniałej wyżerce chciałam być użyteczna. Wkładam gumowe rękawice i szybko wycieram kieliszki. Staje za mną, sprawdza kryształ pod światło i słyszę: *I notice that the glasses are not well rinsed.*

— Co? Powiedział ci coś takiego?!

— Zawylałam ze śmiechu. „Źle wytarte kieliszki?”. Chyba śnię! Niby żartem, niby serio mój Nubijczyk żałuje, że na Zachodzie już nie można

znaleźć *traditional womert!* Wręczam mu rękawiczki i ścierkę. I kiedy wysoki urzędnik pracuje przy zlewie, kobieta idzie poprawić sobie makijaż. Wkładając kosmetyczkę do walizki, uświadamiam sobie, że wszystko, co Salim robi — czy w biurze, czy przy zmywaniu — robi to doskonale, „dogłębnie”.

— *Deeply* — podkreśliła Lily.

— Zupełnie nowy rodzaj intymności, którą dzielę z tym samotnikiem, człowiekiem pustyni, nienawidzącym kobiet maniakiem; swoją precyzją uwodzi mnie w równym stopniu jak grą erotyczną, która zresztą znów się zaczęła zaraz po obiedzie. Według tego samego scenariusza co przedtem.

— *Bis repetita placenti* — zauważyła Ilona.

— *Where is my toilet kit?* pyta mnie po skończonym seansie. Musiałam pomylić jego ręcznik z moim. Rozwijam, żeby sprawdzić. I co widzę? Pośród innych męskich przyborów toaletowych znajduję nie napoczęte pudełko prezerwatyw. Zamykam je bez słowa i oddaję mu z przeprosinami.

— Jeśli dziewicze pudełko — to znaczy, że ich nie używał — skomentowała Lily.

— Lepiej dla niego, a także dla ciebie, że podróżuje po tych wszystkich ryzykownych krajach z czymś takim — skomentowała Ilona.

— Nie martwcie się o mnie — powiedziała miss uśmiechu, pewna siebie. — Ja wiem, że nie ma innych kobiet w jego życiu.

25

Lutowa sesja egzaminacyjna w akademii odbyła się beze mnie. Pozostawały egzaminy czerwcowe; mogłem więc jeszcze nadrobić opóźnienie. W przeciwnym razie straciłbym cały rok. Jednak ukończenie studiów, nawet w późniejszym terminie, nie było już dla mnie najważniejsze. Tak jak poświęcenie Carmeli po wymaganym okresie narzeczeństwa. Musiałem przeżyć do końca moje paryskie doświadczenia. Nie dokończyłem bowiem nauki w dziedzinie, którą pilnie studiowałem od sześciu miesięcy w każdy piątek o dziewiątej rano. Moja edukacja, prymitywna, lecz regularna, daleka była od

zakończenia. Podczas tych „studiów” naszkicowałem sobie pewien plan. Wychowany pośród jutowych worków, napełnionych świeżo prażoną kawą, jako dziecko, ukryty pod stolikami, przy których goście degustowali ulubione gatunki, budowałem zamki z ziaren. Pałac, który teraz wznosiłem w mojej kofeinowej głowie, przybierał kształt... kawiarni, mojej kawiarni. W mieście, które mogło być Neapolem albo Paryżem — dlaczego nie? Już zacząłem się tu przyzwyczajać. Mogłaby to być również inna metropolia, gdzie czułbym się jak u siebie. Nazwa mojego lokalu nie byłaby związana — jak to często bywa — z jakimś najbliższym miejscem: na przykład „Kawiarnia Dworcowa”, „Pocztowa”, „Przy Muzeum”, „Teatralna”, „Plażowa” czy „Przy Molo”... Odnosiłaby się do dawnych czasów. Mówiłaby o pochodzeniu kawy. O Etiopczykach, którzy wymyślili i ofiarowali nam cudowny nektar: *Boonna*. Więc nazwałbym ją „Boonna”, albo „Arabia Felix”. Mityczna „Moka Harrar” z wysokich płaskowyżów Abisynii — mój wielki faworyt o smaku korzennym lub lekko czekoladowym — też była brana pod uwagę. Na wystawie otwarte worki oferowałyby dwadzieścia odmian najwyższej jakości. W głębi mapa ziemskich półkul ukazywałaby za pomocą ziaren, jak kawa oplata swym aromatycznym pasem cały nasz glob. Na każdym stoliku znajdowałaby się karta z propozycjami najprzeróżniejszych gatunków, a każdy z nich, opatrzony odpowiednim przymiotnikiem: „animal”, „jodowana”, „metaliczna”, „gumowata”, „leśna”, „owocowa”, „palona”, a także: „okrągła”, „szczera”, „zwięzła”, „delikatna”, „mocna” czy „typowa”... Amatorzy boskiego napoju mogliby w ten sposób odróżniać poszczególne ziarna i nauczyć się subtelnego słownictwa, bawiąc się różnymi kombinacjami gatunków, w zależności od humoru, pory dnia i roku. Aby ułatwić im wybór, proponowałbym wiosną kawę owocową dodającą animuszu; latem — pełnoziarnistą i kwiatową; jesienią — nostalgicznie leśną; a zimą — z dodatkiem energetycznego kakao. Budowałem mój projekt ziarenko po ziarenku, przygotowując ogromne ilości *cappuccino*, gdy nagle zostałem wyrwany z marzeń brutalną nowiną, którą Ilona przekazała Lily.

— Masz, przeczytaj! — poleciła smutnym tonem, podając jej ostatnią stronę porannej gazety.

— „Odszedł Igor Barbec. Słowacki dyrygent złamał swoją batutę...” Co takiego?! Igor nie żyje?! O, nieeee... — wydusiła Lily, opadając na poręcz fotela.

Nad stolikiem antresoli zapanowała martwa cisza. Przerwała ją Ilona:

— Właśnie to odkryłam pięć minut temu, czekając na ciebie.

Lily zaczęła czytać artykuł łamiącym się głosem:

— „Urodzony w Bratysławie dyrektor orkiestry zgasł we czwartek w Paryżu w wieku czterdziestu siedmiu lat, powalony niespodziewaną chorobą. Wielki znawca Dworzaka, zakończył właśnie nagranie wszystkich utworów czeskiego kompozytora...” Nie, Ilono, nie mogę w to uwierzyć!

— A czy ci nie powiedziałam, że wkrótce dostaniesz od niego wiadomość?

— Właśnie otrzymałam jego ostatni compact, o proroczym tytule *Requiem*. Dedykacja na nim wryła mi się w pamięć: „W każdym moim kolejnym istnieniu będzie pani skazana, Lily, na przeżycie mego następnego *Requiem*. A jednak, jak wielkie miałem szczęście, mogąc panią poznać w okresie mojej depresji. Wdzięczny Igor”. Dołączył do płyty wytworne słowa. Napisał, że pochlebia mu moje zainteresowanie, a wysyłane przeze mnie życzenia „dodają mu odwagi”. Przepraszał, że nie mógł na nie wcześniej odpowiedzieć z powodu trzech kolejnych operacji. „Pozwolę sobie wkrótce do pani zadzwonić, gdyż od wczoraj znów mogę mówić” — zapewniał i zakończył „serdecznym pocałunkiem”. Natychmiast zatelefonowałam do szpitala pomimo zakazu jego córki Lisy. Kiedy to było? Nie dawniej niż trzy, cztery dni temu. Chyba we środę. Wszeptał, że jest wzruszony okazywaniem zainteresowania człowiekowi pozbawionemu głosu... A potem nastąpiło zwierzenie, które mnie zbulwersowało: „Wczoraj płakałem jak mała dziewczynka z bólu i rozpacz. Ale dzisiaj, kiedy panią słyszę, czuję, jak wstępuje we mnie życie. Wygram, Lily, obiecuję to pani. Jestem bardzo silny...” „Liczę na pana, Igorze — starałam się mówić wesołym tonem. — Proszę się nie wahać i zadzwonić. Bardzo chciałabym panu pomóc”.

— Wyglądacie, jakbyście obie wróciły z pogrzebu — zdziwiła się Sylwana, siadając.

Nie mogła wybrać lepszego zwrotu. Ją także powaliła wiadomość o odejściu swojego wielkiego przyjaciela, którego nie widziała od grudnia.

— Odszedł po półtora miesiąca walki z chorobą! — ubolewała Sylvana. — Taki silny, twardy i niepokonany! Nie powinnam była słuchać Lisy. Obiecałam sobie, że go odwiedzę, gdy wrócę z *tournee* po Europie Wschodniej. Nie czekał na mnie.

— Rozmawiałam z nim w tym tygodniu przez telefon — powiedziała Lily. — Nie chciał odejść, mogę cię zapewnić.

— Pewnie mi nie uwierzycie — wyznała Ilona. — Ale kiedy zobaczyłam go w kartach leżącego, otoczonego ludźmi w bieli, wiedziałam już, że nie przeżyje; miałam stuprocentową pewność. Wyznaję jednak zasadę, by nigdy nie mówić o śmierci.

— Kiedy umarł? — spytała Lily, szukając daty w nekrologu. — Wyobraźcie sobie, że wczoraj byłam sama w mieszkaniu, bo posprzeczałam się z Patrickiem, który poszedł na noc do swojego biura. Gdy położyłam syna do łóżka, postanowiłam wreszcie wysłuchać *Requiem*. Od paru dni płyta leżała na odtwarzaczu. Jakbym bała się tej godziny prawdy. Zgasiałam wszystkie światła, wyciągnęłam się na kanapie, przykryłam pledem. Tak spędziłam długą chwilę porozumienia z Igorem, który właśnie oddawał swą duszę. Towarzyszyłam mu, nie wiedząc o tym, śpiewając cichutko psalmy pod jego batutą.

— On miał wszystko — wyszeptała Sylvana — urodę, inteligencję, talent i wdzięk.

— I kobiety, których pragnął. Pewnie pozostawił orszak zapłakanych wdów — zauważyła Ilona.

— Nie szkodzi — wtrąciła skromnie Lily. — Będę jedną z wielu.

— Powiedział dokładnie to samo, pamiętasz, Lily, kiedy drażniłaś go opowiadaniem o twoich adoratorach — przypomniała Sylvana.

— Będzie go nam bardzo brakowało — westchnęła Lily.

Zadumała się nad szyderstwem losu. Przychodząc tutaj, myślała jeszcze o małym zdarzeniu, które jej się przytrafiło dzisiejszego ranka. Obudził ją telefon asystentki, Sylvie — trudno o gorszy początek dnia. „Bardzo jesteś zmęczona, Lily? Masz szczęście, że możesz spać, podczas gdy twój mąż tyra

jak wół". Ta dziwka nie odmówiła sobie przyjemności opowiedzenia, że kiedy Patrick wrócił po kłótni do biura, zastał w nim młodą stażystkę — największą przyjaciółkę Sylvie, prawie siostrę — która jeszcze pracowała przy desce kreślarskiej. Pan architekt przez całą noc trzymał jej ołówek — razem z ręką, oczywiście — tłumacząc wszystkie założenia projektu. „Nic o tym nie wiedziałaś? Ojej, to strzeliłam gafę!" — zakończyła obłudnie. Lily czuła, jak ogarniają furia. Jednak udało jej się powiedzieć opanowanym głosem: „Moje biedactwo! Jak bardzo żalosne musi być twoje życie, skoro tak się interesujesz losem innych. Nawet tobą nie gardzę; lituję się nad tobą". Dziś wieczorem wyrówna wszystkie rachunki z Patrickiem. Będzie musiał wysłuchać, niczego mu nie oszczędzi. Rzuci mu prosto w twarz: „Już z nią skończyłeś? Ach, to ona się na ciebie rzuciła? Co za sytuacja! Możesz być dumny — taki sukces! Zdaje się, że to wykapana Sylvie: poziom slumsów".

26

Nigdy nie mogłem przewidzieć, czy tego dnia będę wysłuchiwał historii *hard* lub *soft*, czy będę świadkiem szalonego śmiechu, gorących łez, euforii lub rozpacz; uduchowienia czy cielesności. Każdego piątku czekała mnie jakaś niespodzianka.

— Dziś rano — zaczęła Lily — trenowałam z ciężarkami w łazience: dwa i pół kilo w każdej ręce — raz dwa, raz dwa, gdy z daleka usłyszałam, że Patrick odsłuchuje wiadomości na swojej sekretarce. Dochodzi do mnie damski głos, mówię wam, zupełnie bezwstydnym. Zbliżam się z niewinną miną, ciągle ćwicząc, raz dwa, raz dwa. Głos, lekko przytłumiony i wyjątkowo namiętny gada i gada, jakby nigdy nie miał skończyć. Nie odróżniam słów, ale w tonie wyczuwam pewną zażyłość. To silniejsze ode mnie, nie mogę się powstrzymać, by go nie zapytać, kiedy wyszedł z gabinetu: „Co to było?". „Nie co, tylko kto" — poprawia mnie z uśmiechem. Zaczynam się denerwować. „Nieważne. O co lub o kogo chodzi?". „Tego pytania nie powinnaś mi zadawać" — odpowiada, całkiem z siebie zadowolony. A więc postanowił się wykpić. Nalegam, coraz bardziej obrażona jego ironiczną i

nieczułą odmową: „To moja osobista sprawa. Ciebie nie dotyczy”. Cham! Czuję, że zaraz ogarnie mnie szaleństwo; mogłabym go udusić. Ze wszystkich sił ciskam ciężarki przed siebie.

— Czasami rzucałam w Laurenta metronomem — zwierzyła się Sylvana. — Nie powiem wam, ile ich rozbiłam ani ile dziur porobiłam w obrazach.

— A ja pewnego razu złapałam kryształowy wazon — przyznała się Ilona. — Kiedy zobaczyłam, że to znana i droga marka, ostrożnie postawiłam go z powrotem. Wybuchnęliśmy z Armelem szalonym śmiechem.

— Ciężarki nie poleciały zbyt daleko — kontynuowała Lily. — Jednak uderzenie stali o parkiet robi wrażenie. Gdy toczyły się w kierunku Patricka, wyszłam z pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Będzie musiał obejść się beze mnie przy śniadaniu. Zresztą chyba wcale mu to nie przeszkodziło. Nie spieszy się, słucha radiowych wiadomości, a przed wyjściem do pracy przychodzi i całuje mnie jak gdyby nigdy nic. Odpycham go gwałtownie. Wybucho śmiechem: „Hej, miotaczko ciężarków, zawsze będziesz mnie rozśmieszać!”. Odwracam głowę. „Oj, Lily! — mówi. — Nie poznałaś swojego głosu? To twoja wczorajsza wiadomość; zawiadamiałaś mnie, że wrócisz późno do domu!”.

Głośny wybuch śmiechu rozległ się na antresoli „Cappuccino”...

— Nie masz powodu do dumy — skomentowała Ilona. — Jak z tego wybrnęłaś?

— Bez mrugnięcia okiem zarzuciłam mu: „Więc dopiero dzisiaj słuchasz mojej wiadomości?”.

Słowa te znów wywołały szaloną wesołość. To był szczery śmiech; spontaniczny, radosny i zaraźliwy. Kobięca mała społeczność regenerowała się śmiechem. Ich opowiadania mogły rozgrywać się na różnych płaszczyznach: od dramatu psychologicznego do farsy, od komedii obyczajowej do zwykłego paplania — ale ich emocje zawsze znajdowały ujście we wspólnej wesołości. To było spoiwo, cement, który łączył cztery przyjaciółki o tak różnych charakterach. Każda z nich przynosiła cotygodniową porcję smutku i radości, wahań i pewności, strachu i tryumfu, entuzjazmu i buntu, obaw i nadziei — i te emocje najczęściej znikwały w atakach niepohamowanego śmiechu.

Czyżby ich spotkania miały jakąś odżywczą alchemiczną siłę? A może działał czar miejsca? Może kawa? A może wszystko razem? Byłem przekonany, że kawa była tym naczyniem, w którym gotowały się umysły, bez względu na to, jakie składniki dodawały do niej cztery kobiety na antresoli. Kofeina miała moc ożywiania umysłu, podnosiła poziom adrenaliny i dopaminy, rozbudzała intelekt i chęć przebywania ze sobą, a także poczucie humoru nawet u ludzi najbardziej zamkniętych we własnej skorupie. Moja przyszła kawiarnia „Boonna” odda należną cześć cudownym właściwościom magicznego eliksiru. Będę proponował klientom, by korzystali z biblioteki, w której znajdą się wszystkie dzieła poświęcone kawie. Zainteresowany amator mógłby, delektując się najlepszymi gatunkami, napawać się jednocześnie smakiem słów, tak pięknie opisujących boski trunek. W kawiarnianej bibliotece znalazłyby się takie książki, jak: *Afrykańska farma* Karen Blixen, *Germinal* Emila Zoli, *Droga przez Indie* Paula Moranda, *Traktat o współczesnych używkach* Honoriusza Balzaka, *Podróż na Wschód* Gerarda de Nerval, *Sklepik z kawą* Carla Goldoniego i *Paryż jest świętem* Ernesta Hemingwaya... — żeby wymienić tylko wielkich klasyków. Byłyby tam również pozycje bardziej współczesne — moja lista wciąż się wydłużała; uzupełniałem ją w każdy samotny wieczór. Marzyłem także o półce, na której ustawiłbym dokumentację dotyczącą legend, historii, kultury, przedmiotów, przepisów, innymi słowy: będącą kompendium wiedzy o kawie.

Tego magicznego napoju bardzo potrzebowała Diane, która właśnie zjawiała się po długiej nieobecności. Spotkanie z flirtem swej młodości powinno wstrząsnąć jej codziennym życiem, tak jak filiżanka mocnej kawy. A tymczasem Diane pograżyła się w melancholii. Nękana ciągłymi zmianami nastrojów, które przyływały i odpływały niczym fale, musiała często kłaść się na kanapie i czekać, aż wszystko wróci do normy. Potrafiła tak leżeć całymi dniami. Rany otwierały się nagle i wspomnienia z młodości uderzały w nią w najmniej oczekiwanych momentach. Przeżywała je z wyjątkowym realizmem, jasnością, intensywnością i zwielokrotnioną wrażliwością.

— Nigdy nie zajmowałam się psychoanalizą — powiedziała. — Ale wyobrażam sobie, że przeżywa się podobne chwile, gdy nagle dopada nas przeszłość z niespotykaną siłą.

Diane znów widziała młodego chłopaka przechodzącego pod jej oknami, wyprostowanego, dumnego, z teczką pod pachą, udającego się na uczelnię. Przypomniała sobie tę niedzielę, kiedy rozmawiali ze sobą po raz pierwszy na ławce w parku, niedaleko domu. I podniecenie matki, która dopatrywała się w tym spotkaniu czegoś znaczącego. Wspominała prywatkę, którą urządził w mieszkaniu swojej ciotki i wtedy wyróżnił ją spośród najpiękniejszych dziewcząt, a także sobotnie popołudnia spędzane w jego pokoju pod dachem, gdzie, wyciągnięci na łóżku, obejmowali się, tulili do siebie i całowali. Odżył w jej pamięci bal w Instytucie Nauk Politycznych. Wtedy Jean Paul przedstawił ją swoim profesorom i wykładowcom, a ona w kupionej w Londynie półprzezroczystej sukience w stylu lat trzydziestych zrobiła furorę. Zapamiętała wieczór w filmotece, kiedy zobaczyła nakręcony piętnaście lat wcześniej film; to był *Czarny Orfeusz*, który wywarł na niej niezapomniane wrażenie: sprawił, że mocno zabiło jej serce dla tego niezwykłego kraju, fascynującego i podniecającego zarazem. Właśnie tam dorastał jej brazylijski chłopak. Przyszła jej na myśl matka, której zachowanie wydało jej się dziwne. Zwykle stateczna i przestrzegająca konwenansów, pewnego dnia odłożyła na bok swe zasady i oznajmiła: „Ten młody człowiek budzi we mnie takie zaufanie, że mogłabym nawet wysłać cię z nim na wakacje”.

— Opowiedziałam mu ten epizod, kiedy się spotkaliśmy. Wcale nie uznał tego za pochlebną opinię. Zresztą wtedy ja także nie. Jak mogłam się zakochać w chłopaku tak niewinnym w oczach mojej matki?

W tamtym okresie Diane uważała matczyne przyzwolenie za niedopuszczalną presję i skorzystała z pierwszej okazji, by jej się przeciwstawić. Tego drugiego chłopaka poznała na nartach. Po powrocie do Paryża nie wymyśliła niczego lepszego od ostentacyjnego flirtu. Przesiadywała z nowym „narzeczonym” w samochodzie zaparkowanym pod oknami Jean Paula. Nie uszło to uwagi ciotki, wyprowadzającej psa na spacer. Następnego ranka Brazylijczyk minął ją bez słowa i zniknął z jej życia.

Wspomnienia te tak nią poruszyły, że zwierzyła się matce: „Wtedy nie byłaś w nim zakochana. Imponowało ci, że się do ciebie zalecał” — przypomniała starsza pani. I oto po dwudziestu pięciu latach powróciła do brazylijskiego epizodu i do miłości, z którą tak lekko zerwała w wieku siedemnastu lat. Dlaczego dzisiaj czuła wzburzenie?

— A gdybym się wtedy pomyliła? Gdyby tamta niedoświadczona głup-taska, nie zdając sobie z tego sprawy, przeszła obok mężczyzny swego życia?

— Zaraz zobaczymy, co on o tym sądzi — zaproponowała Ilona.

Wróżka postanowiła sprawdzić w kartach.

— No dobrze. Wtedy uruchomił wszystkie hamulce, a teraz stawia sobie nowe zapory: twój człowiek z Sao Paulo boi się, że znowu zaleje go przypływ, który sam wywołał.

— Za późno — zaprotestowała Diane. — Zło już się stało; wyrócił do góry nogami cały mój porządek.

— Swój także, zapewniam cię. Ale wyczuwam w tym człowieku coś surowego, poważnego. To ciekawe. Twój piękny Brazylijczyk przypomina mi purytańską Angielkę. Masz stałe miejsce w jego myślach, ale się broni przed przeżyciem czegoś, co mogłoby sprowadzić go z wyznaczonej drogi.

— Ale to on mnie odszukał. Ja go o nic nie prosiłam. Z Borysem czuję się spełniona. Zapomniałam o jego istnieniu, dopóki znów się nie pojawił.

Tak oto wyobraźnia działała na nią jak afrodyzjak, karmiąc marzenia i sny. Na szczęście ruszyły próby *Sklepiku z kawą*— Goldoni miał ją odciągnąć od Jean Paula, a Wenecja uchronić przed Brazylią. Tego byłem pewien.

27

Jakimś cudem cotygodniowy, niewyraźny szmer kawiarnianych rozmów zniknął, gdy tylko docierały do mnie głosy przyjaciółek. Mój selektywny słuch natychmiast wychwytywał ich melodyjność, eliminując wszystko, co mogłoby je zakłócić.

— Czy poznałaś kiedyś prawdziwą pełnię? — spytała Ilona, która właśnie rozłożyła karty. — Cierpliwości, Lily! Coś bardzo pięknego zbliża się do twojego życia uczuciowego. Szalona siła fizyczna. Opanuje wszystkie twoje wnętrzości. Prawdziwe PFP.

— Co takiego?

— Pełnia Fizycznej Przyjemności — wyjaśniła ze słowiańskim akcentem ruda pytia. — I to nie z byle kim: z mężczyzną, z którego będziesz dumna — ciepłym, jasnym i inteligentnym. Będzie promieniem słońca w twoim życiu. Osoba optymistyczna i zrównoważona. Będzie umiał spełnić twoje oczekiwania. Z nim nie będziesz się nudzić! Dobrze się poczujesz, rozkwitniesz i w końcu się uspokoisz.

Podczas gdy Lily napawała się słoneczną wizją swojego przyszłego XXL, Sylvana zaczęła się niecierpliwić.

— Teraz moja kolej!

Co za problem miała ta młoda kobieta, zazwyczaj przeciwna wszelkiemu wróżbiarstwu? Przyglądając się kartom tarota, opowiedziała o swoim krótkim pobycie w Istambule, gdzie dała kilka koncertów. Przy wejściu na Wielki Bazar kupiła sobie kolczyki żony sułtana — założyła je dzisiaj rano — spotkała brązowego niedźwiedzia prowadzonego na smyczy przez właściciela, spacerującego wśród kompletnie obojętnego tłumu. Nikt się nie cisnął, nikt się nawet nie obejrzał. Można by powiedzieć, że niedźwiedź to domowe zwierzę. Nieco dalej zamiatacz rzucił się na jej walkmana. Ledwo się wymknęła i uniknęła katastrofy. Potem spotkała grupę mężczyzn ubranych w garnitury i krawaty, gestykulujących i rozmawiających przez telefony komórkowe. Byli to przemysłowcy, co zrozumiała później. Nie przerywając słuchania wiadomości giełdowych, zagadnęli ją po turecku, biorąc za jedną z nich. A gdy nie odpowiedziała, wzięli ją za Kurdyjkę.

— Podobnie było w Maroku. Mówią do mnie po arabsku, a kiedy widzą, że „gazela” nie rozumie, uważają, że jestem Izraelitką. Tak samo w Grecji: najpierw jestem brana za Gre— czynkę, a potem, z powodu mojego milczenia, za Turczynkę. Jestem Kastylijkąna Sycylii i Włoszką w Sewilli. Reprezentuję typ śródziemnomorski, nikomu nie przychodzi do głowy, że urodziłam się w Buenos Aires.

— Przejdźmy do faktów — ponagliła ją Lily, znużona tą wycieczką po basenie Morza Śródziemnego. — Jak się układają sprawy z twoim Salimem?

Znad brzegów Bosforu Sylvana wysłała mu kilka słów: „Mam nadzieję, że twój kilim jest porządnie rozłożony, kieliszki doskonale wytarte, kosmetyczka na swoim miejscu. Niech porządek panuje w Wiedniu, abym mogła znów to wszystko zburzyć i wszędzie porozrzucać *upside down*”.

— To prawda — wyjaśniła. — Salim jest pewnego rodzaju pedantem. Czasem odnoszę wrażenie, że przyjeżdżam zburzyć mu tę betonową organizację, którą sobie zbudował, wstrząsnąć ascetycznym życiem, jakie wie-dzie: praca, misje i samotność. Zwróciłam mu zresztą na to uwagę. *I need to be disturbed* — powiedział, podnosząc mnie i obracając w powietrzu jak piórko. Temu uporządkowanemu mężczyźnie należałoby wprowadzić trochę bałaganu w jego stały, codzienny rytym...

— A dlaczego nie miałabyś tego uczynić — zachęciła Ilona. — Jesteś przeciwwagą dla egzystencji pełnej walki i poświęceń.

— Odpoczynek „wojownika” — dodała Lily.

— Z drugiej strony to jego perfekcyjne panowanie nad sobą i nad emocjami, zdolność trzymania się w ryzach, a jednocześnie ogromna charyzma pozwalają mu bezboleśnie obywać się beze mnie. Może mnie nie widzieć i nie słyszeć; nawet gdyby miał umrzeć!

— Dlaczego tak sądzisz?

— Dlatego, że po raz kolejny nie oddzwonił.

— Zobaczmy, co mówią karty — przecięła Ilona.

Według rudej wróżki dwa fakty były bezsporne: po pierwsze Salim był zauroczony mirażem, który mu się objawił w osobie Sylvany. Po drugie: nie było ani cienia innej kobiety na jego uczuciowej pustyni. Ale... Więc było jakieś „ale”. Sylvana sama je odkryła. Nubijczyk był zdolny przebyć ogromne przestrzenie bez łyka wody.

— Wielbłąd! — skomentowała Lily.

— Typ samotnika i nomada w jednej osobie — kontynuowała Ilona. — „Człowiek o fruujących podszwach”, bardziej znany jako „człowiek—wiatr”. Nie można być już bardziej samotnym od niego. Akademicki przypadek interesujący dla badacza. Ale nie nadaje się do życia, uprzedzam

cię. Masz w rękach piasek, Sylvano. Myślisz, że trzymasz go w dłoni, a on zawsze przesypie się między palcami. Nigdy nie będziesz go mieć tak do końca. Zresztą ani ty, ani żadna inna.

— Garść wody — uściśliła Diane.

— Wyczuwam w nim coś zimnego i umykającego — podjęła Ilona — przypominającego węgorza lub węża. To postać dwuznaczna. Uważaj na siebie. Ten człowiek nie daje ci tylko samego dobra.

— Wiem, że nie buduje się zamków z piasku — odpowiedziała Sylvana. — Ale kto mówi o budowaniu? Salim nie chce ani przywiązania, ani zaangażowania. Zrozumiałam to od samego początku. Wolność jest dla niego najważniejsza. To, że nigdy nie zaznał życia we dwoje, nie wynika z charakteru jego pracy: to jego świadomy wybór. Ze mną ustalił taktyczne reguły gry i ja je akceptuję. Mieliliśmy wspólne zauroczenia. Poznaliśmy niezwykłą intensywność przeżytych chwil i przeżyjemy następne. Gdybym musiała wybrać między przygodą z mężczyzną rozpalającym mnie do białości a chłodnym i monotonnym romansem z domatorem, nie wahałabym się ani chwili.

— Trzeba wybrać między przygnębieniem a udręką — podsumowała Diane.

— Nawet ty — zauważyła Ilona — która jedyna z naszej czwórki znalazłaś doskonałą miłość w osobie Borysa, czego wszystkie ci zazdrościmy, to nawet ty zaczynasz marzyć o przygodzie z twoim dawnym chłopakiem...

Aktorka szybko skorzystała z okazji.

— Poczekaj, skoro jeszcze nie schowałaś kart, może także mnie byś powróżyła, Ilono.

Pogańska ceremonia przy stoliku zaczęła się od nowa. Jedna po drugiej czepiały się jasnowidztwa Ilony. Czyżby dobrze poinformowana kobieta miała siłę dwóch kobiet? Dlaczego chciały wszystko oznakować, wytyczyć? Dlaczego pozbawiać się niespodzianek, w które obfitowało życie? Wszystko i tak polegało na przypadku; byłem o tym przekonany. Mogły próbować odgadnąć przyszłość, a i tak nieprzewidywalne spadało na nie jak bomba: Nubijczyk, który chciał rozregulować swoje życie nutowym papierem pianistki; Brazylijczyk, zjawiający się po dwudziestu pięciu latach, by

wstrząsnąć ustabilizowaną egzystencją aktorki. Przypomniałem sobie, jak Ilona przepowiadała jednej i drugiej, że nowe spotkanie będzie dla nich wstrząsem. Ale nie byłem pewien, czy skojarzyły wróżby z faktami. Tym lepiej dla nich. Poznały przynajmniej smak zaskoczenia. Tylko Lily, kurczowo trzymająca się przepowiedni, ryglowała swoją terażniejszość, aby rzucić się w przyszłość; przechodziła obok prawdziwego życia, czekając na enigmatycznego XXL.

Czy Diane też wpadnie w pułapkę? Chciała usłyszeć coś, co Ilona natychmiast wyczuła niczym wytrawny psycholog: że mężczyzna z Sao Paulo był równie zbulwersowany ich spotkaniem. To, że teraz nie dawał żadnego znaku, nie oznaczało braku uczuć. Ale po sprowokowaniu spotkania trudno było mu zaakceptować burzę, jaką wywołał widok jego pierwszej wielkiej miłości. Na pewno wróci do Paryża w sprawach służbowych. I oczywiście do niej. Jednak nie tak prędko. Teraz niepokoiły go drażliwe i męczące dyskusje z żoną. Czyżby coś przeczuwała? Rzucił się w wir pracy. Czy o Diane też chciał zapomnieć? Na pewno, żeby uniknąć destabilizacji przez niespodziewany przyływ uczuć.

Diane wydawała się pocieszona. Lawina emocji wywołała wzburzenie po obu stronach Atlantyku. To było najważniejsze. Wraz z *cappuccino* przeknęła słowa, które mogły rozproszyć uczucie nagłego niepokoju.

28

W pozostawionej przez jakiegoś gościa wieczornej gazecie przeczytałem wyniki sondażu. Wynikało z nich, że od dziesięciu lat „liczba rozmów między przyjaciółmi spadła o 17 procent”. Jak można wygłaszać podobne bzdury? Co w tym badaniu brano pod uwagę? — częstość, długość, zawartość, sposób rozmawiania? Gdyby mnie spytano, mógłbym dostarczyć diametralnie inne dane. „Rozmowy między przyjaciółmi” wcale nie były gatunkiem na wymarciu. Świadczyły o tym cotygodniowe, często przekraczające ustaloną długość spotkania czterech paryżanek, które w pełnym zaufaniu otwierały przed sobą serca. Przyznaję, początkowo używały niezro-

zumiałych określeń, zupełnie obcych dla mojego neapolitańskiego ucha. Nie chodzi tu o język francuski — który wtedy znałem zupełnie nieźle, a teraz znacznie lepiej po sześciu miesiącach intensywnej nauki wymuszonej na początku, zaakceptowanej trochę później i dobrowolnej obecnie — ale o język miłości.

Swoboda, z jaką przekazywały sobie sekrety, niezwykle mnie fascynowała. Nawet tak dystygowana i pełna rezerwy Sylvana w obecności przyjaciółek przechodziła swoistą metamorfozę. Pobudzona ich ciekawością, odsłaniała kurtynę, za którą chowała najbardziej intymne doświadczenia. Podobnie Diane. Początkowo mówiła jedynie o kłopotach zawodowych, a później zaczęła poruszać tematy bardziej osobiste. Różnorodność opowieści, ich realizm, w którym przenikały się gorycz i słodycz, łagodność i pikanteria — to wszystko pobudzało moją ciekawość. W sprawach miłości posiadały jakąś naturalną wiedzę, o wiele rozleglejszą niż moja, i zupełnie inne doświadczenia. Pod jasnym niebem Paryża kobieca dusza objawiała mi się w całkiem innym wymiarze niż u pachnących lawą stóp Wezuwiusza. Uczyłem się tej odmienności z prawdziwą zachłannością. Reagowaliśmy zupełnie inaczej: one i my, neapolitańczycy. Dlaczego mężczyźni i kobiety nadal chcieli żyć w nieświadomości własnych oczekiwań? Co za strata! Jeśli chodzi o mnie — pilnie się uczyłem. Nie oznacza to, że ich tajemnicze dusze stały się przez to bardziej dostępne. Ale starałem się je zrozumieć, dorabiałem klucze, prymitywne — to prawda — do ich ukrytych zamków i z tygodnia na tydzień robiłem postępy.

Stwierdziłem na przykład, że swobodnie i bez skrupułów poruszały się tam, gdzie my pozostawaliśmy pruderyjni i zamknięci w sobie. Ich sercowe perypetie komentowały wspólnie i na gorąco. W cotygodniowych spotkaniach nie istniało żadne tabu. Kiedy któraś z nich miała jakiś problem, a „komórki kryzysowe” zaczynały działać, wówczas serdeczny śmiech lub szczere współczucie, karty tarota albo filiżanka kawy potrafiły rozładować napiętą sytuację. Pewnego dnia Ilona zrobiła swoistą statystykę, o wiele mądrzejszą od tej w gazecie. Stwierdziła, że kobiety popełniają samobójstwa o wiele rzadziej niż mężczyźni, mimo że równie często popadają w depresję, a może nawet częściej. Wy tłumaczenie? Obecność przyjaciółek. Sekret

większej odporności psychicznej kobiet polegał na możliwości zwierzenia się, otworzenia przed innymi, wyrzucenia z siebie nagromadzonej goryczy, która — pozostawiona sama sobie — groziła prawdziwą eksplozją. Na tym polegała tajemnica przetrwania. W piątkowych spotkaniach odkrywałem zaletę doskonałej równowagi psychicznej.

Nie tylko różnica zachowań, ale także odmienna moralność naszych płci — co początkowo tak bardzo mnie gorszyło — dziś już przestała szokować. Kiedy zdradzałem Carmelę, pożądamy jednej z tych czterech kobiet, odczuwałem niepokój. Widmo potępienia, grzech pierworodny, nierozłącznie przypisany miłosnym uciechom, prześladował mnie, tak jak od tysiącleci straszył tych wszystkich, którzy się oddawali przyjemnościom cielesnym. A przecież moje uczucia były tylko platoniczne. Zdrada rodzinnego kontraktu była przyczyną mojego wewnętrznego rozdarcia. Im bardziej pociągały mnie cztery paryżanki, tym mniejszą miałem ochotę powrócić do neapolitańskiej narzeczonej. Im bardziej odkrywałem smak zakazanych słodczy, tym mocniej odwieczne poczucie odpowiedzialności, dotrzymywanie danego słowa usiłowały przywrócić mnie do porządku. Niezdecydowanie mężczyzn, co często zarzucała mi Carmela, polegało na balansowaniu między dwoma przeciwstawnymi biegunami: obowiązku i przyjemności. U moich paryskich przyjaciółek to wszystko wyglądało zupełnie inaczej: dla nich erotyzm i moralność znaczyło dokładnie to samo. Autentyczność ich uczuć usprawiedliwiała postępowanie. Kiedy kochały, pozwalały sobie, bez cienia poczucia winy, na życie zgodne z własnymi pragnieniami: Idź tam, gdzie cię niesie miłość! Czyżby to one miały rację?

Te cztery kobiety, które początkowo uważałem za wstrętne dziwki, niezaspokojone modliszki, suki w okresie rui, bezwzględne i nienasycone manipularki, libertynki bez czci i wiary, niebezpieczne *superwoman* i czarownice — te właśnie kobiety umiały zdobyć mój szacunek i zaufanie. Podczas długich tygodni, gdy lepiej je poznawałem, doceniłem ich prawdziwość i odwagę. Były piękne i interesujące, głębokie i szlachetne, a zarazem delikatne i wrażliwe; musiałem przyznać, że bardziej ludzkie od nas, samców. I o wiele bardziej pełne życia. Nie, moje panie, z pewnością was nie potępię!

Pewnego piątku punktualnie o dziewiątej piętnaście, poprzedzony gęstą zasłoną z konfetti i kryształowym śmiechem, w długim korytarzu „Cappuccino” pojawił się arlekin. Miał kombinezon w szachownicę, białą kryzę z organdy, krótkie botki na obcasach, na głowie pieróg z białego filcu, czarną maskę na oczach i szkarłatną szminką umalowane usta. W podskokach dotarł do końca baru, wykonał zgrabny skok, wsunął się zręcznie za kontuar, zamienił Gracieuse w słup soli, wtargnął do mojego schowka i odcisnął mi na wargach potężnego, czerwonego całusa. *A Carnevale, ogni scherzo vale!* — rozległ się głośny śmiech. To była Diane, natychmiast poznałem jej głos. Zrobiła sobie próbę ze sztuki Goldoniego? Arlekinada trwała zaledwie kilka sekund. Akurat tyle, aby przypomnieć sobie, że są ostatki i tego dnia dozwolony jest każdy dowcip. Wśród burzliwych oklasków złożyła pełen gracji ukłon, zrobiła zabawny grymas i poszła na antresolę do swoich zaskoczonych przyjaciółek.

— To był tylko jeden piruet — oznajmiła, zdejmując maskę. — Obiecuję, że następnym razem naprawdę narobię wam wstydu! Och! Moje plecy!

Byłem w teatrze! Wytarłem ślady szminki z warg i narysowałem pieróg na śmietance *macchiato* dla Diane. Ale to Sylvana bardziej potrzebowała mocnej kawy tego ranka. Wcale nie była w karnawałowym nastroju. Błażenada aktorki, która od świtu grzebała w teatralnych garderobach, odprężyła ją tylko na krótką chwilę. Zbyt dobrze znałem jej melodyjny głos, by nie rozpoznać w nim nutki niepokoju.

— Coś nie tak? — zaniepokoiła się Diane, która nagle spoważniała.

— Nie całkiem.

— Ale przynajmniej tego nie widać — pocieszyła ją Lily.

— To kwestia wychowania — odpowiedziała Argentynka. — Nauczono mnie panować nad sobą.

— Salim? — spytały przyjaciółki.

Odpowiedziała pytaniem.

— Jak się zakochać i jednocześnie nie cierpieć? Nie stracić równowagi? Nie zachwiać od zawrotu głowy? Jak przeżyć miłość, unikając niebezpieczeństw, tych wszystkich *up* i *down*, wzlotów i upadków, pozytywne upojenie i negatywnego kaca, egzaltację i depresję?

— Opancerzyć się — doradziła Ilona.

Dla Ukrainki oznaczało to uczepienie się jedyne go koła ratunkowego, które pozwalało jej trzymać głowę na powierzchni wody podczas wszystkich uczuciowych zawirowań, ostateczna i skuteczna zaporą, chroniąca przed falami miłosnego szaleństwa, tama dla przyływu uczuć — jej córki. To one i tylko one, Melodie i Serenade, holowały ją bezpiecznie do brzegu. Im dalej odpływała, tym bardziej tęskniła za codziennym spokojem, z dala od przygód.

- — Kokon z czystej, żywej wełny albo nic — powiedziała.

Dla Lily najlepszą ochroną było urozmaicenie. Im więcej

było wokół niej mężczyzn, tym czuła się bezpieczniej. Nie mogła skoczyć do wody bez podwójnej, nie — potrójnej kamizelki ratunkowej. To był jej „sejf”, zabezpieczenie, pozwalające pływać po najbardziej zdradliwych wodach. Mogła dać się ponieść prądom bez obawy przed utonięciem, poczuć dreszcz odprężenia. Miała świadomość, że zawsze jest ktoś, kto wyciągnie ją z opresji.

— A ja mogę stosować wszystkie tradycyjne techniki: uniki, ucieczkę, minimalizację, banalizację — oświadczyła Diane — nic nie działa. To jest możliwe tylko w teatrze. Nie udaje mi się wyrzucić z myśli mojego Brazylijczyka.

Po co to wszystko? Czy bez naszej wiedzy jesteśmy okrutnymi i złośliwymi bestiami? A gdzie miejsce na czułość i wrażliwość? Sylvana wydawała się zraniona. Na jaki afront pozwolił sobie ten winowajca Salim? Nie skorzystał z okazji, jaką były ostatki, nie zrozumiał intencji i nie wezwał jej do Wiednia? A ona nie mogła go zaprosić do Paryża, bo Laurent, który do tej pory nie zwrócił jej kluczy, mógł w każdej chwili pojawić się w mieszkaniu. Kolidacja między obecnym a byłym mężczyzną w oparach alkoholu mogła łatwo przekształcić się w dramat. Zdała się więc na uczucia Salima.

— Nasza rozmowa telefoniczna to zupełna katastrofa! — żaliła się. — Każde z nas oczekiwało propozycji drugiego. A że nic takiego nie nastąpiło, Salim powiedział na koniec, że będzie poza miastem przez cały weekend. *Vienna is an ola people home* — skomentował. Podczas świąt jest tu prawdziwy dom starców.

Usłyszałem, jak głośno przełknęła ślinę.

— W tej całej historii odnoszę wrażenie, że tylko ja gram aktywną rolę — podjęła. — Jakbym brała udział w zawodach. A on pozostaje bierny. Dopóki wychodzę naprzeciw jego pragnieniom, wszystko jest w porządku. Nie mogę liczyć na jego inicjatywę kolejnego spotkania; jeśli wiatr nie wieje z mojego kierunku, nic się nie rusza. Mój pustynny mężczyzna tkwi sztywno w niezmiennym postawie. Nic się nie rozpoczyna bez mojego ruchu. Stałam się dynamicznym elementem naszego związku, jedynym, który popycha go do przodu. To ja robię mu telefoniczny zastrzyk — on pozostaje pasywny i ewentualnie akceptujący.

— Rzeczywiście to wyjątkowo dziwny „wojownik” — skomentowała Lily.

— Czy zauważyliście — dodała Diane — że zwykle mężczyzna daje pierwszy impuls jakiejś historii, a kobieta ciągnie dalej te konie? Oferta i odpowiedź szybko zamieniają się rolami. Kiedy Jean Paul odnalazł mnie po dwudziestu pięciu latach, niczego nie żądałam. Całkowicie wymazałam go z pamięci. Ale od kiedy się pojawił, zajął wszystkie moje myśli. I teraz to ja jestem w roli proszącego o bis.

Cichy głos pianistki przeszedł nagle w wyższe rejestry.

— Ale gdzie on schował swoje uczucia, plany, nadzieje, marzenia?

— Moim zdaniem — powiedziała Ilona — to ty planujesz i więcej inwestujesz w ten związek niż on. Pamiętaj, nie wolno niczego oczekiwać, trzeba brać to, co jest.

— Tak, aleja za każdym razem chcę więcej. A im potężniejsza dawka — tym dotkliwszy brak.

— Brak. Pomówmy o tym. O truciznie w kiju, który zawsze ma dwa końce. Dlaczego właśnie ty nie możesz być trucicielką? Prawdziwa uwodzicielka umie być cierpliwa. Pozwala na siebie czekać, pożądać. To ona daje mu czas na przygotowanie, fantazjowanie, podekscytowanie. Nie ujawnia nigdy gwałtowności swoich pragnień, bo mogłaby stracić swoją wartość. Potrafi odłożyć pewne rzeczy na później, zrobić krok do tyłu. Umie milczeć. Potrafi wykreować brak. Wtedy u niego rodzi się pożądanie.

Ilona nawiązała do rozmowy, jaką odbyła z zaprzyjaźnionym psychiatrą, który zajmował się autystycznymi dziećmi. Powiedział jej, że cierpiały na brak pragnień; ona przeniosła to na mężczyzn. Nie działają na nich żadne szloch, narzekania, prośby czy skargi. Jest tylko jedna metoda, aby ich pobudzić: pielęgnować nieobecność.

— To trudne, kiedy samemu odczuwa się brak — zauważyła Sylvana.

— Trudne, ale skuteczne. Spróbuj! To działa we wszystkie strony. „Podążasz za mną—ja uciekam. Ja podążam — ty uciekasz”.

29

Czyżby uciekła? Dzisiejszego piątku Sylvana nie przyszła. Ale trzy pozostałe panie były zbyt zajęte, by zwracać szczególną uwagę na nieobecność pianistki.

Lily wydawała się zadowolona z siebie. Usłyszała rozmowę swojej asystentki z jedną ze stylistek, na kilka godzin przed „skromnym obiadem, tylko dla najbliższych”. Sylvie urządzała go u siebie, a Lily nie dała jeszcze żadnej odpowiedzi. „Niech tylko nie próbuje grać u mnie gwiazdy — mówiła asystentka. — Wystarczy mrugnąć na jej faceta i wtedy...” Kobieta poinformowana jest warta dziesięciu innych kobiet. Perfidna pogrożka zelektryzowała Lily. Do tej pory wahała się, ale teraz wykazała prawdziwą determinację, by intrygantce udzielić lekcji. I stanie się to już wieczorem w obecności „jej faceta” i „najbliższych”. Sylvie przyjęła ich wyjątkowo serdecznie. Przez długą chwilę wisiała na szyi niewzruszonego Patricka, a następnie zwróciła się do Lily tonem pełnym podziwu: „Jaka piękna dziś jesteś!”. Małymi, wrednymi oczami przestudiowała każdy detal garderoby w poszukiwaniu niedociągnięć. „Można by rzec, że odmłodniałaś!” — ciosem zakończyła inspekcję. „O tak — zgodziła się Lily, cała w uśmiechach, uwieszona na mężowskim ramieniu. — Jestem dobrze pieprzona”. Pierwszy punkt. Patricka otoczyła grupka gości, którzy zasypywali go pytaniami o wygrany przez niego konkurs na przebudowę starego teatru. Patrick w ręce trzymał napelniony do połowy kieliszek szampana, który tracił bąbelki i

robił się coraz cieplejszy. Sylvie nie spuszczała Patricka z oka: rzuciła się w jego stronę z nowym pucharkiem. Ale Lily czuwała: Złapała pełny kieliszek, umoczyła w nim usta i czułym gestem podała mężowi, uwalniając go od niedopitego, który wręczyła asystentce, nawet na nią nie patrząc. Drugi punkt. Przejście do stołu odbywało się w sposób chaotyczny. Sylvie interesowało tylko to, by Patricka posadzić po swojej prawej stronie, a reszta gości niech sama sobie radzi. Na skutek tego po jednej stronie usiedli sami mężczyźni, a po drugiej — kobiety. „To fatalne! — zawołała Lily. — Chodź tutaj, Patricku! I wy też!”. „Przemeblowała” towarzystwo i misterny plan Sylvie legł w gruzach: pożądany cudzy mąż znalazł się obok żony. Trzeci punkt. Przez cały wieczór Lily bawiła gości, skupiając na sobie ich uwagę, podczas gdy rywalka siedziała nadąsana na końcu stołu i próbowała włączyć się do rozmowy. „Ja zawsze mówię to, co myślę. Można we mnie czytać jak w książce. A w dodatku wiele umiem wytłumaczyć!” — chwaliła się ta idiotka tonem nie znoszącym sprzeciwu. „A tajemnica? — zapytała Lily, rzucając prowokacyjne spojrzenie na zgromadzonych wokół siebie mężczyzn. — Co robisz z sekretami?”. Czwarty punkt. Lily ku zdumieniu gości zerwała się z miejsca z okrzykiem: „Jak ten czas szybko leci, w ogóle tego nie zauważyłam!”. Odprowadzając ich do drzwi, Sylvie, w akcie desperacji, chwyciła ramię niedostępnego męża, proponując mu swoje usługi „przyjacielskie i bezinteresowne”. Może „pogadać” z kim trzeba na temat wygranego konkursu. Obojętność Patricka tylko wzmogła jej natarczywość. Nie znajdując więcej argumentów, asystentka nie wytrzymała: „W każdym razie, może «ona» panu na to pozwoli!”. Lily natychmiast odbiła piłeczkę: „«Ona» nigdy nie miesza się do tego, co do niej nie należy. «Ona» nie wtrąca się do spraw swojego męża. «Ona» pozwala mu robić karierę, tak jak sam tego chce. «Ona» ma do niego całkowite zaufanie i respektuje jego wybory, jakie by były. «Ona» mówi ci: dziękuję. Oraz do widzenia”. Koniec. Kropka.

— Brawo! — pochwaliły koleżanki. — Byłaś doskonała!

— To jest „chłopomanka” i na tym tle ma prawdziwą obsesję; czuje taki przymus. Jeśli mnie zaczepi następnym razem, to jej powiem: „Masz problem, Sylvie? Nie masz chłopca? Może coś dla ciebie zrobić?”.

— Ona nie chce jakiegoś tam mężczyzny — zauważyła Ilona. — Chce twojego i dlatego tak pragnie być tobą.

— Wystarczy na dzisiaj o tej poczwarze. A ty, Ilono, ciągle tkwisz w wełnie?

— Dodam tylko jeszcze jedną uwagę. Stan napięcia, jaki teraz przeżywasz z Patrickiem, chroni was przed nudą. Związek trwa wtedy, gdy jest w nim mieszanina zaskoczenia, odkryć, niepewności i ryzyka. Dążąc do stabilności — a jestem tego pewna — dokładacie do waszego życia trochę niepokoju, palpacji serca i lęku. Z pewnością nie robicie tego rozmyślnie, ale takie są fakty. Te obawy przed utratą, a potem wzajemne odnajdywanie się, ucieczki i powroty — to wszystko was napędza. Jedynie nieprzewidywalne podtrzymuje zainteresowanie — przewidywalne nuży. Zauważ, że to, co wam się zdarza, jest niespodziewane.

— I ty to mówisz, ty, jasnowidzko?! — zdumiała się Lily.

— Właśnie. Odtrącając Gaetana, miałam pewność, że to coś między nami będzie krótkotrwałe. Ten człowiek jest tak przewidywalny! Nawet nie musiałam pytać kart, które zresztą potwierdzały moją intuicję, choć na początku nie chciałam w to wierzyć. Czytałam jak w otwartej księdze w moim prowincjonalnym włókienniku, żyjącym banalnie, sztywno i nudno. Widziałam w nim potrzebę czerpania z mojej fantazji, nabierania energii z mojej radości życia. Ja z kolei szukałam stabilizacji, krótko mówiąc — łatwiejszej egzystencji. Ja, dzielna matka, wychowana w doktrynie: praca — rodzina — partia, pragnęłam stać się kobietą—obiektem, rozpieszczaną przez faceta z Zachodu. Szukałam substytutu ojca, którego nigdy nie znalazłam. Wreszcie chciałam dać się ponieść, zamiast ciągle płynąć pod prąd. Moglibyśmy wiele sobie ofiarować. Ale szybko zauważyłam, że Gaetanowi brakuje zaufania do mnie, a przede wszystkim do siebie. „Czy pani mnie kocha? A od kiedy? I do kiedy?” — dręczył mnie. Musiałam ciągle go w czymś utwierdzać. Za każdym razem, gdy telefonował, zadawał te męczące pytania i z żadnej odpowiedzi nigdy nie był usatysfakcjonowany. Przy pożegnaniu prosił, żebyśmy zanotowali w kalendarzu datę następnego spotkania. Niech ta data tam „się prześpi”. Ona może, ale my nie mogliśmy „się przespać”. Zresztą przeszła mi ochota, zanim tak naprawdę ją poczułam.

Uspokajałam go, ale zaczynałam robić uniki: „Miejmy do siebie zaufanie. Przecież mamy wszystko, żeby było nam ze sobą dobrze. Co ma się stać, to się stanie. Życie samo się tym zajmie...” Ale nawet kiedy wszystko jest w porządku, jego obawy utrzymują się wciąż na tym samym poziomie. Są namacalne, ciężkie i nabrzmiące. Skarży się na przeszłość i nigdy nie ma tego dosyć. A przyszłości nie jest pewny. Teraźniejszość znów marnuje ciągłymi narzekaniami i fobiami. Dla niego szklanka nigdy nie jest do połowy pełna, ale do połowy pusta. Usiłuję wlać w niego trochę spokoju i optymizmu: „Niech pan sobie pozwoli na odrobinę luzu; każda chwila mija tak szybko! Proszę się nią cieszyć! Niech pan rozkoszuje się miłymi momentami, nie martwiąc się o przeszłość ani o przyszłość!”. „Czemu to ma służyć — odpowiada — jeśli między tymi momentami nie ma zupełnie nic?”. To jego „nic” oznacza, że nie zdaje mu drobiazgowego sprawozdania, godzina po godzinie, co robię w ciągu dnia i nocy; że nie myślę o telefonach do niego, kiedy jestem zajęta córkami; że nie odpowiadam natychmiast na jego faxy; że często jestem nieosiągalna lub mam dużo zajęć; że nie przychodzi mi do głowy obudzić go w środku nocy, by mu powiedzieć, jak bardzo mi go brak. A on, nawet kiedy idzie do łazienki, wkłada komórkę do kieszeni piżamy, bo się boi, że może nie odebrać mego telefonu!

— Seksowny jak malowanie!

30

Wszystko się wyjaśniło. Nieobecność Sylvany okazała się dla niej bardzo korzystna; słycać to było w jej głosie.

— A więc do ciebie zadzwonił? — dopytywała się Lily.

— Wiele razy.

— I nic nam nie powiedziałaś!

— Nie chciałam was zanudzać moimi historiami.

— Ależ nie krepuj się — żartowała figlarka. — Dostatecznie nas zanudzasz, kiedy on nie dzwoni, więc przynajmniej korzystajmy z jego telefonów!

Salim pozostawił mnóstwo wiadomości. W pierwszej informował, że kieliszki są dobrze wytarte; w drugiej — że w jego kosmetyczce panuje idealny porządek; w trzeciej — że kilim znajduje się na swoim miejscu, przed kominkiem.

— Zaczekaj, strasznie bołą mnie plecy — zajęczała Diane.

I miss you very much — wyznał, kiedy wreszcie do niego zadzwoniła. Odpowiedziała mu po prostu *okay*. Brakowało mu jej: świetnie. *You are in my thoughts* — dodał. „Jestem w twoim czym?”. Z pewnością była w kiepskiej sytuacji, bo słaba znajomość języka uniemożliwiała zrozumienie dokładnego znaczenia słów i bardzo ważnych niuansów. Pianistka „rzępoliła” po angielsku jak debiutantka, sztywno, ciężko, wahając się i myląc nuty. Było jej wstyd. *I think of you often* — sprecyzował. W końcu zrozumiała. „Ach, więc jestem w twoich myślach. Często o mnie myślisz”. Znalazł się wreszcie mężczyzna, który zachowywał się tak, jakby ją kochał, ale zapominał jej o tym powiedzieć, a teraz otwierał swoje serce.

— No więc w końcu się ujawnił! — ucieszyła się Diane.

— *I kiss you everywhere* — zakończył. On, taki zawsze powściągliwy, pełen rezerwy, dbający o pozory, przez telefon całował ją wszędzie!

— Och, te moje plecy!

Zaspokoiwszy ciekawość, Lily i Ilona zainteresowały się kłopotami aktorki.

— Musisz mieć dosyć moich opowieści — przeprosiła Syl—
vana.

— Dużo bym dała, aby móc je przeżyć — wyznała Diane — Od wizyty Jean Paula jestem w ciągłej rozterce. Nie mogę przestać zadawać sobie pytań, skąd ten jego nagły powrót. Dlaczego teraz, po tylu latach? Po co? Aby pogodzić się z przeszłością? Zaaprobować teraźniejszość? Przyszłość? W każdym razie — wspaniały gest. Niesłuchanie odważny. Mężczyzna, który marzył o mnie całe życie, podjął w końcu ogromne ryzyko: spotkanie po dwudziestu pięciu latach. To mogło być niebezpieczne, wręcz mordercze. Na szczęście nie okazało się katastrofą, ale miłą niespodzianką dla obu stron. Przynajmniej, jak mi się wydaje, dla niego, bo ja jestem tym zmęczona.

— Jesteś pewna, że zakochałaś się w tym mężczyźnie, a nie w jego geście?

— Dobre pytanie. Uwiodła mnie wyobraźnia czy osoba?

— Trzeba mieć się na baczności przed iluzjami — stwierdziła Ilona.— To, co mnie pociągało w moim włókienniku, to jego uwielbienie i adoracja mojej osoby. No i co? Teraz spadam z wysoka z tych wyobrażeń, które sobie stworzyłam!

Z ogromnym poczuciem winy, bo przysięgła sobie tego nie robić, Ilona jednak zatelefonowała na komórkę Gaetana. Właśnie spędzał wiosenne wakacje w swoim domu w Saint—Tropez. Gdy rozmawiali przed wyjazdem, nie zaproponował, żeby przyjechała, bo wiedział, że nie może zostawić samych córek w Paryżu. Nie mogła się dodzwonić: niedostępny o dwudziestej pierwszej, o ósmej rano, o trzynastej. Wreszcie o osiemnastej usłyszała jego głos. Ale zaraz po „halo” przerwano połączenie. Natychmiast znów zadzwoniła. Usłyszała: „Proszę chwilę poczekać”. A potem się odezwał. Ilona była zdumiona jego zażenowaniem. Wybełkotał: „Bo... nie jestem sam”. „Są tam pańskie wnuki?”. Po chwili krępującego milczenia wyjaśnił: „Nie. Dawna przyjaciółka” — wydukał w końcu rzekomy adorator. „Przyjaciółka? Jaka przyjaciółka?”. „Ta sama od dwudziestu lat. Jest mężatką. Widujemy się tylko podczas wakacji”.

— Widzę stąd ten obrazek! — wykrzyknęła Lily. — Wampirzyca z Saint—Tropez. Opalona przez cały rok; pergaminowa skóra i włosy ze zmytą farbą.

— I odrostami na półtora centymetra! — dorzuciła Sylvana.

— I z łańcuszkiem na kostce! — dokończyła Diane.

— Czy to ciągle ten sam mężczyzna, który mówił, że za mną szaleje, deklarował, że jestem jego „największą miłością od zawsze”, „kobietą jego marzeń”, „najmocniejszym uczuciem, jakiego nigdy nie zaznał”, kobietą „która zmieniła jego życie”? I ten mężczyzna postanowił spędzić wakacje ze swoją „wampirzycą”? Ode mnie wymaga wierności, a sam ulega swoim zachciankom. Zagarnia dla siebie wszystko, a oddaje mi zaledwie część. Bo co mi dał? Wykradł jeden weekend w środku swoich wakacji, zrobił sobie

paryską eskapadę. Żeby wilk był syty i owca cała. Ale nie wybaczę mu tego, że ukrywał przede mną dawny związek.

Ilona dała mu do zrozumienia, żeby nie przyjeżdżał do Paryża i życzyła mu udanych wakacji. Nalegał, błagał. Odłożyła słuchawkę. Ponownie zadzwonił, żeby usłyszeć inną Ilonę, urządzającą swe życie na nowo. Powiedziała mu, iż nie można snuć planów na przyszłość, ciągnąc za sobą przeszłość, że zachowanie poprzedniego związku i kontynuowanie nowego jest nie do pogodzenia. Aby budować, trzeba najpierw zburzyć, bo fundamenty nie wytrzymają. Nie powiedziała mu, że karty jej nie okłamały: „Grząski teren, budowa niemożliwa”. „W dniu, kiedy będzie pan zupełnie wolny, proszę się ze mną skontaktować” — zakończyła. Pomimo wszystko przyjechał do Paryża, ale nie chciała się z nim spotkać. Przysłał jej ogromny bukiet róż, równie świeżych jak ostrygi, które „ona” zebrała w jego nadmorskim ogrodzie. „Proszę jej podziękować w moim imieniu” — powiedziała oschle przez telefon.

— Jest ciągle w Paryżu. Ze swojej garsoniery „zanieczyszcza” moją sekretarkę nieistotnymi wiadomościami.

— Oto piękna historia, która właśnie się kończy! — westchnęła Diane.

— Zanim się rozpoczęła — zauważyła Ilona. — A twoja? Coś się rusza?

— Ciągle nic. Odnoszę wrażenie, że oczekuję na samolot, który nigdy nie ląduje. Nie wiem, jakiego użyć słowa, aby określić to opóźnienie: obojętność? uraza? zapomnienie? rozczarowanie? stres? kłopoty? strach? skrupuły?

Arlekin zrzucił maskę.

— Rankiem budzę się razem z nim. Wieczorem zasypiam obok niego. Nawet zaczynam miewać sny erotyczne, choć w naszej miłostce nigdy nie posunęliśmy się tak daleko. Tkwi w moich myślach przez cały dzień. Jeśli kupuję nowe ubranie, to z myślą o naszym następnym spotkaniu. Gdy zmieniam uczesanie — żeby sprawdzić efekt w jego spojrzeniu. Wszystko, do czego się biorę, jest przygotowaniem do spotkania.

— Podstawową wadą mężczyzn jest ucieczka — powiedziała Ilona — a główną wadą kobiet opowiadanie o swoich przeżyciach.

Diane wydała długie westchnienie.

— Wstydzę się tego, ale wyznam wam wszystko. Posunęłam się do tego, że przestudiowałam, słowo po słowie, każde ogłoszenie opublikowane przez „Libe” na walentynki. Odkryłam jedno, podpisane J.P., i wymyśliłam sobie, że to on mi je przesłał.

— No tak! Ona majaczy — zaniepokoiła się Lily.

Diane wyjęła z portmonetki dwa centymetry kwadratowe papieru, wycięte z gazety. Zauważyłem to, cofając się za bar. Zaczęła czytać teatralnym głosem:

„Twoja sylwetka wieczorem, twoja twarz, oczy, moja radość z ujżenia ciebie, twoich rąk i ust, to przyjemność, która nadejdzie. Kocham cię coraz bardziej każdego dnia i noc po nocy... Dla nas też, kochanie, wkrótce rozkwitną róże”.

Miały nie lada problem, aby powstrzymać huragan śmiechu, który mimo ich starań w końcu wybuchł.

— Ona jest bardziej chora, niż przypuszczałam — postawiła diagnozę Lily.

— Moja piękna, o życiu się nie marzy — życie się przeżywa — napomniała Ilona.

— Masz rację. To moja specjalność: żyję wspomnieniami, albo marzeniami. Pograżam się w nostalgii lub żywię nadzieję. Rzeczywistość mnie złości. Biedny Borys jest jej częścią. Stałam się dla niego okropna. Snuję fantazje o przyszłości z Bra— zylijczykiem i cofam się w przeszłość pod wpływem naszego spotkania. Skąd wzięła się moja fascynacja Brazylią? Dlaczego zdecydowałam się uczyć portugalskiego przez telefon z nauczycielem tańca *carioca*? Skąd się wzięły wszystkie moje podróże do tego kraju? Dlaczego na miejsce akcji filmu wybrałam Rio de Janeiro i Sao Luis do Maranhao? Czemu wymyśliłam uczucie między francuską Eurydyką i brazylijskim Orfeuszem? Czy z powodu ładnego chłopca, którego zapomniałam po upływie doby po naszym rozstaniu? Trzeba przyznać, że znał o wiele więcej, niż wtedy sądziłam. Nasza krótka znajomość, którą uważałam za powierzchowną i bez konsekwencji, tak naprawdę zadecydowała o następnych dwudziestu pięciu latach. Ona wyznaczyła moje życie.

— Jeśli tak jest naprawdę, przestań fantazjować i zacznij działać — poradziła Ilona.

— Już to zrobiłam — wyznała Diane. — Wysłałam mu fax: „Jean Paul, tylko artysta mógł się zdobyć na odwagę i tak kreatywny gest. Bardzo mnie to wzruszyło. Diane...” Bez odpowiedzi.

31

Obawiałem się, że podczas pierwszych ciepłych dni bywalczywie antresoli przeniosą się na taras. Łagodność powietrza nie sprzyjała ogrzewaniu ciał i serc w przytulnym zakątku kawiarni. Widziałbym je, oczywiście, przez oszklone drzwi i mógłbym obserwować ich rozkwitanie w promieniach wiosennego słońca. Ale na co mi taki widok, gdybym niczego nie mógł słyszeć? Wplątałem się w ich historie równie mocno, jak one w moją. Nie do zniesienia była sama myśl, że dalsze losy tych czterech kobiet przeszłyby obok mnie, choć uczestniczyłem w ich życiu tylko przez godzinę tygodniowo. Miejsca na zewnątrz były drogie i mogłem je bez problemu zarezerwować. Ale... „Nie rezerwujemy na tarasie!” — oznajmiłem Gracieuse, aby uciąć w zarodku chęć wyjścia. Nie opuściły więc swojego stolika, a ja przestałem traktować słońce jak wroga.

Za nic na świecie nie chciałem stracić ostatniego epizodu pewnej przygody tej figlarki, Lily. Opowiedziała właśnie, jak odbyło się zakończenie obiadu, wydanego przez dom mody w związku z promocją nowych perfum: Sąsiad z naprzeciwka pozwolił sobie na obelgę pod jej adresem. W rewanżu cisnęła mu w twarz serwetkę. On zrobił unik, kulka materiału przeleciała obok jego głowy i wylądowała na kimś, kto siedział przy innym stoliku. Tego się Lily nie spodziewała; był to jej eks—małżonek.

— Hans — wyjaśniła przyjaciółkom. — Berliński projektant. Rozwiódłam się z nim, żeby wyjść za Patricka. To właśnie on zaprojektował flakon na nasze nowe perfumy.

Spotkanie jak grom z jasnego nieba: były mąż, już nieźle podпиты, zmienił stolik i zebrało mu się na nostalgiczne wspomnienia. Lily szybko się znudziła i postanowiła wrócić do domu. Nalegał, że ją odprowadzi, i już przed drzwiami poprosił o ostatni kieliszek. „Jesteś mi to winna” — nalegał. Lily nie miała serca mu odmówić. Jej obecny mąż przebywał w Emiratach z planami nowego hotelu. Uprzedziła lojalnie: „Tylko jeden kieliszek. Potem wystawiam cię za drzwi”. Tak jak szampan podziałał na berlińczyka melancholijnie, tak koniak okazał się środkiem nasennym. Hans zasnął na kanapie w połowie zdania. Lily zgasła światła i poszła do sypialni.

— W środku nocy słyszę, że w salonie dzwoni telefon. Aparat w moim pokoju był wyłączony. Wkładam więc wtyczkę do gniazdka i podnoszę słuchawkę: to Patrick. I w tym samym momencie następny głos włącza się do rozmowy — Hans! Chyba mam halucynacje! Obudził go telefon; skoczył na równe nogi i choć nie wiedział, gdzie jest, jakoś w ciemności namacał aparat i machinalnie odpowiedział. Istny horror. Zaskoczyła mnie moja przytomność umysłu: „Co się dzieje? — pytam bezczelnie. — Jeszcze ktoś jest na linii?”. Brutalnie odkładam słuchawkę, myśląc, że przetnę tę konwersację we troje, pędzę w kierunku berlińczyka i zastaję go rozmawiającego w najlepsze z moim mężem. Przerwałam połączenie w sypialni, ale nie w salonie. Rzucam się na niego i wyrywam mu słuchawkę. Telefon znów dzwoni. Odbieram i atakuję: „Co za typ włączył się do naszej rozmowy?”. „Właśnie zadałem mu to samo pytanie — odpowiada Patrick. — To Hans, twój były mąż. Co on tam robi?”. Jestem zagniewana: „Jak to, *tam*? Musiał zadzwonić w tym samym momencie co i ty. Te wszystkie linie, telefony komórkowe pewnie powodują różne zakłócenia...”

— No, tu już przesadziłaś, Lily!

— Im grubszymi nićmi szyjesz, tym lepiej to działa! Nawet Hans był zaskoczony: „Nie wiedziałem, że tak dobrze kłamiesz!”. Jeszcze teraz mam dreszcze na samo wspomnienie...

— A co ci dało to spotkanie? — spytała Diane.

— Nic. Gdy wystawiam mężczyzn za drzwi, to nie po to, by ich przyjmować z powrotem. Kiedy już coś się kończy, to ostatecznie. Wymazuję z pamięci. Uważam, że my, kobiety, mamy fenomenalną moc zapominania. Ja

długo nie mogę się zdecydować, ale jeśli mężczyzna opuszcza moje życie, to nieodwracalnie. Potem mam całkowitą amnezję.

— Ależ ja ci zazdroszczę! — westchnęła Diane. — Jak ty to robisz?

— Jestem lepsza w gaszeniu niż zapalaniu. Najlepszy sposób, by nie żałować, to sprawić, by oni żalowali. Moja technika zrywania jest bardzo wyrafinowana: wygłaszam deklarację miłości, ale w czasie przeszłym. Pokazuję, że byliśmy dla siebie stworzeni, a oni właśnie przeszli obok *big love story* i wypuścili z rąk ogromne szczęście. I nic nie zrozumieli z tego, co się działo. Pamiętam, co powiedziałam Hansowi, kiedy poznałam Patricka: „Wraz ze mną straciłeś pewną szansę: już nie będę cię nienawidzić”. I co? Wtedy zaczął tego pragnąć!

Lily dopiła *cappuccino* i zamówiła *frappuccino*. Lubiała przechodzić od ciepła do zimna.

— Stałam się niezłą specjalistką od bezbolesnych rozstań — ciągnęła dalej. — Pamiętam, że kiedyś urządziłam nawet zerwanie grupowe. Zakończyłam dwie niepewne historie jednego dnia. Po co płakać dwa razy, kiedy można to zrobić za jednym zamachem? Dwa przecięcia i jeden smutek! Każdy z nich myślał, że z jego powodu tak szlocham. Przypadkiem popłakałam się przy pierwszym i wykorzystałam te łzy przy drugim. Tego dnia stworzyłam pełnię. Lub raczej pustkę... — Skrzyżowała nogi. — Kiedy byłam młodsza, musiałam likwidować i odrzucać, by robić postępy. Owładnięta pragnieniem doskonałości, raczej niszczyłam, niż ustępowałam. Teraz mniej, to prawda. Wtedy miałam skłonność do odejmowania. Teraz chyba wolę dodawać...

— Chciałaś na siłę wykreować rzeczywistość, a teraz sama robisz uniki. Żyjesz na krawędzi, Lily. Myślisz, że jesteś wszędzie, a nigdzie cię nie ma — zauważyła Diane.

— W dzisiejszych czasach kobieta ma do dyspozycji kilka wcieleń — stwierdziła Sylvana.

— Z pewnością. Ale między dwudziestką a trzydziestką może sobie pozwolić na przeżywanie wszystkiego kolejno, jednego po drugim. Gdy skończy trzydzieści pięć lat, a czas zaczyna gonić, jest skazana na życie

równoległe, jednoczesne. Koniec z seryjną monogamią: nadszedł czas wymuszonej poligamii.

Apetyt Lily na życie wzmógł mój własny głód. Jej niepokój mnie ekscytował. Dziesięć egzystencji w jednym ciele! A dlaczego nie jedenaście? Dlaczego nie miałbym zaryzykować? Jej ogień dosłownie mnie spalał.

— I kiedy pomyślę, że za parę lat moi rodzice będą obchodzić złote wesele! — westchnęła Lily. — Mnie czeka raczej życie motylka, który fruwa z kwiatka na kwiatek.

— A gdzie jest miejsce dla Patricka?

— Więcej by stracił, gdybym go rzuciła. Pilnuję go troskliwie. Jest kimś niezbędnym, centrum mojego małego wszechświata. Bez niego nastąpiłaby eksplozja, natomiast bez nich, tych innych, byłaby implozja.

— Nie mam nic przeciwko wielobóstwu — zauważyła Ilona. — Nie mam zamiaru prawić ci morałów, Lily. Mamy prawo adorować kilka bóstw jednocześnie. Ale przy swoich ciągotach do mężczyzn, jak chcesz zmusić Patricka do monoteizmu?

— Jest tak, jak już kiedyś powiedziałam: nie będzie miał innych bogiń przede mną! Nikt nie stawiałby tylu pytań, gdyby to mężczyzna miał podwójne lub potrójne życie.

— „Drugie biuro” — jak mówią w Afryce — powiedziała Syl— vana. — Lub *numero dos*, jak mówi się u nas, w Ameryce Łacińskiej.

— Masz rację — zgodziła się Diane. — Przestałyśmy być książką, jaką zastają otwartą na tej samej stronie, na której ją porzucili. Mężczyźni są bardzo zdziwieni, widząc, że przewracamy kartki dalej bez ich udziału!

— A ty przy którym rozdziale jesteś w twojej brazylijskiej powieści?

— W sprawach serca — w impasie. Czuję całkowitą blokadę. To samo zresztą w sprawie filmu.

Diane spotkał kolejny afront ze strony Anne Sibylle. Tym razem bardzo poważny. Po wykluczeniu Borysa jako muzyka i jej jako aktorki teraz próbowała pozbawić Diane autorstwa scenariusza. Kiedy poszły razem do Narodowego Centrum Kinematografii, aktorce przyszło do głowy otworzyć jedno z pięciu dossier przygotowanych przez producentkę. W ten sposób odkryła, że jej oryginalny skrypt został zastąpiony zupełnie innym, podpi-

sanym przez obcą osobę i Anne Sibylle. „Ten lepiej się czyta. Twój był zbyt intelektualny” — powiedziało to zero. W korytarzu omal nie doszło do morderstwa. Widząc stanowczą determinację i krwiożercze chęci Diane, producentka wycofała się ze swego „genialnego” pomysłu.

— To by ją zbyt drogo kosztowało — wyjaśniła Diane. — Złożyłam mój scenariusz w biurze ochrony praw autorskich.

Wśród tych wszystkich kłopotów pojawił się niespodziewanie promyk nadziei. Diane udało się w końcu odnaleźć telefonicznie Carlosa Delgadę, nieosiągalnego przez całą zimę. Rozmowa z nim była bardzo pokrzepiająca; reżyser miał jechać do Cannes, przedstawić na festiwalu swój ostatni film, a przedtem postanowił wstąpić do Paryża, aby podpisać kontrakty. A więc przynajmniej z tej strony coś zaczynało się dziać.

32

Czy to, co mnie spotkało, można było odczytać jako pośrednie wezwanie Carmeli? Jej ojciec, syn właściciela wielkiej palarni kawy — ten, który doprowadził do ruiny fabrykę mojego dziadka, a mego ojca zredukował do stanowiska zwykłego robotnika w swoim kwitnym przedsiębiorstwie — złożył mi interesującą propozycję. Zainteresowany mecenatem ten neapolitański dyrektor generalny wpadł na pomysł zaproszenia artystów do „ozdobienia” filiżanek jakimś markowym znakiem. Kawa „Qahwa” byłaby w ten sposób związana ze sztuką. Zgromadził już nazwiska znanych artystów, gotowych oddać mu swój talent, a teraz zdecydował dołączyć do serii „Wielkich Mistrzów” następną kolekcję, nazwaną „Młodymi Talentami”. Młodzi bowiem mogli nadać jej całkiem nowy wyraz, mniej tradycyjny. Ja, Ottavio, także zostałem zaproszony i miałem stanowić część tego szacownego grona, zgromadzonego wokół „Qahwa Collection”. Poczuję się niezwykle zaszczycony. Przecież byłem tylko mało znaczącym studentem ostatniego roku akademii, a od siedmiu miesięcy moja artystyczna praktyka ograniczała się do rysowania szpiczastych kapeluszy lub serc przebitych strzałą na czekoladowej pianie *cappuccino*. Biała porcelana filiżanki do kawy otwie-

rała przede mną nieoczekiwane perspektywy. Tym bardziej że ojciec Carmeli podpisał lukratywny kontrakt z największym dystrybutorem napojów na terytorium Francji. Dystrybutor zobowiązał się do wyłącznego używania filiżanek z napisem „Qahwa” we wszystkich zaopatrywanych przez siebie kawiarniach. Musiałem tylko stworzyć symboliczny rysunek, dzięki któremu mógłbym być znany w każdym zakątku Francji. Pływałem w pianie! Między dwoma *espresso* szkicowałem w notatniku koloru kawy projekt za projektem.

Wahałem się między dwoma pomysłami. Pierwszy z nich przedstawiał stylizowane ziarno kawy, erotyczną formę, zmysłowo soczystą i pękniętą, narysowaną techniką pointylistyczną, gdzie każdy punkt byłby miniaturowym ziarenkiem. Drugi obrazował serię klisz z markami różnych kaw, które niegdyś sfotografowałem. Figury pół abstrakcyjne, pół symboliczne, które sływałyby po wewnętrznej stronie filiżanki, czarowały mnie swoim przypadkowym „splywem” bardziej niż możliwością ich tajemniczej interpretacji, do której miały prowokować. Nie ujmując w niczym mistrzowskim umiejętnościom Ilony.

Do kawiarni weszła Ilona i oznajmiła SyWanie — która dopiero co wróciła z Wiednia — że jedzie tam z córkami na długi wielkanocny weekend.

— Musisz koniecznie spotkać się z Salimem pod jakimkolwiek pretekstem — nalegała pianistka.

— Dlaczego nie? Mogłabym zadzwonić w twoim imieniu i poprosić, żeby mi wskazał najbardziej typowe kawiarnie w mieście.

— Doskonale. I skierujesz rozmowę na mnie. Mam zaufanie do twojej przenikliwości. Koniecznie muszę wiedzieć, co nosi w sercu mój „pustynny mężczyzna”!

Sylvana opowiedziała o swoim ostatnim pobycie w stolicy Austrii. Tym razem bez pretekstu turystycznego i zawodowego. Pojechała tam wyłącznie po to, aby wyrócić do góry nogami ustabilizowane życie Nubijczyka. Tak jak on to zrobił z jej partyturami! *You've put my life upside down* — wyznała mu pierwszego wieczoru w kawiarni Sachera. *What do you mean?* Co przez to rozumie? Zrobiła mu małe przedstawienie, zapraszając do walca obsłu-

gujących kelnerów — przedstawienie w wiedeńskiej świątyni, najbardziej znanej kawiarni miasta! „Oto co miałam na myśli!”. Choć mało przyzwyczajony do południowoamerykańskiej żywiołowości, wybuchnął gromkim śmiechem, a cała sala, początkowo zaskoczona tak niespodziewanym spektaklem, nagrodziła ją gorącymi brawami.

— Mam nadzieję, że to samo zrobiłaś u niego — powiedziała Lily.

— Gorzej! A najzabawniejsze jest to, że nasze erotyczne ceremonie zawsze są poprzedzone rytualnym prysznicem, jakbyśmy z góry chcieli zmyć wszystkie grzechy, które zaraz potem wspólnie popełniamy — zaśmiała się Sylvana.

Słuchając ich opowieści o porzuceniach, zerwaniach, powrotach i rozterkach, nie mogłem się powstrzymać od wyobrażania sobie, co mówię — od fizycznego odczuwania ich nieodparcie pociągającego łona, które wchłania, wsysa w siebie męski członek, by zaprowadzić go do najbardziej niedostępnych głębokości.

— W miłości — rzekła Sylvana spokojnym głosem — nawet jeśli mówi się różnymi językami, to i tak osiąga się doskonałą syntonię — jak powiada rzymianin Lily. Nie ma bardziej szczerzego języka niż porozumienie dwóch ciał dzielących ten sam fragment wieczności.

— Ekstaza, *ekstasis*, wyjdźcie z samego siebie, by objąć duszę kochanka w jej własnym bycie... — wyrecytowała Diane.

— Sądzę, że w tej sytuacji nie potrzebujesz Maty Hari. Sama już wszystko wiesz — zauważyła Ilona.

— To prawda. Nie mam żadnej wątpliwości, że się nawzajem bardzo pociągamy. Wystarczy, że poczuję delikatną siłę jego rąk na brzuchu, moc jego ramion, szorstkość owłosienia, aksamit skóry, masę jego ciała, lekkość torsu leżącego na mnie, jego pupę, zapach, który tak świetnie pasuje do moich perfum — a wszystkie niepokoje znikają. Podobnie jest z nim. Odwracam jeden z jego palców o niezwyklej giętkości, stwierdzam, że ma artystyczny kciuk... i natychmiast inny kciuk podnosi się majestatycznie. Moja pierś muśnie go niechcący — i zaraz odpowiada na wezwanie moich *tits*, moich „cycuszków”, które stają się uduchowione dzięki jego dotykowi. Pieszczę mu kark, a on nabiera ochoty na kompletny masaż, dokładny, po-

głębiony, od koniuszków palców stóp po czubek głowy. Zwykły widok moich pośladek wprawia go w zachwyt: *Beautiful, nice, sexy!* Kiedy bierze moją rękę, zawsze zaprowadzi mnie tam, dokąd chce.

— Jesteś do mnie podobna — westchnęła Lily. — Lubisz tylko wysoką falę...

— „Wiesz, co mi się w tobie najbardziej podoba?” — spytałam go nocą podczas naszego ostatniego spotkania. — „Wszystko”.

— To co jeszcze chcesz wiedzieć? — zaniepokoiła się Ilona.

No właśnie! Kilka chmur zawisło nad światem nadwrażliwej pianistki. Niepokoiły ją nagle i tajemnicze nieobecności Salima, jego uparte milczenie, zamykanie się w sobie. Zbyt wiele rzeczy ma na głowie — rozgrzeszał się. „A jakie miejsce dla mnie rezerwujesz?” — zapytała. Nie odpowiedział. Nie był rozmowny poza łóżkiem, gdzie słowa płynęły wartkim strumieniem. Twarz mu pociemniała, jakby przeszły przez nią mroczne myśli. „O czym myślisz, kiedy myślisz o mnie?” — nalegała. Musiała wrywać z niego słowa kleszczami: *Your face, your hands, your arse...* Jej twarz, ręce, tyłek. Nie chciał iść dalej. *Your voice, your words* — dodał. A jednak! Jej głos i słowa. I tu się zatrzymał. Ostrożność, oschłość czy skrytość? Sylvana wyjęła okulary, by odczytać napisane po niemiecku menu. Wydawał się zaskoczony. Przygwoździła go słowami: „Potrzebuję ich, aby czytać w twoich myślach”. Innym powodem do niepokoju było to, że po raz kolejny musiał zniknąć na parę godzin w biurze, i to podczas weekendu. Co aż tak pilnego musiał załatwić, żeby kraść cenny czas jej nieczęstych pobytów w Wiedniu? To nie wszystko. Spacerowali, trzymając się za ręce, a gdy zbliżali się do kawiarnianego ogródka, nagle musiał podrapać się po głowie. Bał się kompromitacji, że jest z nią tak blisko? *Vienna is a very conservative town* — przypomniała sobie tę jego uwagę. Ale aż do tego stopnia? I jeszcze jedno: Poszli do kina. Po filmie poczekali, aż sala opustoszeje. Na ulicy rozejrzał się w ciemności na prawo i lewo, jakby się chciał upewnić, że droga jest wolna. Inna kobieta? Sylvana była jednak przekonana, że ona jest tą jedyną.

— No więc co mogę zrobić? — ponaglała Ilona.

— Sama nie wiem. Czasami jednak ogarnia mnie dziwne uczucie. Wtedy po filmie wracaliśmy do niego i przechodziliśmy obok japońskiego sklepu.

Zatrzymał się i długo przyglądał grubemu materacowi. *My next bed* — powiedział. Jego przyszłe łóżko, łóżko pustelnika? Zażartowałam: „Trzeba będzie przedtem to przetestować”. *Its a lonely man bed* — odrzekł. Samotne łóżko? Chce zostać fundamentalistą? Z tego, co wiem, nie należy do gatunku: *no alcohol, no smoking, no sex*. Śmieję się, jak zawsze, gdy się boję lub jestem wściekła, i oświadczam: „A ja wolę łóżka jaśminowe”.

Pod skandynawską kołdrą w mieszkaniu Nubijczyka zadała mu to samo pytanie, co poprzedniego wieczoru: „Wiesz, co najbardziej w tobie lubię?”. *The whole thing* — odpowiedział, pewny siebie. „A szczególnie?”. Zrobił minę, jakby chciał się zachnąć na samą myśl, że wczoraj lubiła wszystko, a dzisiaj tylko jedną rzecz. Jaka?! *You love to fuck me* — oznajmiła mu prosto w oczy. Wyglądał na zaszokowanego: *Sorry?* Przynajmniej tego była pewna. Lubił się z nią kochać. Coś ją jednak gnębiło. Ale co? Intuicja podpowiadała rozagę. Kiedy wziął ją w środku nocy, z trudem powstrzymała się od szlochu.

Ilona zaproponowała jej tarota na odprężenie. Sylvana się zgodziła.

— Ten człowiek jest skrepowany — oznajmiła rudowłosa wyrocznia. — Znalazł się w zamkniętym kręgu. Ma zajęty umysł. Musi wykonać jakieś zadanie, które go przerasta. Dla ojczyzny? Religii? Ideologii?

— Lepsze to niż inna kobieta — skomentowała Lily.

— Wiem, że marzy o tym, by kiedyś powrócić do kraju — potwierdziła Sylvana. — Ma ambicje polityczne. Sarkastycznym tonem powiedział mi kiedyś coś takiego: „Nic tam się nie uda, jeśli mnie nie będzie”.

— Jest podporządkowany wyższemu celowi — kontynuowała Pytia — jakiemuś ważnemu projektowi, który rządzi jego życiem. Jest więźniem systemu, który go blokuje.

— On niczemu nie ulega — zauważyła Sylvana. — Jego powołaniem, świadomym wyborem jest praca.

— Chyba to sprawa bardziej skomplikowana. Tak jakby rozkaz został mu narzucony siłą. Widzę przedstawicieli różnych religii wokół twojego Nubijczyka. Jest to bez wątpienia jedno ze źródeł jego dziwnego postępowania. To, czego nauczo go na Wschodzie, nie ma żadnego zastosowania na Zachodzie. Wszystkie punkty orientacyjne mu się pomieszały. Doskonale

dostosował się do obcej sobie kultury. Ale przejął jedynie jej formy. W głębi pozostał wierny swojemu wychowaniu. Odnoszę wrażenie, że gwałtownie odrzuca cechy kobiece, które są w nim i wokół niego. Traktuje je jak hamulec własnego rozwoju.

Złożyła karty.

— Żyj chwilą, Sylvano. Boję się, że nie zbudujesz z tym mężczyzną niczego trwałego.

Pianistka nieoczekiwanie złagodniała.

— Jestem w nim bardzo zakochana. Podoba mi się. Cenię go, szanuję i respektuję. Jednak za bardzo kocham siebie, aby akceptować to, że on nie kocha mnie dostatecznie głęboko. I jeśli nawet jego uczucia, choć ukryte, są równie mocne jak moje, a może nawet silniejsze, nie sądzę, by mógł mi dać wszystko, czego oczekuję od mężczyzny. Być może życie za bardzo mnie rozpieszczało, ale potrzeba mi czyjejś uwagi, obecności, dzielenia się wszystkim, opieki i czułości. Często sobie mówię: Salim to mężczyzna nie dla ciebie — jest za młody, zbyt zajęty, zbyt wolny, zbyt niezależny. Zostaw go!

— Ci wszyscy dynamiczni „wojownicy” robią wrażenie bardzo dojrzałych — zauważyła Lily. — Ale gdy tylko troszkę po— skrobiesz, odkryjesz pod spodem duże dziecko.

— Nie interesuje mnie kochanek — wyznała Sylvana. — Mogę ich mieć tylu, ilu zechcę. Wymagam dużo więcej.

— Na razie nie rób żadnego kroku — radziła Ilona. — Czasem trudno odróżnić, kiedy warto się zaangażować, a kiedy należy zrezygnować. Najważniejsze jest to, by umieć wybrać drogę najmniejszego cierpienia, bez względu na to, dokąd prowadzi.

33

Powrócił czas zimnych kaw. Przyjemnością było uczenie paryskiej klienteli, a zwłaszcza moich czterech ulubienic, jaka jest różnica między kawą schłodzoną — przygotowywaną w maszynie do lodów i podawaną w

czarkach z bitą śmietaną, kawą mrożoną — prosto z miksera i serwowaną w kieliszkach do szampana, i wreszcie kawą na zimno — przyrządzaną w *shakerze* i pitą ze specjalnych kieliszków; ich przezroczyść pięknie harmonizowała z wiosennymi sukienkami czterech Gracji, a chłód napoju, połączony z delikatną goryczą, pobudzał je do zwierzeń. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Diane przybyła opromieniona aureolą sukcesu. Sztuka *Sklepik z kawą* Goldoniego, której premiera odbyła się dwa dni temu, okazała się prawdziwym tryumfem. Zarezerwowałem sobie dobre miejsce. Przypadek sprawił, że siedziałem w tym samym rzędzie co Sylvana, która zjawiała się ze swoją uczennicą Lisą, tuż za Lily i Patrickiem. Nie było tylko Ilony, która przebywała z córkami w Wiedniu. Żadna z nich, nawet figlarka, która dokładnie mi się przyjrzała przed propozycją wzięcia udziału w *castingu*, nie rozpoznała w młodym człowieku w garniturze i krawacie barmana spod antresoli. Sprawdziło się przysłowie: „Jak cię widzą, tak cię piszą”. Tym lepiej. Mogłem obserwować ich przyjacielski entuzjazm i jednocześnie podziwiać talent aktorki na scenie. Czyżby szczególna zażyłość, jaką odczuwałem każdego piątkowego ranka, czy może wczesne, niespodziewane nadejście wiosny sprawiały, że byłem w prawdziwej euforii?

Wszystkie głowy w „Cappuccino” odwróciły się w kierunku wchodzącej Diane, bardziej niż kiedykolwiek przypominającej obrazy Rafaela. Sukces wyraźnie dodał jej skrzydeł. Po ostatnich kłopotach związanych z produkcją filmu naprawdę tego potrzebowała. Sprawy zdawały się szczęśliwie układać. Zapowiadany przyjazd Delgady całkiem odmienił Anne Sibylle, która niespodziewanie poszła na wszelkie ustępstwa: Borys miał komponować muzykę, Diane zagrać główną rolę, a w oryginalnym scenariuszu miały się znaleźć tylko niewielkie poprawki. Wola reżysera była bezdyskusyjnym prawem.

Właśnie dzieliła się dobrymi wieściami, kiedy nadeszła Ilona. Sylvana wstrzymała oddech.

— I co, widziałaś go?

Ukrainka opisała swoje spotkanie z Nubijczykiem. W rozmowie telefonicznej przedstawiła się jako najlepsza przyjaciółka Sylvany, poszukująca

dobrych lokali wiedeńskich. Opisała się: „Jestem ruda. A pan?”. *I'm not a red head* — odpowiedział Salim. — *I'm black. Dirty black.* Czarnuch! Nie brakowało mu poczucia humoru! „Powiedzmy: *cappuccino*” — zażartowała.

— W kawiarni Landmanna, gdzie mieliśmy się spotkać, rozpoznałam go natychmiast, zanim zbliżył się do naszego stolika. Od razu zapytał, co u ciebie słychać. *She is a very nice lady* — oznajmił z przekonaniem. Podbiłam licytację: „Zewnętrznie piękna i ma piękne wnętrze. Ma pan dużo szczęścia”. Potwierdził: *Sure! She is so gentle, so feminine.* Jestem dobrą koleżanką, więc dodaję: „I jaka utalentowana! Wyjątkowa wirtuozeria. Słyszał pan, jak gra?”.

— Mam nadzieję, że nie posunęłaś się zbyt daleko — zaniepokoiła się Sylvana. — Patetyczne pochwały raczej ujmują, niż dodają wartości, budzą nieufność: Dlaczego tak się kogoś zachwala? Czy to jakaś promocja jak w supermarkecie? O jaką korzyść tu chodzi?

— Nie obawiaj się. Zawsze, gdy rozmowa schodziła na twój temat, miły uśmiech gościł na twarzy *cappuccino*.

Nie zadając mu pytania wprost: „Jakie są pańskie zamiary, młody człowieku?”, Ilona spróbowała dyskretnie go wybadać. Robił uniki. *A part time love* — tak określił ten związek. Miłość na pół etatu. On mieszkał w Wiedniu, ona — w Paryżu, którego nie zamierzała opuścić. Ocenił: *Good like that* — tak jest dobrze. „Fortepiany marki Stanway też podróżują” — zauważyła przyjaciółka. *What about Laurent?* Zainteresowanie byłym narzeczonym mogłoby sugerować, że to on stanowi największą przeszkodę w ich dalszym związku. Sylvana mówiła, że z nim skończyła, ale wierzył jej tylko połowicznie. „A w czym problem?” — zapytała Ilona. — „Ma pan jakieś plany związane z Sylvaną?”. *What kind of plans?* Ilona postanowiła drażnić temat: „Nie wiem. Można powiedzieć, parafrazując znane przysłowie: *mężczyzna strzela, kobieta kule nosi.* Sylvana zawsze lubiła sytuacje, w których mężczyzna pozostaje prawdziwym mężczyzną”. To mu się bardzo podobało. Zwierzył się, że jego matka, wielka tradycjonalistka, ciągle wywierała na niego presję, by ożenił się z dziewczyną z własnego kręgu kulturowego, którą miałby prawo zobaczyć dopiero w dniu ślubu! Zaufanie za zaufanie: Ilona wyjawiała, że w Paryżu także trwają naciski. I że Laurent nie jest je-

dynym mężczyzną, który kręci się wokół pięknej Sylvany. *Oh, my God!* — nie mógł powstrzymać okrzyku.

— Brawo! — pochwaliła Lily.

Sylvana była usatysfakcjonowana tym sprawozdaniem.

— Jesteś prawdziwą przyjaciółką, Ilono. Wynagrodzę ci to.

— Tylko nie Gaetanem! Nie przestaje bombardować mnie swoimi lamentami. „Nic nie rozumiem. Co się stało?” — jęczy. „To się stało, że popełnił pan fatalną pomyłkę!”. „Ale jaką?”.

— On też niczego nie zrozumiał z tego filmu — zauważyła Lily.

— Odpowiedziałam mu: „Nie powiedział mi pan, że byłam tylko wisienką na ciastku, które ma pan zwyczaj zjadać w Saint—Tropez”.

— Ciastko, trzymane w lodówce od dwudziestu lat! Musi być bardzo apetyczne! — zaśmiała się Lily.

— Po prostu się łudziłam, choć sprawy te widziałam inaczej. On zarecza, że naprawdę o mnie marzy, że jestem najbardziej fascynującą osobą, jaką kiedykolwiek spotkał: z wyglądu — nastolatka, z charakteru *femme fatale*. Zapewnia, że ogromnie mu na mnie zależy i mimo wszystko jest pełen nadziei. Chciałam wystawić go na próbę: „Więc co pan proponuje?”. Mój włókiennik schował się do motka bawełny. Precyzuję: „Zmieniłby pan coś w swoim życiu?”. Opatula się jeszcze szczerzej: „Co zmienić?”. „Na przykład czy jest pan gotów wszystko dla mnie rzucić?”. Aż się skulił. Broni się: „Nie mam słowiańskiego temperamentu”. Odparowuję: „A ja— tak”. „Nie mam osiemnastu lat” — przypomina. „A ja mam! I będę je miała przez całe życie. To się nie mieści w pańskim rozkładzie jazdy” — ucinam rozmowę.

Nazajutrz Ilona otrzymała list, w którym pan dyrektor proponował jej „powrót do ich stosunków sprzed Czarnobyła”. Skok o piętnaście lat do tyłu! Rzeczywiście, wyjątkowo postępowy mężczyzna! Chciał powrócić do lat, kiedy Ilona była pięknym, rudym snem; słowiańską ułudą; niedostępnym przeznaczeniem; zakazaną przygodą; świeżą wisienką na zjełczałym ciastku. Karty jej nie oszukały: ich związek nie stał na solidnych fundamentach. Czy można coś budować na ruchomych piaskach? Zaharowany dyrektor generalny wyobraził sobie ucieczkę z jakąś Matą Hari, a ona okazała się Dzielną Matką. A rudowłosa i czarnooka profesorka rosyjskiego sądziła, że

odpocznie przy boku dojrzałego i solidnego mężczyzny, który w rzeczywistości był niedojrzałym i niepewnym „człowieczkiem”. Mężczyzną chwiejnym, robiącym krok do przodu i krok do tyłu, niszczącym i odbudowującym to, co zburzył.

— Czy on przynajmniej wie, czego chce, ten twój włókien— nik? Przez piętnaście lat dreptał w miejscu: chcę — nie chcę. Potem nagle startuje, rozpędza się do pięciuset kilometrów na godzinę, domagając się wszystkiego, a nic w zamian nie dając. A kiedy stawiasz go przed wyborem, ostro hamuje i odmawia — podsumowała Lily.

— Zwycięzcy nigdy nie zdradzają — skomentowała Sylvana. — A zdrajcy nigdy nie wygrywają.

Żeby nie było wątpliwości, Ilona dobitnie powiedziała dyrektorowi: „Niech pan wraca, do czego chce. Jeśli o mnie chodzi, ja idę do przodu”.

34

Cudowne diablance! Od kiedy ofiarowałem im miniaturki na śmietance i kakao, co przyjęły z takim entuzjazmem, że koniecznie chciały poznać „artystę”, no więc od tamtej pory nie akceptowały *cappuccino* ani *macchiato* bez specjalnej, indywidualnej ozdoby. Kiedy o tym zapomniałem, odsyłały zamówienie, domagając się ozdób. A jeśli udawało mi się dla jednej z nich stworzyć coś bardziej udanego, inne natychmiast zaczynały się dąsać. Bezceremonialnie komentowały moje „dzieło”, rozkapryszone udawały, że są zawiedzione. Tym bardziej więc byłem zaskoczony uwagą Lily:

— Wszystko, czego ten chłopiec się dotknie, staje się piękniejsze. Muszę o tym pomyśleć; zaproszę go na *casting* w przyszłym tygodniu.

Ręce zaczęły mi drżeć: spod trzonka łyżeczki wychodziły nieporadne gryzmoły. Paraliżowała mnie sama myśl o takiej próbie, postanowiłem więc szybko o tym zapomnieć. Wylałem nieudane kawy i przygotowałem następne. Co ja bym zrobił, byle tylko je zadowolić!

Były coraz bardziej wymagające, a ja traktowałem to jako „kawową edukację” francuskiego klienta, który w końcu zaczął doceniać robustę o

lekkim smaku goryczy, wykrzywającej usta i palącej podniebienie. Galijscy amatorzy boskiego nektaru powoli odkrywali także delikatność i wykwintność arabiki. „Mała czarna” wyszła w końcu z nory, do której została wepchnięta, kusząc subtelnymi aromatami, przechodziła od zwyczajności do wyrafinowania, od prozy do poezji, od profanacji do świętości. Właśnie o to chodziło: Francuz zaczynał kochać kawę.

A ja? Wariowałem na punkcie moich Francuzek. Początkowo ich nie znosiłem, bałem się, uciekałem, aż w końcu mnie zauroczyły. Wszystkie cztery. Powoli i całkowicie. Po co miałem wybierać? Kochałem je wszystkie miłością jednakową, a przecież różną. Miłością nieodwzajemnioną. Nie żądałem więcej. Bezwiednie dawały mi coś zupełnie bezcennego; ich życie było dostatecznie bogate w mężczyzn i wydarzenia. Zdawałem sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy: nigdy nawet nie spojrzały w dół przez balustradę antresoli.

Kiedy spostrzegłem przechodzącą Sylvanę, spokojną, z pogodnym wyrazem twarzy, od razu wiedziałem, że zaszła jakaś zmiana. I nie pomyliłem się; świadczył o tym początek rozmowy.

— Odnoszę wrażenie, że zaczynam robić postępy w życiu osobistym — oznajmiła.

— W jakim sensie? — spytała Lily.

— Dojrzewam dzięki Salimowi — zwierzyła się. — Zanim go spotkałam, wiedziałam, że kiedy się jest z mężczyzną, nie warto wzbudzać w nim wyrzutów sumienia; nie dają efektu skargi, narzekania czy nawet szantaż. Więcej korzyści przynosi dawanie szczęścia. Jest niczym manna, która karmi ich uczucia i — wiercie mi — są za to wdzięczni! Teraz wiem także, że nie warto się dreczyć.

Co takiego mogło ją spotkać, że złagodniała? Prawdopodobnie był to wynik jej własnych przemyśleń. Ani karty Ilony, ani milczenie Salima nie dawały powodów do takiej zmiany.

— Żeby nie wiem co zrobiła, nie dopasuję tego mężczyzny do moich schematów. Jesteśmy parą mieszaną.

— Wszystkie pary są mieszane — zauważyła Ilona. — Nie poślubia się sobowtóra; kiedy mężczyzna i kobieta chcą być razem, ich związek jest mieszany.

— Zaczynam akceptować Salima takim, jaki jest — kontynuowała Sylvana. — Respektuję jego odmienność. Uczę się odrzucać zbędny balast i brać to, co najlepsze. A przede wszystkim uczę się zaufania. To niesłychane, jak lepiej się z tym czuję!

— Zaufania do siebie czy do niego? — chciała upewnić się Lily.

— Do niego! Nawet jeśli nasz związek jest nierówny: zdarzają się w nim wstrząsy i przerwy, niezapomniane chwile i martwa cisza — to jednak istnieje. Przeżywam w euforii każde spotkanie i nie czepiam się myśli o dalszym ciągu, o czymś solidnym i długotrwałym, nawet jeśli nasz romans nie rozwija się jak monotonna arabska melodia, cykliczna, powtarzająca się, bez początku i końca, ale polega na frazowaniu, z akcentami i przerwami. W tym romansie jest wszystko: *largo* i *vivace*, *crescendo* i *decrescendo*. Tak udało nam się przeżyć sześć pięknych miesięcy. Narodziła się więź. A fakt, że on nie wyraża swoich uczuć, wcale nie oznacza, że ich nie ma. Wywieramy na siebie pewien wpływ, a gwałtowność naszych emocji nie pozwala mi w niego wątpić.

— Twoje słowa są złotem — orzekła Ilona. — Kiedy tracisz grunt pod nogami, powtarzaj sobie, że jesteś najbardziej melodyjnym prezentem, o jakim mężczyzna może marzyć!

— Jesteś cudowna — potwierdziła Lily. — To zdanie wyhaftuj sobie na poduszce i czytaj, kiedy zalewasz ją łzami: „Jestem cudowna!”.

— I najbardziej kochana z nas czterech — rozmarzyła się Diane.

— Jak dobrze mieć przyjaciółki — powiedziała Sylvana. — Dzięki wam powoli odzyskuję zaufanie i udaje mi się słyszeć mój wewnętrzny kamerton. To wasza zasługa, że dobrze gram. A gdyby między mną a Salimem miał się pojawić dysonans...

— Przestałabyś czuć się winna za fałszywą nutę i powiedziałabyś sobie, że to on nie ma dobrego słuchu.

— Doskonale! — pochwaliła Ilona.

— Znam miłość i wiem, że przychodzi i odchodzi. Moje serce jest otwarte. Oduczam się odmieniać czasownik „kochać” z punktu widzenia posiadacza i uczę się koniugacji prowadzącej do wolności. Jestem przekonana, że aby zdobyć miłość, nie można od niej za wiele oczekiwać. A tym bardziej żądać! Trzeba ją dawać, to się stokrotnie zwraca.

— Zazdroszczę ci twojej elastyczności — westchnęła Lily. — Jesteś jak kotka. A ja jestem raczej szczenięciem we wczesnym etapie rozwoju: miotam się... tupię z niecierpliwości — kłębek nerwów. Pełne zaufanie to nie dla mnie; jeszcze ciągle jestem zlepkiem nakazów i zakazów.

Uprzedzając prośbę Lily, Ilona wyciągnęła karty.

— Walet pikowy: Aldo, twój wzdychający homoseksualista; walet karowy: Hans, twój były mąż; walet trefl: Laurent, były narzeczony Sylvany; walet kier: Aleksander, wytwór twojej wyobraźni. Czy kogoś pominęłam? Flavio — flirt z samolotu — dla niego weźmiemy króla trefl. Dla księcia Jafarra — króla karo. Jest ktoś jeszcze?

— Pan XXL, „Przyszły Niedaleki” — król kier — zaproponowała Lily.

— Został mi jeszcze tylko król pikowy. To była karta naszego biednego Igora. Nie pozostanie zbyt długo wolna.

— Johnstone! Zapomniałaś o Don Juanie domu mody!

— No to mamy komplet. Błagam cię, żadnych dodatkowych pretendentów! Jeśli posuniesz się dalej, będę musiała ich eliminować albo kupić drugą talię. Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło.

— Lily i ośmiu krasnoludków!

— Lily i jej wyspy skarbów!

Figlarka oznajmiła, że zamiast Giganta z *Wyspy skarbów*, skrzyń złota, rzadkich pereł, zadowolilaby się kolekcjonowaniem karłów, wysepek, szpargałów, ostryg...

— Paryżanin, rzymianin, Słowianin, ismailita, Prusak, Burgundczyk, Amerykanin, nie licząc pięknego nieznajomego. Twoje życie to jak atlas geograficzny! — wykrzyknęła Diane.

— Zawsze, kiedy oglądam prognozę pogody — śmiała się Lily — instynktownie notuję pogodę w Paryżu, Rzymie, Bratysławie, Ismailii, Berli-

nie, Bonn i Atlancie. Czuję się jak w podróży. To samo robi moja mama. Sprawdza pogodę w miastach, w których mieszkają jej dzieci.

— Zadzwońię do twojej mamy, żeby porozmawiać o pogodzie — żartowała Sylvana.

— Odrobina przesytu nikomu nie zaszkodzi. Przynajmniej w twoim przypadku: podaż jest większa niż popyt — rozmarzyła się Diane.

— Ciągle jeszcze marzę, że ten, którego spotkam, da mi to, na co od dawna czekam. A że wciąż odczuwam głód, skubię coś na prawo i lewo. Czego nie znajduję u jednego, biorę od drugiego. Jeden facet mnie rozśmiesza, inny przyprawia o łzy... Jakiś mój były, z którym mogłabym znów spróbować, i inny, który przypomina, dokąd nie należy się posunąć...

— Według Demostenesa mężczyzna potrzebuje żony do dzieci, konkubiny do rozmowy i kurtyzany do przyjemności — przypomniała Ilona. — Niewiele musi mieć do szczęścia, jeśli popatrzymy na naszą drogą Lily.

— Znam wschodnie powiedzenie, które obala słynną trój— dzielność twojego greckiego mówcy — włączyła się Sylvana. — Oto ono: „Jeśli chcesz być mężczyzną szlachetnym, o wolnym sercu i otwartych rękach — pozostań kawalerem. Jeśli nie możesz — weź tylko jedną żonę. Bo nawet jedna jedyna kobieta może zadowolić dwie armie”. To bardziej pasuje do naszej pożeraczki męskich serc.

— Pewnej nocy, kiedy nie mogłam usnąć, zaczęłam liczyć moich narzeczonych — powiedziała Lily.

— No i?

— Usnęłam przy dziewięćdziesiątym.

— Którym?!

— Dziewięćdziesiątym!

— Co? Dziewięćdziesięciu narzeczonych?!

— Przy roku dziewięćdziesiątym, idiotki! Ale ciągle nie tracę nadziei, że pewnego dnia przeżyję coś w kosmicznym wymiarze, i to z jednym mężczyzną.

— Najbardziej zdumiewające jest u ciebie, Lily, to — uśmiechnęła się Ilona — że pomimo tylu narzeczonych, których miałaś i jeszcze będziesz miała, umrzesz jako dziewica!

Wyobraziłem sobie cały przebieg *castingu*. Prawdę mówiąc, przedefiniowanie przed przyglądającym się jury, które szacowało i oceniało cię niczym konia na wybiegu, nie bardzo mnie przerażało. Takie były w końcu reguły tej gry: naturalna selekcja nieprofesjonalnych modeli — często wypatrzonych na ulicy, w barze, nocnych klubach, boiskach — i zatrudnienie ich do pokazania tylko jednej kolekcji. Idąc na prezentację przed John—stone'em, projektantem mody męskiej w firmie Lily, obawiałem się jedynie tego, że jego ekipa zacznie brutalnie komentować szczegóły mojego wyglądu. Niepokoiło mnie spotkanie Lily poza „Cappuccino”, na nieznanym terenie, który był jej terenem. Ale i tę przeszkodę można by było pokonać, gdyby nie przyszła mi do głowy idiotyczna myśl: wróżby Ilony sugerowały, i to wiele razy, nieuniknione spotkanie Lily z przystojnym cudzoziemcem. Nagle zacząłem przypuszczać, że karty mówiły o mnie. Dałem się ponieść szaleństwu. Czyż nie byłem, jak on, związany „z podróżą i zmianą”? Czyż nie byłem „wysoki, szczupły i ciemnowłosy”? Przecież sama o mnie powiedziała: „długi, smukły, ciemny i chudy”. Czyż nie miałem „żywotności i gibkości kota”? Osobiście to stwierdziła pewnego dnia. „Zaczesane do góry włosy i enigmatyczne spojrzenie” — dodała. Czy byłem także „promiennym, ciepłym i jaśniejącym”? Kimś „w porządku”, „dowartościowującym”, mężczyzną, z którego byłaby „dumna” i który stałby się „plusem” w jej życiu? „Upieksza wszystko, czego się dotknie” — to były jej własne słowa. Czy byłem wystarczająco dobry, by sprowokować „znaczące spotkanie”, „szaleńczą pasję”, zdolną „wywrócić jej życie do góry nogami”? Potrafiłbym zapewnić jej „pełny rozwój, rozkwit i równowagę”? A przede wszystkim to słynne „I. P. F.” — Intensywną Przyjemność Fizyczną, tak ważną zdaniem Ilony?

Wbrew zdrowemu rozsądkowi i postanowieniu, by nie ingerować w niczyje życie, zacząłem wierzyć we własne urojenia. Oczekując na Ważny Dzień i Godzinę, żywiłem się szaleństwem i niezliczoną ilością *espresso ristrettissimo*, najmocniejszą kawą, jaka kiedykolwiek istniała. To tylko

pogłębiało moją „chudość” i dodawało „tajemniczości” moim oczom. Co się tyczy włosów — niepokój „podnosił” je w sposób zupełnie naturalny. Nawet stałem się ciemniejszy; byłem teraz tak „ciemny”, że mogłem straszyć ludzi. Włożyłem garnitur, który nosiłem w teatrze — nie miałem zresztą innego — i poszedłem zagrać o najwyższą stawkę. O karierę top modela. I o moje życie z Lily.

Kiedy przybyłem do domu mody, zdumiałem się, widząc własną sylwetkę w setce egzemplarzy, ale o wiele bardziej naturalną i na większym luzie. Poczułem się przesadnie wymuskany, skrepowany i sztuczny. Miałem ogromną ochotę uciec stamtąd jak najszybciej, ale nie mogłem się ruszyć, niczym w koszmarnym śnie. Kiedy przyszła na mnie kolej zaprezentowania się przed całym licznym jury, które miało zdecydować o mojej przyszłości, byłem jak w transie. Żadnych wspomnień poza... nieobecnością Lily, która, jak mi powiedziano, miała ważne spotkanie na mieście. I morderczym zdaniem Johnstone'a: „W sumie *okay*. Ale... odstające uszy. *Next!*”. Następny! Nawet gorycz ukochanej kawy nie była w stanie zniwelować gorzkiego smaku farsy nazywanej *castingiem*. A ja posunąłem się do tego, że na tej farsie snułem romantyczne zachcianki!

— Przykro mi, że się nie udało — powiedziała Lily, rzucając mi spojrzenie przez kontuar baru. — Będzie lepiej następnym razem... Diane, jak twoje spotkanie z mistrzem Delgado?

Rzuciła małe, grzeczne słówko w przejściu i już o mnie zapomniała.

Aktorka—scenarzystka szybowała nad ziemią. Brazylijski reżyser przyszedł do teatru zobaczyć ją w sztuce Goldoniego, a po spektaklu zjedli razem obiad, z Borysem, Anne Sibylle i jej kochasiem.

— Cóż to za wielki człowiek! — zachwycała się. — Co za siła uwodzenia pomimo podeszłego wieku! A jaka klasa! I co za geniusz! Obejrzałam ponownie wszystkie jego filmy z okresu „Cinema Novo”. Potęgą, precyzyjnością i świeżością. Dziwi mnie, że od tamtego czasu niczego nie nakręcił.

— Twój scenariusz pojawił się w samą porę — zauważyła Lily.

— Ma go w rękach już od roku. Jestem zaskoczona, że nie zareagował wcześniej. Co prawda był zajęty realizacją filmu, który przedstawi w Cannes w przyszłym tygodniu. Nie chciał o nim mówić, żeby nie pozbawić nas

niespodzianki. Wspomniał tylko, że jego temat, myśl przewodnia i styl nie mają nic wspólnego z naszym przedsięwzięciem. Chciałabym znów się z nim spotkać. Po zakończeniu festiwalu wpadnie do Paryża podpisywać kontrakty. Wszystko jest gotowe. Powiedział w sposób ciepły i szczerzy, że bardzo mu się podoba mój scenariusz, ten liryczny i szalony pomysł, by sięgnąć po postaci z *Czarnego Orfeusza* trzydzieści lat później i wymyślić współczesny *remake* mitu Orfeusza. Oceniał, że scenariusz jest dobry i ma bezsporne wartości, trzeba będzie tylko przejrzeć razem parę detali, aby go bardziej dopasować do brazylijskich realiów.

— Jedna sprawa ruszyła! Gratulacje! — powiedziała Lily. — Następny punkt programu: włókienniczy dyrektor Ilony.

— Och, sam utkał swój całun. Odznacza się rzadką cechą: nieszczęście robi z niego rzemieślnika.

Lektorka rosyjskiego opowiedziała, jak wyglądał *come back* Gaetana. Tak jak kiedyś pragnął cofnąć czas do epoki „sprzed Czarnobyła”, aby tam odnaleźć zagubioną niewinność ich związku, tak tym razem wystartował na piątym biegu, by zarzucić ją skargami, biadoleniem, wyrzutami i narzekaniami. „Dopóki nie będzie pan wolny, nie może pan niczego ode mnie wymagać” — powiedziała z naciskiem. I wtedy stracił panowanie nad kierownicą. Niegdyś brała go za kierowcę Formuły I, a teraz okazał się wyjątkowo marnym szoferem: bojaźliwym, wahającym się, ociężałym i roz-targnionym. Nie trzymał się drogi, mylił pedały i uderzał prosto w mur. Przyglądała mu się, przygnębionemu, budzącemu litość, trzymającemu głowę obiema rękami. Nawet głos mu się zmienił. Stał się płaczliwy i jęczący. Żałosny widok.

— Pomyślałam wtedy o nas, dziewczyny. Jak to jest, gdy gra się rolę *mater dolorosa* — powiedziała Ilona. — Jakby mi ktoś podał lustro. Z przerażeniem ujrzałam, jak wygląda ktoś, kto bez przerwy narzeka i jakie są tego efekty. Dobra lekcja do zapamiętania! Już nigdy więcej nie postawię się w takiej sytuacji!

Na początku idylli, kiedy przemysłowiec spytał Ilonę: „Dlaczego ja?” — była bardzo szczerą. Wierzyła w niego. Ale dzisiaj nie patrzyła tymi samymi oczami. Pan dyrektor, któremu wszystko szło jak z płatka, pokazał oblicze

porażki. Kiedyś widziała w nim filar, prosty i solidny — okazał się krzywy i słaby. Myślała, że spotkała niezłomną skałę, ale kamień był pokruszony. Jej olbrzym na glinianych nogach zwałił się na ziemię; prysł mit o rycerzu. Pozostały tylko nędzne resztki o powracającym falami zapachu stęchlizny.

— Pękł niczym balon — podsumowała Lily. — Do wyrzucenia na śmieci!

Rzeczywiście, nie warto już walczyć. Ilonę wszystko w nim drażniło. To, co sympatyczne i zabawne, zmieniło się w nudne i bez polotu, bardzo powierzchowne; postanowiła więc wszystko odrzucić. Mgliste pożądanie z początków znajomości przekształciło się w odrazę. Odkryła, że czerpał z niej energię, by samemu się chronić. Ten człowiek wysysał z niej soki, pustoszył. Jeszcze trochę, a przelałby na nią wszystkie swoje obsesje. Patrząc na Gaetana, coraz częściej myślała o Armelu. Pod pozorem sukcesów zawodowych włókiennik był takim samym niebezpiecznym nieudacznikiem jak jej były narzeczony. Podobnie nie akceptował ani siebie samego, ani innych. Równie niedojrzały emocjonalnie i intelektualnie. Jeszcze wiele musiał zrozumieć i odczuć. Żadnego z nich życie nie doświadczyło na tyle, by stali się dojrzałymi mężczyznami. Obydwaj rzucili się do zgubnego wyścigu: dla jednego były to groźące śmiercią reportaże, dla drugiego — świat wielkich interesów, pełen krwiożerczych rekinów. Zestarzeli się, zapominając dorosnąć.

— Udało mu się zniszczyć w zarodku naszą znajomość. Już mnie nie dostanie — powiedziała Ilona.

Nauczyła się odmawiać: „nie” na propozycję balu dla wyższych sfer w Monte Carlo; „nie” — na finał turnieju tenisowego mężczyzn; „nie” — na lożę dla VIP—ów w wyścigach samochodowych; „nie” — na ofertę tygodnia na Bahamach. Wydało jej się to prostackie. „W obecnej sytuacji nie byłoby to rozważne” — odpowiedziała mu. Chciał jej ofiarować wszystko, oprócz jedynej rzeczy, która ewentualnie mogłaby ją jeszcze poruszyć: całkowitej dyspozycyjności. Nie wyglądał jak ktoś, kto zrozumiał. „To mój sposób ochrony przed mężczyzną, który nie daje siebie całego, do końca” — wyjaśniała. Ale im bardziej się oddalała, tym bardziej chciał ją zatrzymać.

Im głębszy chciała wziąć oddech, tym bardziej ją przyciskał. „Nie tak uwodzi się kobietę” — rzuciła w niego jak kamieniem.

— Masochistę o wiele ciężiej znieść niż sadystę — zauważyła Ilona. — Najgorsze, że w kontaktach z Gaetanem sama nabieram takich cech.

— Masochistycznych?

— Nie, sadystycznych! On budzi we mnie okrucieństwo. Już go nie szanuję, ja go depczę.

Gaetan chciał się z nią spotkać, by „porozmawiać o przyszłości”. „Jak ją pani widzi?” — zadał jej pytanie, które było prośbą. Przejrzała go na wylot. „Tak jak pan — odparowała. — Zaplombowaną”. Po czym wstała i wyszła.

36

Zjawiła się pierwsza, z plikiem gazet pod pachą, i usiadła przy barze. Rozkładała czasopisma i nerwowo szukała stron poświęconych kulturze. W miarę jak czytała, wyraz jej twarzy wyraźnie się zmieniał. Po lekturze ostatniego dziennika rozgorączkowane podniecenie przeobraziło się w przygnębienie. Delikatna Diane gasła w oczach. W pewnej chwili pomyślałem, że spadnie ze stołka. Przez jakiś czas tkwiła osłupiała, z nieruchomym spojrzeniem i nie docierały do niej nalegania kelnerki.

— Proszę pani, chciałabym przyjąć zamówienie. Jak tak dalej pójdzie, zamieni się pani w żonę Lotka.

Niepoprawna Gracieuse!

— Bardzo przepraszam — ocknęła się Diane. — Poproszę kawę bezkofeinową. Bardzo słabą, z odtłuszczonym mlekiem. I bez cukru.

Ghost, duch, fantom kawy, czarna zjawa — bez tłuszczu, bez sacharozy i bez kofeiny! Jeszcze trochę bardziej *light* i można umrzeć. Nigdy dotąd nie przyjmowałem takiego zamówienia. Co jej się stało?

Wyjęła komórkę i wybrała numer.

— Proszę z Anne Sibylle. Tak, to bardzo pilne. To proszę jej przeszkodzić.

Upiła łyk czarnej zjawy.

— Dzień dobry, Anne Sibylle. Nie, nie w porządku. Właśnie przeczytałam recenzje. Pani także? Więc proszę mi powiedzieć, że się mylę! Że źle przeczytałam! Że nie ukradł mi tematu! Że to nie mój scenariusz zrealizował w Brazylii! Że to nie mój film pokazał w Cannes! Och, nie mogę w to uwierzyć! Jak on mógł!

Położyła telefon na barze. Oczy miała pełne łez. Kolejno zaczęły przychodzić przyjaciółki i poznawać bolesną prawdę. Prasa była niewinna, dziennikarze nic nie wiedzieli, pisząc, że ostatni film brazylijskiego reżysera opowiadał o micie Orfeusza we współczesnej Brazylii. Poza kilkoma, nieistotnymi zmianami, przedstawiony na festiwalu obraz był kopią scenariusza Diane. Bez żadnych skrupułów Carlos Delgada, jedna ze sław „Cinema Novo”, tropikalny geniusz, wielka postać, z zimną krwią ograbił ją z pomysłu „lirycznej i szalonej historii!”

Zdrada wyszła na jaw i wszystko stało się jasne. To dlatego podczas spotkania w Rio zachwycał się scenariuszem. Dlatego, mając w ręku doskonały temat, przez rok nie dawał znaku życia. Dlatego, będąc przejazdem w Paryżu, nie chciał nic powiedzieć o swoim ostatnim filmie. Dlatego wielokrotnie podkreślał, że jego najnowsze dzieło nie ma nic wspólnego z pomysłem Diane. I dlatego był taki czarujący, głęboko schował drapieżne pazury. Otumaniał oszukaną scenarzystkę potokiem mętnych słów, uwodził śpiewnym akcentem *carioca* i sprawił, że słyszała tylko to, co chciała od niego usłyszeć. Był otwarty, szczery i ugodowy. Godził się na wszystkie jej postulaty.

— Orfeusz i Eurydyka, a raczej Fio i Iris — takie były imiona twoich postaci? A tak naprawdę to ty i Borys, mityczna para tkwiąca w ziemskim piekle filmu! — skomentowała Lily.

Diane była kompletnie załamana. Nie rozumiała powodów, które popchnęły jej idola, mającego za sobą czterdzieści lat wspaniałej kariery, do kradzieży pomysłu debiutującej i nieznannej scenarzystki. Duma? Tylko on mógł się porwać na taki temat. Męski szowinizm? Brazylijczyk źle znosił myśl, że podzieli się sławą z delikatną kobietą z Paryża. Nacjonalizm? Piewca własnego kraju nie mógł dopuścić, by jakaś Francuzka zagrała tę rolę. Kompleks trzeciego świata? Obywatel slumsów Ameryki Południowej

nie miał skrupułu, przywłaszczając sobie pracę Europejki z bogatej dzielnicy Paryża.

— Odegrał rolę pięknej mulatki, która czaruje turystkę — w tym przypadku mnie — aby wyciągnąć od niej więcej forsy — analizowała rozgoryczona Diane. — To się zawsze udaje. Podły kretyn! W imię miłości, wrażliwości, magii, innymi słowy — wszystkiego, czego mu brak i czego szukał w tropikach. Jego kompleksy wobec sfrustrowanego bogatego Zachodu wywołują w nim wręcz pierwotne instynkty. Więc niby dlaczego miałby się mną krępować?

— Jesteś zbyt szlachetna — ucięła Sylvana. — Uważam, że twój idol stał się po prostu pusty. Nie ma żadnych pomysłów. Jest skończony, jałowy, pogrzebany, *out*. Od ilu lat nie nakręcił żadnego filmu? Ciekawa jestem, co o tym sądzi twój dawny chłopak z Brazylii.

— To doskonały pretekst, żeby do niego zadzwonić — zasugerowała Lily.

Przyjaciółkom udało się znaleźć odpowiednie słowa, by wyciągnąć Diane z przygnębienia. Potrzebowała paru chwil, by znów zacząć działać.

— Fantastyczny pomysł! — odezwała się zadziwiająco mocnym głosem.

Nie zastanawiając się, wyjęła komórkę, notes z numerami telefonów i wybrała czternaście cyfr. Miała wrażenie, że słyszy bicie jej serca. Ale niczego nie dała po sobie poznać. Była naprawdę doskonałą aktorką; jej głos zdawał się tańczyć w rytm bossa novy, mówiła ze zdumiewającą swobodą, używając słów francuskich i portugalskich. Nagrywała radosną wiadomość na sekretarce Jean Paula. Choć nie znam portugalskiego, to jednak mniej więcej zrozumiałem treść przekazu.

— *Bom—dia, Jean—Paul, aqui Diane. Todo bem? Miałaś okazję zobaczyć ostatni film Delgady? Może jeszcze go nie pokazano w Brazylii? Chciałabym, żebyś przeczytał mój scenariusz, ten, który zapomniałeś wziąć ze sobą, kiedy byłeś w Paryżu. Prześlij mi numer faksu, abym mogła wysłać ci go do Sao Paulo. Bardzo chcę poznać twoją opinię o scenariuszu i filmie. Obrigada. Ate logo. Ciao!*

Wydawała się sobą zachwycona: rozjaśniona od wewnątrz, bardziej *light* niż pita przez nią kawa.

Ilona sprowadziła ją na ziemię.

— Nie możesz tego tak zostawić. Broń się! Twój scenariusz był zastrzeżony. Można się odwołać. Powinnaś skonsultować się z adwokatem.

Sylvana oderwała kawałek serwetki i coś na nim zapisała.

— Idź tam i powołaj się na mnie. To specjalista od praw autorskich. Doskonały.

Diane uśmiechnęła się.

— Kierujesz mnie do tego brzydala?

— A co, wołałabyś ładną miernotę?

Aktorka pożegnała się i wyszła, pozostawiając przyjaciółkom dalsze komentarze „brazylijskiej afery”.

Uważaj — powiedziałem sobie. Właśnie wysłałem do ojca Carmeli dwa projekty rysunków na filiżanki kawy „Qahwa”. Czy powinienem zastrzec swój pomysł? Nie przeszło mi to przez myśl. A może tak należałoby zrobić, bo Neapol był stolicą złodziei. Ale przecież chodziło o ojca mojej narzeczonej. Nigdy nie zdradziłby przyszłego zięcia. Narzeczonej? Zięć? Co mi się nagle stało? Przyglądałem się gęstej i delikatnej śmietance w mojej filiżance. Zacząłem ją mieszać nie po to, by rozpuścić cukier, bo nigdy nie słodziłem, tylko by zobaczyć, jak łączy się z kawą, przylegając do brzegów naczynia. Carmela... Zaskoczył mnie nagły przypływ ogromnej tęsknoty: Carmeli— na, Melina, Lina, Linina, Nina, Ninetta, Netta, Nettina, Tina, Nana... Co się działo z moją maleńką? Dzikuska nie dawała znaku życia od czasu teatralnego wyjścia z „Cappuccino”. Cztery miesiące milczenia. Czyżby o mnie zapomniała? Wspomnienie jej ciemnych włosów, *marochino*, okalających bladość kremowej twarzy, uderzyło mnie jak biczem. Poczulem smak jej skóry — mleczny i czekoladowy. Znałem każdy milimetr od czoła po brodę, rozpoznałbym jej twarz z zamkniętymi oczami. Od brody do pasa miałem powierzchowne rozeznanie, dotykowe, zapamiętane z ostatniego rzędu ciemnego kina w Paryżu. Moje palce zachowały wspomnienie delikatności skóry i miękkości kształtów. Pozostał mi do odkrycia trzeci kontynent, zakazana strefa, miejsce wszelkiego niebezpieczeństwa. „Uwaga, ślub!” mogłem nieomal „przeczytać” ostrzeżenie na twarzy „najładniejszego tyłka na wydziale”. Jednak wiedziałem, że gdybym się odwa-

żył, nie zostałbym odrzucony. Poczułem nagle pożądanie. Mógłbym ją wziąć natychmiast, tutaj, nawet gdyby miała na sobie tę okropną spódnice—spodnie i leżała na pocztówce pisanej po przekątnej. Mogłaby znajdować się w przyczepie motocyklowej, walić w bębny — mogłaby robić wszystko, czego tak nie cierpiałem jeszcze rok temu. Dokonałem wstrząsającego odkrycia: bardzo za nią tęskniłem. Aż do bólu. Co mam zrobić, aby znów usłyszeć przysłówki „konkretnie”, wymawiany pełnym napięcia głosem? Zatelefonować, do diabła! To nie takie proste... Tym razem miała tysiące powodów, by rzucić słuchawkę. Poradzić się Ilony?

Nie bardzo wierzyłem przepowiedniom rudowłosej Kasan— dry, ale nie byłem nieczuły na ten rodzaj poetyki i mistyki, na tę ucieczkę od codzienności, która otwierała zmysły na inne światy. Jednak nigdy bym się nie ośmielił zwrócić do niej z podobną prośbą.

Ilona wyciągnęła właśnie karty tarota. Tym razem seans odbywał się przy barze, między dwiema filiżankami. Wróżba przeznaczona była dla Sylvany, która wyjęła notes, żeby wszystko zapisać.

— Masz ciężkie życie z tą twoją miłością, moja piękna! Musisz uważać. Są rzeczy, o których Salim ci nie mówi. To jego drugie życie, do którego nie masz dostępu. A jednocześnie jest tobą zaintrygowany, zadaje sobie pytanie, kim jesteś i czego tak naprawdę od niego chcesz. Czyżby ci nie ufał? To by tłumaczyło jego dystans, który przysparza ci cierpień. Wkrótce będzie musiał opuścić Wiedeń. Będzie miał nowe zajęcie. Zresztą już je ma od dawna. W jakiej dziedzinie? To nie jest zbyt jasne. Widzę wędrujące koperty. Uważaj! To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

Sylvana najwyraźniej nie chciała słyszeć o zachowaniu ostrożności.

— Nie to mnie interesuje, Ilono. Powiedz mi, jaki jest stan jego uczuć.

— Fantastyczny, pełna iluminacja! Ale będziesz przy nim odczuwać jakiś brak, pustkę. I to zawsze. Nie daje ci za wiele, prawdę mówiąc.

— Coś sobie obiecałam. Już się tak nie denerwuję, kiedy on milczy. Im mocniejsze są emocje, tym trudniej je wyrazić. Mówić o miłości to czasem znaczy umniejszyć ją, dopasować do schematu, wynaturzyć. Jego skoncentrowanie się na pracy, często bardzo intensywne, frustruje mnie mniej niż na początku. Jestem przekonana, że mężczyźni z trudem robią dwie rzeczy

jednocześnie. Umieją skupić się tylko na tym, co wymaga załatwienia w danej chwili. Nie potrafią się rozdzielić, podczas gdy my możemy się zwielokrotnić...

— Poczekaj, pozwól mi przyjrzeć się temu z bliska. Daj mi kartę. Jeszcze jedną i następną. Coś tu się poruszy. A nawet się zatrzęsie. Salim ma dla ciebie jakąś propozycję. I o tym ci powie, prawdopodobnie któregoś wieczoru. Nie bardzo mogę zgadnąć, o co chodzi. Ma to jakiś związek z domem. Jakaś kobieta stanie przeciwko jego projektowi. Matka? Rywalka? Ty sama?

— Na pewno nie ja! Jestem gotowa ulec mu we wszystkim. Wiem, że miłość jest czasem egoistyczna, niekiedy nieokiełznana, ale jednocześnie bywa wielkim zauroczeniem; jest zdobywaniem i uległością, egzaltacją i nieszczęściem; nadmiarem i brakiem.

Lily westchnęła.

— Gdybyś wiedziała, jak ja ci zazdroszcza, Sylvano! Pewnie, że nic nie jest proste. Ale przynajmniej poniósł cię ten mocny podmuch, który wszystkim porusza, ten huragan energii, ta erupcja wyzwalająca rozpalone fluidy, ten przyływ, który wszystko zmywa i pozwala powstać nowemu życiu.

— Zacząć *ab ovo*, rozpocząć od zera... — ucięła Ilona, wstając. — Ile wy macie lat, dziewczyny?

— Nie mamy wieku, jesteśmy *agless*, małolaty, dobrze o tym wiesz. Jak madonny — uśmiechnęła się Sylvana, regulując rachunek. — A ty?

— Czterdzieści plus VAT, policzcie sobie — odpowiedziała Ilona.

Lily rozprostowała swoje długie nogi i zarzuciła na ramię miniplecak.

— A ile dałybyście mi lat, gdybyście mnie nie znały?

— Nie damy ci więcej, i tak masz ich za dużo! — rzuciła Ilona najmłodszej z nich.

„Nazywam się Richard i jestem kloszardem. Nie chcę państwu zawracać głowy. Tylko pomóżcie mi wydobyć się z tego bagna”.

Bezdomni poeci nie biegali ulicami Marais. Ale ten wpadał od czasu do czasu do „Cappuccino”, deklamował swoje rymy i zasługiwał na dużą filiżankę dobrej kawy. „Moje dziewczyny”, mimo że zaabsorbowane najnowszymi sprawami, poświęciły kilka minut temu nagłemu wtargnięciu nędzy do ich bezpiecznego bytu, w którym tylko kłopoty sercowe zakłócały komfortową codzienność. Pozbyły się kilku banknotów, paru miłych uśmiechów, ciepłych słów i powróciły do swoich problemów.

Lily aż kipiała dzisiejszego ranka. Naładowana, mogła lada chwila wybuchnąć. Gdyby Gracieuse nieopatrznie ją musnęła przy podawaniu czterech *marocchini*, pewnie padłaby niczym porażona prądem. Co ją wprawiło w taki stan? Dowiedziałem się o tym jednocześnie z przyjaciółkami. Straciłem tylko parę szczegółów, bo jej opowieść gnała z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę.

Przyśpieszyła o dwadzieścia cztery godziny powrót z tunezyjskiej pustyni, gdzie na piaskowych wydmach fotografowano najnowszą kolekcję *pret—a—porter*.

— Jestem całkowicie zapiaszczona. Spałam w piasku, chodziłam po nim, łykałam go i oddychałam tym pyłem. Kiedy wcierałam krem w twarz, to za każdym razem miałam wrażenie, że robię sobie *lifting*. Nie musiałam stosować makijażu pod tym pustynnym bombardowaniem. Byłam bez przerwy „upudrowana” i wyglądałam jak *terakota*.

Myśl, że zaskoczy Patricka, wracając w sobotę, a nie w niedzielę, wprawiła ją w doskonały humor. Ją też czekała niespodzianka: nie zastała go w domu. Postanowiła więc pojechać do jego biura wczesnym popołudniem. Pod niewielkim, trzypiętrowym budynkiem wyciągnęła notes i wprowadziła do domofonu zapisany kod. Jeden raz, drugi, trzeci, dziesiąty. Najwyraźniej nie był to właściwy numer. Sezam architektów nie otworzył się. Była tu kilka miesięcy temu, musieli widocznie zmienić szyfr. Ale dlaczego mąż nie podał jej nowego kodu? Na próżno czekała, że może ktoś wyjdzie z budynku opustoszałego podczas weekendu. Po upływie kwadransa — pal sześć niespodziankę! — wyjęła komórkę i wybrała numer Patricka. „Wróciłam” — oznajmiła, roześmiana. Po drugiej stronie cisza. Kontynuowała lekkim tonem: „Jestem na dole, pod biurem. Nie mam dobrego kodu”. Cisza zrobiła

się jeszcze większa. A potem usłyszała Patricka: „A jaki masz numer? Ten jest dobry. Zaczekaj, sprawdzę w notesie”. „Jak to? Wchodzisz tu dziesięć razy dziennie i nie znasz go na pamięć?”. „Robię to machinalnie, mam pamięć wzrokową” — odpowiedział. Usłyszała dziwne hałasy w słuchawce, a potem połączenie zostało przerwane. Lily natychmiast przycisnęła klawisz „bis”. „Co się dzieje, dlaczego odłożyłeś słuchawkę?”. „To ty przerwałaś. Spróbuj jeszcze raz wybrać ten kod”. Zdenerwowała się: „O nie, nie ma mowy. Nie zostawiaj mnie na ulicy! Zejdź i otwórz!”. Musiała poczekać jeszcze dobrą chwilę, zanim drzwi się w końcu otworzyły.

— Zgadnicie, kto wyszedł?

— Sylvie, twoja asystentka? — zgłosiła się Diane.

— No nie, mimo wszystko! Chyba bym ją zamordowała! Już nie trawię tego zera.

— Stażystka twojego męża — zasugerowała Sylvana.

— Też nie. Nie była to zarumieniona studentka, ale kobieta bliżej czterdziestki niż trzydziestki, o ściągniętych rysach i w żółtej spódnicy.

— Ładna?

— Ani ładna, ani brzydka, ani wysoka, ani niska, ani gruba, ani chuda. Takie nic. Zero. Niewidzialna, poza spódnicą. Ale to, co mnie uderzyło — oprócz tego, że wyglądała na wystrojoną odświętnie sekretarkę — to jej dziwna mina. Miała lekko odwróconą, zmartwioną twarz, jak ktoś, kogo właśnie wylano z pracy. Rzuciła mi złe spojrzenie, a ja pognałam na górę, przeskakując po trzy stopnie. Nie wiem, kiedy przebiegłam te trzy piętra. Jeśli żółta spódnica była w biurze, gdy telefonowałam — pomyślałam sobie, bliska popełnienia morderstwa — to nadarzył się najlepszy sposób, żeby jej się pozbyć: kazać wyjść, jakby nic nie zaszło.

— Mógł ją także wyrzucić przez okno z trzeciego piętra! — zaśmiała się Diane.

— A nie pomyślałaś, że ona równie dobrze mogła wyjść z innego biura, a nie od Patricka? — zasugerowała Ilona.

— W sobotę po południu? No więc dzwonię do drzwi. Brak odpowiedzi. Bombarduję. Przypominam wam, że biuro nie jest takie duże. Nie potrzeba paru godzin, żeby dojść do drzwi. W końcu Patrick otwiera. Powitanie wy-

gląda dziwnie. Jest blady, nie całuje mnie, unika mojego spojrzenia i wraca do komputera. Wydaje mi się, że drżą mu ręce. Najwyraźniej nie szaleje z radości z powodu mojego wcześniejszego powrotu. Przystępuję do ataku: „Dlaczego nie zszedłeś? Dlaczego od razu nie otworzyłeś? Dlaczego kazałeś mi wyczekać na ulicy, a potem na schodach?”. Kończy coś przy komputerze. „Poczekaj, zejdę sprawdzić” — odpowiada spokojnie i wychodzi.

— Pewnie musiał oprzeć się o ścianę, tam na dole. Drżały mu kolana, chwycił się za głowę i powiedział: „Tym razem mi się udało!” — zaśmiała się Diane. — Mamy bulwarową powieść!

— Nie uważasz, że trochę przesadzasz? — spróbowała łagodzić Ilona.

Ale Lily jeszcze nie skończyła.

— Skorzystałam z jego nieobecności, żeby sprawdzić pomieszczenie. Jak prawdziwy radar. Wszystko wydaje się w najlepszym porządku. Żadnych biustonoszy czy prezerwatyw; żadnych porzrzucanych poduszek na kanapie. Wraca mój małżonek, zadyszany. „Kod kończy się na B a nie na D. Musiałś źle zapisać” — wyjaśnia. Nie mam żadnych ewidentnych dowodów zdrady, więc nic nie mówię, żeby nie robić z siebie idiotki. Ale gdy nagle mój czarujący wstawia dwie filiżanki do ekspresu, widzę oczami wyobraźni prawdziwą sztukę teatralną: jednoś miejsca — biuro; czasu — weekend; akcji — cudzołóstwo; osoby — architekt i sekretarka, wariant pana i służącej. Intryga, perypetie — niezbyt interesujące. Nagły zwrot akcji — o nieba, moja żona! Cięte dialogi; nerwowe szepty na uboczu. Subretka wychodzi. Sytuacja jest opanowana. Wszyscy oddychają z ulgą; śmieją się. Spada kurtyna. Tylko ja jedna nie klaszczę! Uczucie wątpliwości dopadło mnie, gdy tak siedzę w pierwszym rzędzie. Będę potrzebowała czegoś więcej niż sympatycznej postawy Patricka, żeby się pozbyć tego uczucia. On jest marnym aktorem. Rola miłego męża w jego wykonaniu tchnie fałszem.

Nie powiedziała wtedy wszystkiego moja Lily, ale udało jej się wzbudzić w Patricku niepokój. W niedzielę rano włożyła podkoszulek z głową tygrysa i zamierzała wyjść na codzienny jogging. „Co słyhać u mojej tygrysicy?” — spytał ją ślubny, coraz miłszy. Zarumieniła się: „Zostaw ją w spokoju. Jeszcze nie wyciągnęła pazurów”. Uśmiechnął się do niej. „Ja bardzo lubię uległe tygrysice”. „Trudniej je znaleźć niż głupie gęsi — odpowiedziała. —

Szczególnie gęsi w żółtych spódnicach". Nie zrozumiał: „O czym mówisz?”. Nie odpowiedziała. Nalegał, obserwując ją kątem oka. „Dobrze usłyszałeś”. Odprowadził ją aż do drzwi. „Nigdy nie powtarzam” — rzuciła, trzaskając drzwiami przed nosem.

— Kiedy zaczynam się stawiać — kontynuowała — nawet tylko trochę, efekt jest natychmiastowy: od razu staje się miłszy.

Rzeczywiście, gdy wróciła po godzinnym joggingu, Patrick czekał na nią i spoconą wziął w ramiona. Wtedy coś w niej pękło. Wyrzuciła z siebie całą gorycz: „Możesz sobie mówić, co chcesz, ale fałszywy kod, przerwane połączenie, dwoje zamkniętych drzwi, godzina wyczekiwania, a na koniec uciekająca pędem żółta spódnica, patrząca na mnie zezem — to naprawdę trudne do przełknięcia!”.

— I jak zareagował?

— Niepohamowanym wybuchem śmiechu. I jeszcze powiedział, słuchajcie uważnie, dziewczyny: „Nie wierz w to, co widzisz, Lily. Wierz w to, co ci mówię”.

Był silny, ten jej Patrick. Teraz lepiej rozumiałem cały system zabezpieczeń, wypracowany latami przez jego młodą żonę. Musiała bez przerwy czuć się chroniona, kochana, otoczona troskliwością i bezpieczna, by móc stawić czoło mężowi, który niszczył jej poczucie bezpieczeństwa. Pozory myliły, nie miała w sobie nic z małej, rozpieszczonej dziwki, sztucznej i niewrażliwej, kapryśnej i egoistycznej. Była stworzona — jestem o tym przekonany — do egzaltowanej adoracji, gwałtownych uczuć i głębokiego zaangażowania. Wspominała często rodziców, z podziwem mówiła o ich idealnym związku. Od dzieciństwa byli dla niej wzorem i usiłowała im dorównać, szukając partnerów, którzy nigdy nie stawiali na wysokości zadania.

— Chcesz, żebym ci „rzuciła karty”? — zaproponowała Ilona.

— Jesteś bardzo miła. Ale zdałam sobie sprawę, że nie należę ani do przeszłości, którą znam nazbyt dobrze, ani do przyszłości, którą myślisz, że znasz, kochana Ilono, i która ma twarz twojego tajemniczego XXL. Należę do terażniejszości. To mój sprzymierzeniec i trzymam się go kurczowo. Powiedz nam lepiej o twoich perypetiach z panem prezesem od włókiennictwa.

Ruda Ukrainka wyznała, że ma wrażenie, iż stała się jego czarną owcą. Chyba właśnie takiej potrzebował! „Czy sprawia ci przyjemność, że jesteś dla niego niedobra?” — zapytywała samą siebie. Lecz było to od niej silniejsze. Wobec takiego faceta, który nie miał wyznaczonego kierunku działania, zagubionego pasterza, dobrodusznego i infantylnego, łaknącego uczucia, bez przerwy żądającego dowodów, a nie dającego niczego w zamian, niezaspokojonego emocjonalnie żarłoka, nieustannie sfrustrowanego, wielkiego, nienasyconego dziecka — stawała się bezlitosna. Dzwonił do niej w ciągu dnia. „Chcę tylko usłyszeć pani głos” — jęczał. „No to pan usłyszał” — odpowiadała, odkładając słuchawkę. Dzwonił nocą, by narzekać, że jego puste łóżko jest lodowate. „A mnie jest bardzo gorąco — oznajmiała. — Właśnie otworzyłam okno na oścież”. „Kim więc jestem dla pani?” — naciskał. „Wspomnieniem z przeszłości — rzucała w słuchawkę — zasuszonym między kartkami książki. Jak stara róża”. To było spontaniczne. Ale jego afekta — cja, patos, nie kończące się skargi i prośby doprowadzały ją do szału.

— Tak marzyłam stać się kobietą — obiektem, a dostaję bobasa, któremu z przyjemnością wsadzam szpilki. To dla mnie zupełnie nowa rola. Stałam się megierą i jestem z tego durna! Cóż za wdzięk!

— Czyli *to tal fucking bitch z Fatalnego zauroczenia*, potem „gotowa na wszystko” z *Nagiego instynktu* i *Last Seduction* — wszystko naraz — zażartowała Diane. — Glenn Close, Nicole Kidman, Sharon Stone i Linda Fiorentino w jednej Ilonie. Brawo!

— Wkrótce otrzymam na Sorbonie „katedrę robienia świństw” — oznajmiła lektorka rosyjskiego. — Zapraszam was na moje zajęcia.

38

Przecierałem oczy i sprawdzałem zegarek. Nie myliłem się — to był poniedziałek. Więc co tu robiła Sylvana, tuż po otwarciu „Cappuccino”? Usiadła na stołku przy barze i zamówiła *caffè corretto*. Musiałem chyba źle usłyszeć. Ale Gracieuse potwierdziła zamówienie, niczym echo. „Wzmoc-

niona kawa dla pani!". O ósmej rano! Niezbyt „korekt" ta *caffè corretto* dla młodej kobiety, która dopiero co wyskoczyła z łóżka. „Wzmocniona", ale czym? Wahałem się między normandzkim calvadosem a burgundzkim jabłeczniakiem. W końcu zdecydowałem się na *grappe*. Czyż nie złożyła zamówienia po włosku? Wlałem lampkę tej pałacej język wódki do jej *espresso*, wciąż się zastanawiając nad przyczyną zaistniałej sytuacji. Korzystając z chwilowej nieobecności Gracieuse za barem, osobiście podałem Sylvanie piekący napój, aby móc przyjrzeć się jej z bliska. Długimi, delikatnymi palcami odgarniała swoje gęste, ciemne włosy. Widząc jej rozbiegane zielone oczy i trupio bladą twarz, zrozumiałem, że jest w bardzo złym stanie. Opróżniła filiżankę jednym haustem i głęboko westchnęła.

— Jeszcze raz to samo! — zażądała.

Tymczasem nadeszła Ilona i zaciągnęła ją do stolika na antresoli.

— Tam będziemy mogły spokojniej porozmawiać — powiedziała.

Na szczęście „ich" stolik był wolny. Usiadły. Samowolnie „skorygowałem" jej zamówienie i przygotowałem *cappuccino* z dużą ilością śmietanki.

— Nie możesz sobie nawet wyobrazić, co przeżyłam od twojego telefonu wczoraj rano — zaczęła gorączkowo Sylvana. — Gdybym przynajmniej była sama! Ale był on! Tak, obok mnie! To był jego pierwszy weekend u mnie, w Paryżu, od czasu naszego poznania. Wreszcie podjęłam decyzję i sześć miesięcy po zerwaniu z Laurentem zmieniłam zamki w drzwiach. No i zaprosiłam Nubijczyka. *I was looking forward to that!* — wykrzyknął. Tylko na to czekał, mój Salim! Leżał w moim łóżku, przytulony, gdy powaliłaś mnie tą wiadomością. Zabiłaś mnie, Ilono. Był tuż obok; nie mogłam ci zadać żadnego pytania ani inaczej zareagować. Musiałam z tym żyć przez dwadzieścia cztery godziny! Blisko niego, nie zdradzając się!

— Przez telefon nie mogłam ci nic więcej powiedzieć. A wcześniejszy powrót ze wsi z Melodie i Serenade był niemożliwy.

— To, co powiedziałaś, wystarczająco mnie zaszokowało. Zdajesz sobie z tego sprawę? „Słuchaj mnie uważnie, Sykano. Zabraniam ci się spotykać, sama wiesz z kim. To nie jest człowiek bez życiorysu. Nie chodzi o inne kobiety. To o wiele poważniejsza sprawa. Chodzi o szpiegostwo". Twoje słowa wbijały mi się w mózg. Myślałam, że rozsadzi mi czaszkę.

— Bardzo mi przykro, Sylvano. Ale to, czego się o nim dowiedziałam, było zbyt poważne, by natychmiast do ciebie nie zadzwonić.

— Przynajmniej teraz nie każ mi dłużej czekać — ponagliła przyjaciółka.
— Kawa na ławę!

Pianistka z trudem hamowała wybuch. Miała niezły temperament ta królowa klawiatury.

— Już ci mówię — powiedziała spokojnie Ilona. — Trzeba się cofnąć o jakieś trzy miesiące. Przypomnij sobie. Bardzo się wówczas martwiłaś, bo nie miałaś żadnych wiadomości od Salima. Nie wiedziałaś, czy był w Wiedniu, czy gdzie indziej. Żeby cię uspokoić, pomyślałam, że dobrze będzie, jak mój były narzeczony sprawdzi to przez telefon.

— To był zły *pomysł*. Nie powinnam *nigdy ci na to* pozwolić — przerwała Sylvana. — Mieszać do tej sprawy kogoś trzeciego.

— Przeciwnie, bardzo dobrze się stało. W zeszłym tygodniu spotkałam Armela na pewnej konferencji prasowej, w czasie której pracowałam jako tłumaczka. Podszedł do mnie i zapytał z miną konspiratora: „Przypomnij mi nazwisko tego dyplomaty, przyjaciela twojej przyjaciółki. Prosiłaś, żebym zadzwonił do niego do Wiednia”. „A po co?”. „Bo muszę coś sprawdzić” — odpowiedział, notując dane. Byłam zaintrygowana: „A o co chodzi?”. „Zadzwonię do ciebie” — odpowiedział lakonicznie.

— W każdym razie znalazł sobie doskonały pretekst — skomentowała nieufnie Sylvana.

Armel zadzwonił do Ilony w niedzielę. Oznajmił, że potwierdziły się jego podejrzenia. Jeden z informatorów dostarczył mu listę osób podejrzanych o terroryzm. Figurowało na niej nazwisko Salima.

— Jaki informator? — podskoczyła Sylvana.

— Nigdy nie ujawni swoich źródeł, tego możesz być pewna. To tajemnica zawodowa.

Armel opowiedział, że kiedy czytał ten tajny dokument, jedno nazwisko wydało mu się znajome. Na wszelki wypadek zapisał je sobie w notesie. Widząc Ilonę na konferencji prasowej, od razu ją z tym skojarzył. Sprawdził wszystko dokładnie i nabrał pewności. Na liście tajnych służb figurowało

także nazwisko Nubijczyka. Postarał się natychmiast powiadomić Ilonę dla dobra jej przyjaciółki.

— A może dla własnego dobra? — zareagowała żywo Sylvana. — Po to, by przyciągnąć twoją uwagę, pokazać jak jest diabolicznie bystry i ma dar jasnowidzenia? Aby dodać sobie ważności i w rezultacie zaistnieć na nowo w twoim życiu? I jak zwykle w dramatycznych okolicznościach? Trudno mi zrozumieć katastroficzne wizje kochanka odprawionego z kwitkiem!

— Posłuchaj, Sykano. Zrobisz, co będziesz chciała. Ale uważam, że miałam obowiązek cię ostrzec.

Sylvana zażądała osobistej rozmowy z „wielkim reporterem”. Widząc wahanie Ilony, zabrała jej komórkę.

— Nie możesz mi tego odmówić. Muszę mieć czyste sumienie — oznajmiła tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Ilona nie miała najmniejszej ochoty na ponowne kontakty z Armelem, ale, choć niechętnie, wzięła aparat, wybrała numer i szybko powiedziała kilka słów. Potem przyszła kolej na Sylvanę. Słuchała długo, zadając ostre pytania, a jednocześnie pośpieszne i precyzyjne. Usiłowałem zrekonstruować przebieg rozmowy — słyszałem wszak tylko jedną osobę — za mało, aby zrozumieć, co się dokładnie wydarzyło. A więc po pierwsze: nazwisko Salima, wraz ze wzmianką o jego narodowości i stanowiskiem w ONZ—cie, figurowało na listach osób „obserwowanych” w związku z ich aktywnością w kręgach związanych z terroryzmem. Po drugie: Salim z pewnością nie był terrorystą, nie podkładał bomb. Ale odpowiadał za przepływ kapitałów, które służyły finansowaniu tajnych akcji. Był kimś w rodzaju konwojenta. Po trzecie: należało powstrzymać się z moralną oceną jego działalności, zgodnej z jego przekonaniami i ideałami, nawet jeśli one bardzo się od naszych różniły. Po czwarte: Sylvana powinna zachowywać się jak najbardziej naturalnie, ale w żadnym wypadku nie może zgadzać się na przekazywanie jakichś jego listów, wykonywanie telefonów czy innych tego rodzaju usług. Po piąte: pod żadnym pretekstem nie może mu wyznać, co o nim wie, nawet gdyby chciała go ochronić. Dla jej własnego bezpieczeństwa. „A reszta to już dotyczy pani prywatnego życia — podsumował Armel. — Jeśli jednak

chciałaby pani wysłuchać mojej rady, sugerowałbym, żeby go pani zostawiła. I jeszcze jedno: ta rozmowa nigdy nie miała miejsca".

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała?! Wszystko było tak logiczne! Pochodził z kraju rządzonego przez islamistów i był międzynarodowym funkcjonariuszem, który otrzymał mandat właśnie z tego kraju. Musiał więc współpracować ze swoim rządem. Nawet jeśli prywatnie pozwalał sobie na zwierzenia typu: „Nic się nie ruszy, jeśli mnie tam nie będzie”, nie mógł postawić się w sytuacji zdeklarowanego przeciwnika reżimu. Było też bardzo prawdopodobne, że musiał w jakiś sposób „opłacać” swoje stanowisko w ONZ—cie pewnym tajnym służbom. Co go bez wątpienia nie powstrzymywało od utrzymywania potajemnych kontaktów z opozycją w Londynie i przygotowań do zmiany władzy. Nie miał komfortowej sytuacji, to prawda. A Sylvana poczuła się wypchnięta ze swojego bezpiecznego środowiska artystów i melomanów i zmuszona do poznania innego oblicza otaczającego ją świata. Zagrożonego wybuchem i wybuchowego zarazem, świata Salima.

— To bardzo niebezpieczny człowiek — powiedziała. — Twoje wróżby wcale nie były szalone.

Opaska z oczu opadła. Dzięki temu mogła ujrzeć w zupełnie innym świetle to, co podczas długich miesięcy było dla niej strefą nieprzeniknionego cienia. Teraz odgadła, dlaczego cofnął swoją rękę, gdy wchodzili do zatłoczonej modnej wiedeńskiej kawiarni. Dlaczego w kinie czekał, aż sala opustoszeje i dopiero potem wyszedł, a na ulicy rozglądał się w ciemności, zanim ją zabrał do siebie. Dlaczego tak często znikał w niedziele na długie godziny, żeby „pracować”, mimo że była jego gościem. Dlaczego chwilami otaczał się murem posepnych myśli, chociaż miał ją przy sobie. Musiał przypuszczać, że jest śledzony, tropiony i kontrolowany. Czuł się osaczony i nie chciał jej kompromitować.

— Salim nosi w sobie tajemnicę, którą nie może się ze mną podzielić. A teraz, gdy ją poznałam, mam formalny zakaz dzielenia się z nim tym sekretem.

— Co chcesz zrobić? — zaniepokoiła się Ilona.

— Umarłam. Nie dam więcej znaku życia.

Nadszedł czas zrobienia bilansu. To była taka piękna historia! Sylvana widziała w niej tylko pozytywne strony: doprowadzona do skrajnej rozpacz przez Laurenta, przyjęła Salima jak dar niebios. To on wyciągnął ją z depresji i dał siłę do zerwania z pisarzem alkoholikiem. Przeżyła z Salimem niezapomniane chwile. Odkryła wschodnią sztukę miłości. Zrobiła postępy, *fuli immersion* w „erotycznym” angielskim. Mogła rozkwitnąć pełnią swojej kobiecości. Nauczyła się szacunku dla innego człowieka i nabrała do siebie zaufania. Jej głos drżał, gdy wspominała utracony raj. Ale wzięła się w garść. Historia była piękna, lecz terminowa jak pożyczka. Wiedziała o tym od samego początku.

— Trochę wcześniej, trochę później, cóż to ma za znaczenie... Zwłaszcza że skończyła się na samym szczycie marzeń.

39

Następnego piątku szpiegowski romans Sylvany stał się intrygującym tematem rozmów przyjaciółek. Pianistka i terrorysta! To było coś, co mogło pobudzić nawet najbardziej ociężałe umysły. Mocne, argentyńskie uderzenie. Każda z przyjaciółek oceniała tę historię na swój sposób. Dla Ilony była to materializacja jej przepowiedni; dla Lily — podniecająca *mega—love—story*. Diane zaś widziała w niej powrót do tragedii antycznej. Wszystkie były zgodne co do jednego: pianistka musiała być pod szczególną opieką bogów, że udało jej się z wdziękiem opuścić pole minowe. Zbieg okoliczności, który pozwolił jej zobaczyć, na jak niebezpiecznym terenie się znajduje, i to z opaską na oczach, był zupełnie wyjątkowy. Umilkły, gdy tylko Sylvana weszła na antresolę. Ciągle jeszcze była w szoku i nie miała ochoty rozmawiać o swoich sprawach.

Toteż w centrum uwagi znalazła się Diane i jej tropikalny romans. Diane w aureoli swych lśniących włosów błyszczała jaśniej od majowego słońca. Brazylijczyk nie przesłał jej faksem swojego adresu, ale do niej zadzwonił! Powiedział, że nie musi mu wysyłać scenariusza. Może mu go przekazać osobiście, ponieważ za kilka dni będzie w Paryżu.

— Więc w końcu przybędzie twój dzielny rycerz na białym rumaku! — ucieszyła się Ilona.

Wszystkie zawisły wzrokiem na ustach Diane. Ta jednak nie spieszyła się z zaspokojeniem ciekawości przyjaciółek.

— Muszę wam najpierw opowiedzieć, jak Carlos Delgada wpadł we własną pułapkę.

Od kiedy upadł projekt filmu *Oczy jak węgle*, Anne Sibylle nie wiedziała, jak umilić życie oszukanej scenarzystce. Dzięki jej uprzejmości Diane otrzymała zaproszenie na prywatny pokaz filmu Delgady. Poszła tam z Borysem i adwokatem. Oto ich spostrzeżenia: Po pierwsze — podobieństwo do scenariusza Diane było uderzające. W ogóle się nie krępował dawny przywódca „Cinema Novo”. Po drugie — film nieudany, rzemieślniczy, sztuczny, fałszywy. Zdecydowanie temat mu „nie leżał”. Po trzecie — wielki reżyser nie tylko nie miał już pomysłów, ale stracił także resztki talentu. Krytyka była bezlitosna. Cała reszta nie interesowała dystrybutorów. A potem zdarzyło się coś niespodziewanego. Po projekcji został odczytany list od samego Delgady. Pisał, że jest „zszokowany” podejrzeniami Diane, jakoby „ukradł” fragmenty jej scenariusza! A przecież ona jeszcze go o tym nie powiadomiła, czy ma tylko podejrzenia, czy niezachwianą pewność! Adwokat i producentka także nie. Filmowiec wyraźnie ma nieczyste sumienie. Uprzedził nawet pozew do sądu.

— *Excusatio non petita, accusatio manifesta* — wygłosiła Ilona.

— Właśnie tak — potwierdziła Diane, notując łacińską sentencję na serwetce. — Bronić się, zanim zostało się oskarżonym, to znaczy przyznać się do winy.

— Brawo! Ale to nie ten Brazylijczyk nas interesuje — zniecierpliwiła się Lily — tylko ten drugi!

— Zaraz, zaraz — roześmiała się aktorka.

Wiadomość o rychłym przyjeździe Jean Paula gwałtownie wyrwała ją z marzeń. Przez tyle lat była snem mężczyzny mieszkającego po drugiej stronie Atlantyku, a teraz sama śniła o tej dalekiej miłości. Aż do niespodziewanego telefonu, który wykonała tu, w „Cappuccino”, pewnego piątkowego ranka, za namową przyjaciółek. Jeden telefon i sen zaczął przybie-

rać materialne kształty. Wiadomość Jean Paula nagrana na jej sekretarce przypominała wezwanie. Ten dzień, ta godzina, ten hotel! Coś zaczynało się dziać. Ustaliła hotel, miły i cichy, w spokojnym zakątku na lewym brzegu Sekwany. Przejrzała stosy wiosennych ubrań, przymierzała, komponowała. Jak to ona: dwadzieścia razy dobierała garderobę, najpierw w głowie, potem na ramiączku, a w końcu na sobie. Tylko po to, aby dojść do wniosku, że nic, absolutnie nic jej nie pasuje. Zdecydowała się kupić kostium. W sklepie wahała się między dwoma, wyjątkowo ładnymi, w końcu kupiła oba, aby w domu podjąć ostateczną decyzję. A potem — depilacja, maseczka, mycie włosów, makijaż, wypieszczanie szczegółów. Naprawdę zrobiła wszystko, by pięknie wyglądać.

— I właśnie tego dnia wydawało mi się, że jestem brzydka, coraz brzydsza. W desperackiej próbie naprawienia złego efektu, gdy kładłam róż na policzki, upuściłam pędzelek na białą marynarkę. Plama! Ściągam z siebie wszystko i zaczynam od nowa. W tym drugim, nowym kostiumie, nie wyglądałam wcale lepiej niż w pierwszym. Grzebię więc w starych ciuchach.

Zakładając rzadko noszony zegarek z bransoletką, zapomniała go przestawić na letni czas. W taksówce wiozącej ją na miejsce spotkania z przeżeniem stwierdziła, że już się godzinę spóźniła. Wszystko stracone! No więc, tym gorzej! Nareszcie poczuła się wyluzowana.

— Kiedy zaczynam tyć, nie wchodzę na wagę — powiedziała, coraz bardziej rozbawiona. — Podobnie kiedy jestem spóźniona. W ogóle nie patrzę na zegarek.

Gdy Diane wyskakiwała z taksówki, Jean Paul właśnie wychodził z hotelu. Wpadli na siebie, podenerwowani, i weszli do pierwszej napotkanej restauracji. Wszystkie stoliki były zajęte, musieli czekać. Stali i nie podejmowali żadnego interesującego tematu. Kiedy wreszcie usiedli, prowadzili neutralną rozmowę o przyszłych wyborach we Francji i ostatnim krachu na brazylijskiej giełdzie. Co się stało z nieśmiałym chłopakiem z jej młodości? I z nostalgicznym, dojrzałym mężczyzną sprzed kilku miesięcy, którego wytrwałość przemieniła się w odwagę? Miała oto przed sobą zgaszonego, zamkniętego w sobie, oschłego mężczyznę. Co dziwne, wewnątrz skręcała się ze śmiechu. Długo prowadzili zdawkową konwersację, zanim zeszli na

sprawy bardziej osobiste. Zadał jej pytania, na które już odpowiedziała podczas poprzedniego spotkania. Niczego nie pamiętał. „Pamiętam każde wypowiedziane przez ciebie słowo” — oznajmiła buntowniczym tonem. „Ja, żeby coś zapamiętać, muszę to sobie przyswoić, często o tym myśleć” — odpowiedział, coraz bardziej ociążały.

— Ramol czy gbur? — wtrąciła Lily.

Najwyraźniej to drugie spotkanie było rozczarowaniem dla obojga. Całkowita zmiana. Diane próbowała wrócić do przeszłości. „Czy wtedy nie miałaś gładkich włosów?” — zapytał, zmarszczywszy brwi. „Tak — odpowiedziała rafaelowska piękność. — W tamtym czasie jeszcze nie poprawiałam natury”. „To wszystko, co zmieniłaś?”. „Wiesz dobrze, że nie. Nienawidziłam mojego złamanego nosa” — przypomniała. „A ja go bardzo lubiłem”. „Nie wolisz nowego?” — indagowała. Zastanowił się chwilę, zanim oznajmił: „Co chcesz, jestem przywiązany do wspomnień”. I na tym koniec rozmów o przeszłości. Powróciła do terażniejszości: do scenariusza, zdrady reżysera, możliwości roszczeń i do niezamierzonego wyznania De lgady. Jak podczas ostatniego spotkania Diane przyszła ze scenariuszem pod pachą. „Chciałabym, żebyś rzucił na niego okiem” — poprosiła. Ponownie odrzucił jej prośbę. „Teraz nie mogę go wziąć. Będę bardzo zajęty. Przyślij mi go do Sao Paulo” — odpowiedział, wręczając jej wizytówkę. Po raz drugi spotkała się z odmową. Diane nie okazała zawodu; spojrzała na zegarek. „Och mój Boże! Jestem już skandalicznie spóźniona!” — wykrzyknęła. Trzymając ją pod rękę, odprowadził na postój taksówek. „Jedno pytanie nie daje mi spokoju — wyrzuciła z siebie, podczas gdy otwierał drzwi samochodu. — Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?”. „A dlaczego nie?”. — Niezbyt wykwinтна odpowiedź, trzeba przyznać. „I co ci to dało?”.

„Uważam, że było zabawnie”. To już ją naprawdę oburzyło. Dla niego to było tylko „zabawne”!

Diane śmiała się serdecznie, patrząc na skamieniałe przyjaciółki.

— No cóż, okazało się, że nigdy nie graliśmy w tym samym filmie.

— Trzeba przyznać, że urządziłaś sobie niezłe kino — zauważyła Ilona.

— A on pewnie chciał zagrać w *Balu maskowym*, w wersji z końca wieku — skomentowała Lily. — Zrobić przegląd swoich byłych ukochanych, aby zobaczyć, co z nich zostało...

— Wyidealizowałaś, upiększyłaś go sobie — kontynuowała Ilona. — Przywiązałaś się do zainteresowania, które ci kiedyś okazywał, bardziej niż do tego, jaki jest obecnie. Przypomnij sobie, że nie byłaś nim zbyt zajęta już dwadzieścia pięć lat temu.

— Teraz nie interesuje go przyszłość, ale przeszłość — dodała Sylvana.

— A przeszłość należy pozostawić tam, gdzie jej miejsce — podsumowała Diane. — Orfeusz nigdy nie mógł wrócić do Eurydyki. Ani ja do Jean Paula.

A tymczasem moja własna przeszłość dopadała mnie wielkimi krokami. Tego ranka otrzymałem faks, w którym przeczytałem, że jeden z moich projektów firmowych filizanek, ten, który przedstawiał stylizowane ziarno kawy, został wybrany przez jury „Qahwa Collection”. Wygrałem konkurs „Młodych Talentów”! Szalałem z radości. A że nie tylko nieszcześćia chodzą parami, przed chwilą dostałem zaproszenie na spotkanie w przyszłym miesiącu z dyrektorem włoskiego wydawnictwa CD—ROM. Zwróciłem się do tej firmy razem z „Nosem” — czy też „Filarem” naszej kawiarni — z którym się zaprzyjaźniłem. Przedstawiliśmy w formie interaktywnej i wirtualnej projekt świata kawy, zrealizowany w całości z syntetycznych obrazów. Neapol! Jego wezwanie stało się naglące!

40

— Jak się mówi „zerwać” po angielsku? — chciała się dowiedzieć Sylvana.

— *I drop you* — odpowiedziała Lily, ekspertka od zerwań.

— To raczej znaczy „porzucić” — poprawiła Ilona. — Ja powiedziałabym: *to split up* albo *to break up*. Bądź ostrożna, Sylvano, zaklinam cię. Radziłyśmy, byś nie robiła niczego, co mogłoby obudzić nieufność Salima. Musisz się zachowywać najnaturalniej w świecie.

— A czy może być coś bardziej naturalnego niż zerwanie, skoro nic się nie układa?

— A co się zdarzyło oprócz tego, czego się o nim dowiedziałaś? — spytała Diane.

— Masz rację, nic. Jednak to, co wczoraj byłam jeszcze w stanie zaakceptować, dziś wydaje mi się nie do przyjęcia. A poza tym zawsze, od samego początku wiedziałam, że ten związek nie ma przyszłości. Nie brałam pod uwagę w żadnym ze swoich planów. I nigdy nie zrobił mi najmniejszej propozycji. Ale istniała terazniejszość. Bardzo ekscytująca terazniejszość. *A part time love* — miłość „na pół etatu”, która od spotkania do spotkania trwa już od siedmiu miesięcy. Od kiedy zaaplikowano mi ten elektrowstrząs, mam wrażenie, że między nami jest już tylko przeszłość.

— Dzwonił do ciebie?

— Tak, po spędzonym u mnie weekendzie wiele razy, jak nigdy dotąd. Z trudem powstrzymuję się od podniesienia słuchawki i powiedzenia: *Please don't call me anymore. For— get me.*

— „Nie dzwoń więcej i zapomnij o mnie”, tak po prostu, bez wyjaśnienia? — zaproponowała Lily. — Nie zrozumie albo zrozumie wszystko. Zrobisz tak na własne ryzyko, moja piękna. Nie igraj z losem. Powiedziałyśmy ci: musisz się trzymać z daleka od tej sprawy i oddalić się na czubkach palców. Możesz wymyślić tysiąc pretekstów, na przykład: że jesteś bardzo zajęta, podróżujesz, ćwiczysz, nagrywasz; odkładasz, przekładasz i w ten sposób zyskujesz na czasie. A w końcu możesz mu dać do zrozumienia, że w twoim życiu wiele się zmieniło, bo pogodziłaś się z Laurentem. Jest zbyt dumny i tego nie zniesie. I w końcu to on ci powie *Inch Allah* — niech będzie pozdrowiony Allah.

— Nie lubię *decrescendo*. Wolę wspaniały akord finałowy, *fortissimo*. I zamykam pianino.

— Najlepiej na własne palce. Brawo! A pod jakim pretekstem? — zaniepokoiła się Ilona.

— Pod pierwszym, jakiego mi dostarczy. Pod tym względem mam do niego zaufanie.

— Rzeczywiście, czerwiec nie jest porą na miłość — to czas zerwań! — zaśmiała się Diane, którą zaczęły bawić te seryjne porzucenia. — Ja i Brazylijczyk. Ilona i prezes. A teraz Sylvana i terrorysta z Południa... Pozostała tylko Lily.

— Wcale nie jestem od tego daleko — wyznała.

— Chcesz porzucić męża czy twoich *virtual lovers*? — zaciekawiała się Diane.

— Chcę zerwać z pewną Lily — odpowiedziała poważnie — która szukała szczęścia innych, a zaniedbywała własne. Która istniała tylko jako śliczne odbicie w oczach innych, a potem sama nie wiedziała, kim jest, gdy odwracano się do niej plecami. Tak mało skoncentrowaną na sobie, że musiała na prawo i lewo rozpychać się łokciami, aby odzyskać równowagę. Tak zasłuchaną w zewnętrzny harmider, że nie mogła usłyszeć głosu własnego serca. Co z nas może pozostać, skoro jedyne rozwiązanie własnych problemów widzimy w sile miłości? Jak biedna, mała Piaf, która jęczała: „bez miłości jest się nikim”. Zrozumiałam w końcu, że mam szansę na samorealizację wcale nie u boku mężczyzny. Mogę to zrobić samodzielnie, sama.

— To nie perły tworzą naszyjnik, ale nitka — zgodziła się Ilona.

— Właśnie. Jestem gotowa zdjąć wszystkie perły, żeby zmienić nitkę — potwierdziła Lily.

— Ale po co ją zmieniać? Wystarczy wzmocnić — doradziła Diane. — Twoja jest w bardzo dobrym gatunku. Jesteś piękna, silna, bogata i pełna życia. Możesz dostać wszystko, czego pragniesz, ale musisz dokładnie wiedzieć, czego naprawdę chcesz, gdzie jesteś i dokąd zmierzasz. Posłuchaj: negatywny bilans mojego spotkania z Jean Paulem pozwolił mi jaśniej spojrzeć na siebie samą. „Usłyszałam” siebie i to, co mam do powiedzenia. Mam wrażenie, że pozbyłam się wszystkich śmieci, aby osiągnąć... może nie istotę bytu — to wielkie słowo — ale to, co we mnie zostało. Pozbyłam się urojeń. Jakbym wyrwała wszystkie chwasty z serca, aby poznać źródło moich pragnień. Po raz kolejny skoncentrowałam na Brazylijczyku wszystkie nieudane wydarzenia ubiegłego roku, myśląc, że znajdę w nim rekompensatę własnych frustracji.

— No i Borys został wielkim wygranym twojego brazylijskiego marzenia — odpowiedziała Lily.

— To prawda. A co do ciebie, jestem pewna, że Patrick najwięcej skorzysta na twoim powrocie do równowagi.

— A ja myślę, że to będę ja! — odpowiedziała zdecydowanie Lily.

Podniosłem filiżankę, aby uczcić taką piękną deklarację. To była moja osobista filiżanka; nieoczekiwany, wspaniały prezent, który nadszedł z Neapolu w wigilię moich dwudziestych szóstych urodzin. Filiżanka z grubej porcelany, której zewnętrzną ściankę ozdobił delikatny złoty szlaczek i rozjaśniał napis na spodeczku „Accarezzame”. To był tytuł najbardziej zmysłowej piosenki neapolitańskiej: *Pieść mnie*. I jednocześnie niespodziewana zachęta najdzikszej ze wszystkich znanych mi dziewczyn — Carmeli. Byłem tym wstrząśnięty. Erotyczny ciężar tego słowa brutalnie obudził we mnie dawne pożądanie. Pragnąłem jej, takiej wstydlivej, odpornej, nietykalnej, a zarazem tak namiętnej, gwałtownej. Zmysłowość jej gestów połączona z dumą spojrzenia, niewinność uśmiechu i prowokacyjne ruchy bioder ponownie wywołały we mnie niepokój. To wezwanie mojej narzeczonej — o czym marzyłem od tyłu tygodni, prawie już w nie wierząc — spłynęło na mnie jak pocałunek. Możesz być pewna, moja gorąca miłości, moja wulkaniczna neapolitanko, przyjadę pieścić przy tobie moje najbardziej ogniste marzenia. Zobaczyc Neapol i cieszyć się życiem!

41

Paryskie lato wypływało na ulice kawiarnianymi stolikami. Kawiarnie podwajały powierzchnię, zagarniając gorące płyty chodników. Miejscami spotkań, rozmów, wymiany myśli, które długo zimowały za zamkniętymi szczelnie drzwiami, stawały się teraz letnie stoliki, rozkwitające parasolami na podobieństwo liści ocieniających skwery i aleje. Cud klimatyczny: słońce roztopiało typową galijską zrzędlivość, a upał łagodził nawet najbardziej złe humory. Rozdrażnienie paryżan zmieniało się w rozleniwienie. Położona na północy — przynajmniej dla mnie — francuska stolica pod wpływem

spiekoty stawała się prawdziwie południowym miastem. Paryż i Neapol mogłyby pretendować do miana sezonowych miast bliźniaczych.

Ale to, do czego się szykowałem, niewiele miało wspólnego z meteorologicznymi kapryсами. Przygotowywałem się do spotkania z moją dziewczyną spod Wezuwiusza... Jeszcze o tym nie wiedziała, moja *Bellissima*. Może przeczuwała. Czyż wysyłając swoje słodkie przesłanie „Accarezza-me”, nie kazała mi dokonać wyboru? I ja podjąłem decyzję. Zawiadomiłem o niej, tak jak należało, szefa „Cappuccino”, a także głównego dystrybutora kawy „Qahwa” we Francji. Za dwa tygodnie znów będę w Neapolu. „Mortadela z ludzką twarzą” próbował mnie zatrzymać na jeszcze jeden sezon. Ale jego dostawca uznał, że w tym „zwiastunie” nowej sieci kawiarni, jakim było „Cappuccino”, moja misja doskonalenia Francuzów w sztuce parzenia kawy została zakończona. A moje cztery paryżanki mogły świetnie obyć się bez rysunczków na śmietance pokrywającej czarny aromatyczny nektar. Zresztą, zaprzątnięte meandrami tarota, nie zwracały najmniejszej uwagi na staranność, z jaką je wykonywałem. To nawet dobrze. Wkrótce moje małe rysunki miały się przekształcić w poważne projekty.

Nie chciałem jednak stracić opowieści o zmierzających do zakończenia romansach Ilony z prezesem i Diane z Brazylii— czykiem z Sao Paulo.

Nie wiedząc, jak przełamać obojętność okrutnej Ukrainki, Gaetan wpadł na wyrafinowany pomysł wysłania do niej listu. Zawierał on — zawstydzilem się za prezesa! — starannie datowaną i ostemplowaną gwarancję jubilera z placu Vendôme. Chodziło o bransoletkę, ofiarowaną Ilonie w kulminacyjnym punkcie ich idylli, tym wstrząsającym momencie, kiedy przemyślowiec ośmielił się ująć dłoń swojej wybranki.

— Co za chamstwo! — oburzyła się Lily. — Przypominać ci w ten sposób, że powinnaś być mu wdzięczna za prezent!

— Zapewniam, że znam lepsze sposoby wyznania miłości! — skomentowała Diane. — Byłam pewna, że prędzej czy później przypomni tobie o bransoletce! Przemyślany zamiar, czy niewyobrażalna niezręczność? W obydwu wypadkach biedny Gaetan nie zachował się elegancko.

— W pierwszym odruchu chciałam odesłać mu gwarancję, oprawioną w skórę, wraz z bransoletką. Zresztą, nie mogłabym nosić tych platynowych kajdanków, nie pasują do mnie...

— Powinnaś to zrobić — zaśmiała się Lily — i dołączyć słówko w stylu: „Nie jestem inwestycją przynoszącą natychmiastowy zysk”. Po angielsku to brzmi dużo lepiej: *A quick return investment!*

— Nieźle! Ale nie tego oczekiwał — powiedziała Ilona. — Ten dokument jest prowokacją, obrzydliwym sposobem podtrzymania kontaktu. Wolałam powstrzymać się od wszelkiej reakcji. Nie tańczyć, jak on zagra.

— Zwłaszcza — zauważyła Diane — że zwrot mógłby zostać odczytany nie jako: „Oto pańska bransoletka, może pan ją sobie włożyć, dobrze wie pan gdzie”, ale jako: „Drogi przyjacielu, zwracam pański prezent, bo na niego nie zasługuję. Nie dałam panu tego, czego pan ode mnie oczekiwał. Dlatego wymierzam sobie karę; czuję się winna”. Twoje plwociny mogłyby zostać uznane za pochlebstwo.

Ilona potraktowała żaloszny gest Gaetana z istic królewską pogardą. W końcu on sam, nie wiedząc, jak zwrócić na siebie uwagę pięknej, niewzruszonej damy swego serca, podniósł słuchawkę telefonu. Wystukał numer, który stał się jego obsesją. Ołowianym głosem powiedział: „Chciałem tylko wiedzieć, czy życie jest piękne...” Po drugiej stronie linii wykrzyknęła Ilona z niekłamaną radością: „Cudownie piękne! Szczególnie od kiedy mam gwarancję. Do pełnego szczęścia brak mi jedynie rachunku”. I odłożyła słuchawkę.

Na antresoli przyjaciółki wybuchnęły gromkim śmiechem. Nie brakowało jej tupetu, tej gorącej Słowiance.

Piękna jak Wenus Diane także nie pozostała w tyle. Po miłosnym weekendzie spędzonym z Borysem w Lizbonie zastała na sekretarce tuzin wiadomości od Jean Paula. Wiadomości niespokojnych, potem wręcz oszalałych ze strachu, w końcu — pełnych autentycznej paniki. „Zadzwoń do mnie do biura, najszybciej jak możesz. Sądzę, że podałem ci zły adres i nie otrzymam scenariusza. To chyba nie ta wizytówka. Chcę się upewnić”. Diane dosłownie wyła ze śmiechu. Był jak w transie nie z powodu myśli, że jej przesyłka mogłaby krążyć gdzieś między Paryżem a Sao Paulo, ale, że

trafi pod zły adres, to znaczy do jego domu, a dokładniej: w ręce domowej inkwizycji, czyli żony! Diane przejrzała na oczy. Dwa razy odmówił wzięcia go ze sobą i z pewnością nie z powodu nadwagi bagażu, tylko ze strachu przed podejrzliwą małżonką, która mogła wpaść na niezbity dowód paryskiego spotkania z młodzieńczą miłością. No proszę! Brazylijczyk był odważny, ale lekkomyślny. W Paryżu okazał się ostrożniejszy. Nie chciał wziąć scenariusza, który mógłby go poparzyć jak gorący kartofel. Ale najgorsze czekało go po powrocie do domu. Bojąc się, że pomylił wizytówki: domową i biurową, ryzykował teraz, że ta nieszczęsna przesyłka przybędzie pocztą do jego domu. A jeśli legalna połowica zabierze się do przeglądania? Prawdziwy koszmar dla porządnego mężczyzny! Co odkryje żona?! Nieszczęśnik od tej chwili nie mógł zmrużyć oka. Dowód — pierwszą wiadomość zostawił zaraz po przyjeździe do biura, już o siódmej rano! Musiał tam pognać bladym świtem, żeby powstrzymać katastrofę. Diane odczuła złośliwą przyjemność, przedłużając jego niepokój. Nie oddzwoniła. Nadchodziły następne nagrania; gorączka w Sao Paulo sięgała zenitu. W końcu odebrała telefon. Bez wstępów, nawet bez grzecznościowych zwrotów przestraszony żonkoś od razu przeszedł do sedna sprawy: „Jaką wizytówkę ci dałem?”. Odpowiedź aktorki była beztraska: „Zupełnie nie pamiętam”. „Czy możesz sprawdzić?” — poprosił. „Prawdę mówiąc, nie wiem, co z nią zrobiłam. Ale dlaczego się pytasz? Jest jakiś problem?”. Dzielny rycerz na białym rumaku spadł ze swego szlachetnego wierzchowca prosto w błoto i zwijał się po drugiej stronie linii. Skończyło się na tym, że się zlitowała i postanowiła go pocieszyć: „Nie denerwuj się tak, mój mały. Nie wysłałam scenariusza i nie mam najmniejszego zamiaru tego robić. Nie chcę ci go narzucać po raz trzeci po twoich odmowach”. I nic więcej. Pozostawiła go w tym błocie, a mogłaby pozostawić w niepokoju. Mógłby dalej żyć w strachu, czatować na pocztę od rana do wieczora przez długie tygodnie, nie mając pewności, czy niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Na zakończenie dodała: „Wybacz, ale ktoś inny czeka na połączenie, muszę kończyć. *A te logo. Ciao!*”

Nigdy przedtem nie widziałem ich tak radosnych. Wszystkie trzy wprost promieniały szczęściem. Ale gdzie była Sylvana? Diane i Ilonie zrobiło się lekko na duszy. Lily tego ranka sprawiała wrażenie zupełnie „odlotowej”.

— Stało się! — oznajmiła tryumfalnie.

— Co się stało?

— W moim życiu pojawił się XXL.

Zamarły na chwilę, a potem wykrzyknęły chórem:

— I dopiero teraz nam o tym mówisz?!

— Nasze drogi już się raz skrzyżowały. Ale skoro, jak powiada Ilona, „jeden mężczyzna może przesłonić drugiego”, to go nie rozpoznałam. Musiałam przestać gnać bez sensu we wszystkie strony, rozpraszać się na głupstwa, odmawiać wątpliwych pragnień, aby skoncentrować się na sobie i dostrzec to, czego przedtem nie widziałam.

— Mów w końcu, kto to jest! Nazwisko!

— Dokładnie taki sam, jakiego od miesiący opisujesz mi, Ilono: wysoki, szczupły i ciemnowłosy; mężczyzna—kot, zaborczy i wibrujący; związany z zagranicą, podróżami, przestrzenią. Ciągłe jeszcze nie wiecie?

Żadna z nich, nawet jasnowidząca, nie mogły odgadnąć, o kogo chodzi. Nagle oblał mnie zimny pot. Czyż kilka miesięcy temu nie wbiłem sobie do głowy, że to mógłbym być ja? Czyste szaleństwo!

Wszystkie tupały z niecierpliwości, ale Lily, choć sama

umierała z chęci wyznania tajemnicy, jeszcze chwilę trzymała je w napięciu.

— Przyłożyłam profil XXL do wizerunku Michała Anioła z mojego „Nocnego lotu”. Okazuje się, że doskonale do siebie pasają.

— Flavio?

— Właśnie. Mój rzymianin przysłał mi list. Został mianowany korespondentem swojego pisma w Paryżu. Przyjedzie w lipcu. Sam — wyraźnie to podkreślił. Bardzo liczy na nasze spotkanie, bo chce sprawdzić, teraz na ziemi, naszą syntonię. „Czy ciągle jesteś wszędzie piękna?” — zapytał mnie w *post scriptum*.

42

To był mój występ dla Lily, Diane, Ilony i Sylvany. W ten ostatni dzień na *cappuccino* miałem prawo napisać całe ich imiona. Musiałem powtarzać tę czynność kilka razy, aby kawa została podana jednocześnie, właściwie ozdobiona i w odpowiedniej temperaturze. Reakcja przeszła wszelkie moje oczekiwania.

— Ottavio! Ottavio! Gdzie się schował Ottavio?

Wzruszyło mnie, że zapamiętały moje imię. Wszystkie

wstały i przyszły mnie ucałować. Podając nad kontuarem ręce, dziękowały mi szczerze i serdecznie. Ja też okazałem im głęboką wdzięczność. I tylko ja wiedziałem, za co dziękuję.

Potem wróciły na antresolę, aby wysłuchać Sylvany, która zjawiała się po dziesięciodniowym pobycie w Budapeszcie. Ale najpierw musiały ją poinformować, co się wydarzyło podczas jej nieobecności. Przygotowały zabawne sprawozdanie o „gwarancji” Ilony, „wizytówce” Diane, a przede wszystkim o tym, że w życiu Lily pojawił się tajemniczy XXL *alias* „Nocny lot”, *alias* Flavio.

— Wystarczy, że zniknę na chwilę i już się tyle dzieje!

— A ty, Sylvano? Wydaje się, że twój węgierski urlop był wyjątkowo udany — zauważyła Ilona, obserwując przyjaciółkę kątem oka. — Czy to rezultat uspokajających właściwości kąpieli?

Wydawca Sylvany dał jej do dyspozycji ładne mieszkanie w starej kamienicy w Budzie, zawieszona nad Dunajem. Odizolowała się tam od świata, by z dala od paryskich przejść móc ćwiczyć *Koncerty na orkiestrę* Franciszka Liszta; miała je grać podczas następnego *tournee*. W sercu Europy Środkowej, w ciemnym i zapomnianym zakątku, sama przy klawiaturze, poddała się w końcu uczuciu nostalgii. To było w przeddzień powrotu do Paryża. Ile jest kilometrów do Wiednia? Ta myśl przeszła ją jak błyskawica: zobaczyć Salima! Ostatni raz. Palce Sylvany porzuciły klawiaturę w trakcie *arpeggio* i dotknęły tarczy starego telefonu.

Jeszcze tego wieczoru przyjechał samochodem. Na stole postawił butelkę szampana i podniósł Sylvanę, przyciskając ją mocno do piersi. Był podniecony i porywczy. *What about your plans?* — zapytał po zapierającym dech namiętym pocałunku, penetrując językiem wnętrze jej ust tak, że musiała ulec gwałtowności uczuć. „Moje plany?” — uśmiechnęła się. — „Picie szampana!”. Nalegał, więc opowiedziała mu o letnim *tournee* i jesiennych nagraniach. Skąd to nagle zainteresowanie jej rozkładem zajęć?

Wpatrywała się w Salima, chcąc na zawsze zapamiętać jego twarz. Utrwalić wizerunek olbrzyma o delikatnych rysach i zwinnych ruchach. Tę hindusko—afrykańską hybrydę, uformowaną przez morze Omanu, Arabię Saudyjską i Morze Czerwone, hartowaną przez pustynię. Tego dżentelmena o londyńskiej elegancji i nubijskiej zmysłowości; anglojęzycznego, z lekko arabskim akcentem; ekonomistę—czarownika; człowieka wilka, dzikiego i namiętnego; dyplomatę i agenta służb specjalnych. Czy odebrał jej uprzejme spojrzenie jako natychmiastowe wezwanie do intymniejszego powitania? Bo oto nagle znalazła się na dywanie, z nogami oplatającymi jego szyję, a on, ściskając ją w pasie kolanami, wbijał się w jej wnętrze gwałtownymi ruchami. Potem obrócił ją na plecy i coś mówił ochryplym głosem. Jakieś bezładne słowa, których, chora z namiętności, Sylvana nie była w stanie zrozumieć. Czyżby także mówił jej „żegnaj”? Pociągnęła go w głąb siebie i wokół jego członka zaczęła biodrami rysować ósemki, coraz szybciej, w nieskończoność: piekielny, doskonale zsynchronizowany taniec, zakończony wspólnym spazmem. Kiedy ochłonęli, podjęli przerwana roz-

mowę, orzeźwiając się szampanem. Salim odzyskał całą werwę, uszczypliwy ton i cięty język.

— Od razu mi oznajmił, że został mianowany na prestiżowe stanowisko w nowojorskiej siedzibie ONZ i opuszcza Wiedeń pod koniec miesiąca. Tego się nie spodziewałam. Jak wiecie, staram się nie grać roli rozpieszczonego dziecka, którego pozbawia się ulubionego deseru. Przeciwnie — co uważam za zaletę — staram się zachowywać spokojnie przy rozstaniu. Teraz jednak się poddałam, nie mogłam powstrzymać ukradkowej łzy. Nie uszło to jego uwagi. Uśmiechnął się. Zauważył, że dzięki *concorde* Nowy Jork wcale nie jest dalej od Paryża niż Wiedeń. Biorę się w garść. I chyba z weselszym wyrazem twarzy gratuluję mu awansu. „Jesteś nomadem, Salimie. Nie możesz długo pozostawać w tym samym miejscu. Dobrze ci zrobi zmiana powietrza. Nowy Jork doda ci rozmachu. Wiedeń jest umieralnią, na uboczu”. Zgadza się ze mną. Mówi, podobnym do mojego tonem, że mnie też przydałaby się zmiana powietrza. Że gdyby znalazł mieszkanie wystarczająco duże, by wstawić do niego fortepian, mogłabym przyjechać, aby w nim zamieszkać. Co takiego? Musiałam chyba źle usłyszeć. Każę mu powtórzyć: „Salimie, czy ty mi proponujesz, żebym zamieszkała z tobą w Nowym Jorku?”. *Sure!* — oświadczył zdecydowanym tonem. A potem dodał: „Zwycięzcy nigdy nie przegrywają. Tchórze nigdy nie wygrywają”. Argument „zwycięzcy”, aby zmienić jej decyzję, jej, czyli „tchórza”? Bystrość i przenikliwość Salima nie przestaną mnie zadziwiać.

— Co takiego?! Chyba nie chcesz powiedzieć, że do niego pojedziesz!